

John Altman

Oszustwo

Przekład Wojciech Szypuła

Dla Margaret

To nieuniknione, że działanie przypadku – choć nieporadne – sprawia czasem wrażenie działania obdarzonej świadomością Opatrzności.

Eric Ambler

Dumna Dimitriosa

PROLOG

Opalony mężczyzna w recepcji podniósł wzrok, rozpoznał go i bez słowa wrócił do swoich zajęć.

Nic dziwnego. Przez ostatnie dwa wieczory morderca dwa razy dał się zauważyć w holu hotelu, idąc niemal krok w krok za wracającymi z kolacji Epsteinami. Recepcjonista z nocnej zmiany wziął go oczywiście za ich syna – tym bardziej że na pierwszy rzut oka niczym się nie różnił od tysięcy zepsutych dzieciaków amerykańskich turystów. Miał na sobie jarmarczną koszulkę z napisem *Venezia in amore*, a pod pachą trzymał zwinięte kolorowe pisemko.

Upewniwszy się, że recepcjonista nie zwraca na niego uwagi, morderca przeszedł przez hol ze wzrokiem utkwionym w podłogę. Wszedł po schodach na drugie piętro i znalazł się w cichym korytarzu. Powietrze było przesiąknięte wilgocią. Podczas wcześniejszych wizyt w hotelu szedł do końca korytarza i wychodził tylnym wyjściem. Tym razem zatrzymał się przed pokojem 33. Przyłożył ucho do drzwi i wytężył słuch.

Najpierw usłyszał czyjeś kroki. Potem odgłos spuszczonej wody i – prawie w tej samej chwili – włączył się telewizor. CNN.

– Jutro w cafe, Lawena? – zabrzmiał kobiecy głos.

Z bliska, spod samych drzwi, dobiegło męskie chrząknięcie. To dobrze; morderca wolał najpierw rozprawić się z mężczyzną.

Luźna koszulka zasłaniała dwa przedmioty, wetknięte za pasek szortów. Rozejrzał się po korytarzu, upewnił się, że jest sam, i wyjął przedmiot z prawej strony: osiemnastocentymetrową rurkę z czarnego metalu. Wsunął ją do środka zrolowanej gazety.

Lewą ręką zastukał w drzwi. W prawej trzymał broń. Na okładce gazety widniał fragment tytułu: z „Rolling Stones” zostało tylko ozdobne „ing Sto”.

– Kto tam? – zapytał mężczyzna.

– Obsługa hotelowa – odparł morderca najniższym głosem, jaki mógł z siebie wydobyć.

– Obsługa hotelowa. Zamawiałaś coś?

– Czy coś zamawiałam? – zdziwiła się kobieta.

Drzwi się uchyliły.

– Obawiam się, że...

Morderca podniósł ukrytą w gazecie rurkę, odciągnął kurek i pociągnął za spust. Tłok zmiażdżył ampułkę z kwasem i obłok gazu wystrzelił mężczyźnie w twarz.

Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie. Morderca nie tracił czasu: odepchnął drzwi i wcisnął się do pokoju, upuszczając gazetę. Wyjął drugi przedmiot zza paska – tym razem rurka miała piętnaście centymetrów długości i srebrny kolor.

Kobieta siedziała na łóżku, masując sobie stopy. Oglądała telewizję. Kiedy odwróciła się do drzwi, zamrugnęła ze zdziwienia na widok wchodzącego do pokoju chłopca.

Za jego plecami stał jej mąż, chwiejąc się na nogach. Kolana ugięły się pod nim, a wtedy chłopiec precyzyjnie przycisnął się obok, wyciągnął ze srebrnej rurki garotę

i podszedł z prawej strony do kobiety, która – nadal nie rozumiejąc, co się dzieje – patrzyła, jak mąż pada na podłogę. Okręcił jej linkę wokół szyi i zaciągnął z całej siły.

Z miejsca, w którym stał, widział tylko skroń i policzek swojej ofiary. Skórę pokrytą drobnymi puszkami. Żyłki na skroni z początku ledwie dostrzegalne, nabrzmiały błękitem, a potem zrobiły się fioletowe.

Po trzydziestu sekundach było po wszystkim.

Wchodząc, zostawił uchylone drzwi. Teraz je zamknął na zasuwkę. Podniósł z podłogi pistolet gazowy, który wysunął się z gazety, i położył go na łóżku obok srebrnej rurki.

Załatwił wszystko po cichu, więc teraz nie musiał się spieszyć z szukaniem. I bardzo dobrze, bo Keyes nie potrafił mu powiedzieć, czego właściwie ma szukać. Wzoru matematycznego, to jasne, ale w jakiej postaci? Mógł to być mikrofilm, kartka papieru, taśma magnetofonowa, zapis w cyfrowym dyktafonie, talia kart z odpowiednio pozaginanymi rogami... Cokolwiek.

Zaczął szukać. Działał szybko, ale metodycznie.

CNN nadawało reportaż z palestyńskich obozów dla uchodźców. Morderca zerkał od czasu do czasu na ekran. Sam się zdziwił, że zainteresowała go ta sprawa.

Nie znalazł nic ciekawego w bagażu, w kieszeniach obojga zabitych ani w portfelu mężczyzny. Zajrzał we wszystkie tradycyjne schowki: pod łóżko, lustro, do rezerwuaru w toalecie. Nic. Stanął na środku pokoju, żeby się postanowić.

Mężczyzna jest – a raczej był – specjalistą od geometrii różniczkowej, matematykiem. Wątpliwe, żeby znał się na technikach szpiegowskich. Bardziej pasowały do niego takie intelektualne gierki, jak zaginanie rogów w kartach. Jednak z drugiej strony... Pracując dla Applied Data Systems, mógł poznać różnych ludzi. I nauczyć się wielu rzeczy.

Morderca doszedł do wniosku, że musi działać dalej z takim właśnie założeniem.

Obejrzał monety rozrzucone na komodzie, znajdujące się w kieszeniach ofiar i w torebce kobiety. Nie znalazł żadnej wydrażonej. W szczotce do włosów nie było schowka. Rozkręcił słuchawkę telefoniczną, ale w środku nie znalazł nic niezwykłego. Złożył ją z powrotem, roztargnionym wzrokiem spojrzął w telewizor (nadawano reklamę pasty do zębów) i wrócił do szukania.

Pędzel i krem do golenia mężczyzny nie kryły żadnych sekretów. Nigdzie nie było widać laptopa; jedyny elektroniczny gadżet, przenośny odtwarzacz kompaktowy, nie miał żadnych dodatkowych funkcji. Morderca wyjął ze środka baterie i opukał je paznokciem. Baterie jak baterie.

Czuł coraz większy niepokój.

Uklękł przy zwłokach mężczyzny w przedpokoju. Przeszukał je jeszcze raz, dokładniej oglądając samo ciało. Nie znalazł szklanego oka ani sztucznej nogi. Nie znalazł wzoru.

Wstał, wszedł do pokoju i obejrzał kobietę.

Nic.

Wziął do ręki leżący na komodzie portfel. Znalazł karty kredytowe, wystawione na Stevena Epsteina: Visa, MasterCard, American Express, pełny zestaw. Obejrzał z bliska tłoczone w plastiku cyferki, szukając śladów manipulacji. Odłożył portfel i kucnął przy walizkach. Wyjął film z aparatu i schował do kieszeni. Może mężczyzna sfotografował wzór, a potem zniszczył oryginał.

Zainteresował się biletami lotniczymi. Te niepozorne cyfry też mogły kryć jakąś tajemnicę: numery foteli, numer lotu. Ale nie, wszystko wyglądało normalnie. Bawił się chwilę biletami. Coś go tknęło.

Steven Epstein. Pierwsza klasa, miejsce przy przejściu. Coś tu nie grało...

Gdzie bilety na rejs statkiem? Z jego informacji wynikało, że Epsteinowie zamierzają następnego dnia wsiąść na statek wycieczkowy. Dlatego musiał dzisiaj się nimi zająć. Jednak nigdzie nie znalazł żadnych papierów związanych z wycieczką.

Jeszcze raz obejrzał bilety: lot do Nowego Jorku za dwa dni. Zmienili plany?

Odłożył bilety i sięgnął po paszport. Nazwisko: Epstein. Imię: Steven.

Obywatelstwo: Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Data urodzenia: 21 października 1947.

Jeszcze raz zajrzał do portfela. Prawo jazdy wydane w Montanie. Zmarszczył brwi. Nieścisłość była tak ewidentna, że w pierwszej chwili ją przeoczył. Montana?

Włożył rękę do kieszeni. Keyes kazał mu wyrzucić zdjęcie, kiedy już zapamięta twarz, ale morderca nie miał zaufania do swojej pamięci. Dlatego złamał zasady.

Facet na zdjęciu był o dobre dziesięć lat starszy od tego, który otworzył mu drzwi.

Morderca powiódł wzrokiem po leżących w pokoju ciałach. Zaklął cicho.

Boy podał mu nie ten numer pokoju. Nie tych Epsteinów.

Wstał dopiero po dłuższej chwili. Kolana strzeliły mu głucho, jak wilgotne fajerwerki. Spojrzał na zabitych, zaklął raz jeszcze, wcisnął zdjęcie do kieszeni, zabrał sprzęt i wyszedł, nie oglądając się za siebie.

CZĘŚĆ 1

ROZDZIAŁ 1

Kabina miała trzy na trzy metry.

Ściany były z białej płyty gipsowej. Nad łóżkiem wisiał obrazek – litografia przedstawiająca sześciu jeźdźców w turbanach. Szorstki dywan miał intensywny, nienaturalnie niebieski kolor. Na wprost drzwi znajdowało się duże, okrągłe, przyciemniane okno, a raczej – jak domyślała się Hannah Gray – bulaj, chociaż zawsze myślała, że bulaje są mniejsze.

Pod bulajem stał niski stolik z lampką, wazonem z liliami i misą pełną owoców. Hannah odwróciła się do drzwi. Z lewej strony było małe biurko, podwieszony na ścianie telewizor i małe lodówka. Z drugiej znajdował się tapczan i komoda z tekowego drewna. Na komodzie stał budzik z migającymi cyframi 12:00.

W lodówce znalazła butelkę szampana, dwa kieliszki, butelkę wody Evian, słoik orzeszków i paczkę baterii-paluszaków. W szufladzie stolika odkryła dwa opakowania pigułek na chorobę morską, plastikową bransoletkę, piankowe zatyczki do uszu i prezerwatywę z napisem Iranderm Scop. Wzięła ją do ręki, obróciła w palcach, a potem odłożyła na miejsce. Poszła zobaczyć resztę kajuty. Była malutka i schludna, jak wszystko tutaj. W pięć minut obejrzała wszystko, co było do obejrzenia, i usiadła na łóżku. Stojący przy nabrzeżu statek kołysał się łagodnie, przyprowadzając ją o mdłości.

Głośnik nad łóżkiem zatrzeszczał i rozległ się fałszywie entuzjastyczny głos kierowniczkę rejsu:

– Panie i panowie, witam państwa na pokładzie pięknej „Aurory II”. Za oknami widzimy Pałac Dożów. Ten sam widok powitał posłów hrabiego Thibaut, przybyłych w kwietniu 1201 roku do Wenecji, aby zorganizować transport i zająć się zaopatrzeniem ekspedycji, która przeszła do historii jako czwarta wyprawa krzyżowa...

Hannah leżała nieruchomo. Za oknami...

Więc jednak nie bulaje, tylko okna. Zabawne.

Poczuła się lekko rozczarowana.

W domu w Chicago też miała okna.

Dwie godziny później kierownicza rejsu, stojąc na podwyższeniu w sali bankietowej „Aurory II”, powtórzyła swoją przemowę niemal słowo w słowo.

– Kiedy będziemy przemierzać szlak krzyżowców, przeszłość ożyje na naszych oczach. Odbędziemy podróż śladami bohaterów sprzed wieków, poczujemy to, co oni czuli. Oglądając świątynię Hagia Sophia albo mozaiki w Bazylice Świętego Marka spróbujcie sobie państwo wyobrazić, jakie wrażenie musiały robić na tamtych wędrownych łotrzykach latem 1204 roku...

Sala bankietowa wprost lśniła: wypolerowany na wysoki połysk parkiet, jedwabiste tapety i rząd bulajów – nie, okien – wychodzących na skąpane w słońcu Morze Śródziemne. Na jednym końcu znajdowały się ozdobne barki i nakryte do kolacji stoliki z kryształowymi świecznikami i koronkowymi obrusami, na drugim – podwyższenie z fortepianem i sprzętem grającym.

Elegancka, mniej więcej siedemdziesięciopięcioletnia kobieta o wydatnych kościach policzkowych podała Hannah rękę.

– Renee Epstein – powiedziała scenicznym szeptem.

– Vicky Ludlow – odparła Hannah, odpowiadając jej uściskiem dłoni.

Jednym uchem słuchała przemowy kierowniczk:

– ...jutro wczesnym rankiem na wyspę Methoni. To pierwsza z wielu pięknych wysepek; które zwiedzimy w nadchodzącym tygodniu. Spędzimy na Methoni cały dzień, by wieczorem wyjść w morze i ósmego rano zawinąć do La Valetty na Malcie...

Renee Epstein zapytała o coś, ale Hannah nie dosłyszała jej słów.

– Słucham?

– Mam nadzieję, że się nie narzucam. Wiem, że czasem bywam niezręczna, ale każda matka chciałaby znaleźć właściwą żonę dla syna. Mój Charlie jest lekarzem, specjalistą chorób przyzębia. – Nachyliła się do Hannah i zniżyła głos. – Dodam, że niezłe sytuowanym.

Hannah uśmiechnęła się w odpowiedzi. Kobieta przypominała jej babkę – arystokratkę z Nowej Anglii, zawsze ufarbowaną na czarno, z jednym siwym kosmykiem na skroni, celowo zdradzającym jej wiek. Opięta na skroniach skóra podciągała kąciki oczu, nadając im koci wyraz.

– Mam nadzieję, że się nie narzucam – powtórzyła.

– Ależ skąd. Kłopot w tym, że jestem już zajęta.

– Ach tak! Nie zauważyłam obrączki.

– Bo ja nie...

– „Aurora II” ma osiemdziesiąt dwa metry długości i czternaście metrów szerokości – mówiła właśnie kierownicza. – Dla osiemdziesięciu pasażerów przygotowano czterdzieści cztery luksusowe kajuty z widokiem na morze. Statek jest wyposażony w stabilizatory, które zapewniają spokojną żeglugę, chociaż przez pierwsze dni choroby morskiej nie da się uniknąć. Zaraz do tego wrócę. „Aurora II” spełnia najostrzejsze międzynarodowe normy dotyczące bezpieczeństwa i ochrony środowiska, w tym także normy Straży Przybrzeżnej USA i amerykańskiego Departamentu Zdrowia.

Kierownicza zrobiła krotką przerwę dla nabrania oddechu.

– Miałam niemiłą przygodę – powiedziała Hannah. – W hotelu obrączka zsunęła mi się z palca i wpadła do umywalki. Na pewno spłynęła prosto do kanałów. Mąż mnie zamorduje.

– Ojej! – mruknęła przejęta Renee Epstein. – Co za pech!

– Warto w czasie rejsu skorzystać ze wszystkich luksusów, jakie oferuje

„Aurora II”. Nasz statek ma pięć pokładów. Na samym dole znajduje się pokład A z kabinami załogi i gabinetem lekarskim. Nad nim pokład główny z kajutami dla pasażerów i recepcja. Wyżej jest pokład szalupowy, na którym, jak sama nazwa wskazuje, umieszczone są szalupy ratunkowe. Znalazło się tam też miejsce dla dalszych kabin pasażerskich, salonu, biblioteki i sali kinowej. Jeszcze wyżej jest górny pokład, na którym w tej chwili się znajdujemy – z kuchnią, salą, balową i świetlicą. Na samej górze, połączony z resztą statku tylko zewnętrznymi schodami, jest pokład rekreacyjny, a na nim to, co wszyscy pasażerowie najbardziej lubią: basen.

Wśród pasażerów tu i ówdzie rozległy się chichoty.

– Pewnie wydaje się państwu, że trochę za dużo tych atrakcji – ciągnęła kierowniczką, ładną, mniej więcej trzydziestoletnią kobietą z błyskiem w oku. Miała krótkie kasztanowe włosy i standardowy strój personelu Adventure Dynamics: granatowy żakiet i brązowe spodnie. – Ale proszę się nie martwić, pod koniec tygodnia będziecie państwo znali statek na wylot, chociaż nie na wiele już się to wtedy zda.

Kolejne wybuchy śmiechu. Hannah skorzystała z zamieszania, odsunęła się od Renee Epstein i poszła do baru. Wzięła mimozę, czyli szampana z sokiem pomarańczowym, i posłała stewardowi swój najbardziej olśniewający uśmiech – a kiedy się odwróciła, Renee Epstein stała tuż obok.

– Odrobiła pani pracę domową?

– Słucham? – zdziwiła się Hannah.

– Czy przeczytała pani książki, które nam przysłali? Warto je przeczytać, żeby się przygotować do podróży.

– Nie, jakoś nie miałam okazji.

– Wielka szkoda. Jeżeli chce się w pełni wykorzystać taki rejs, trzeba trochę poczytać. To bardzo pomaga. Choć nie uważam, żeby cała zalecana lista lektur była warta uwagi... Bo wie pani, tam jest w sumie piętnaście pozycji: pięć „podstawowych” i dziesięć „zalecanych”. Niemniej jednak wydaje mi się, że warto wyrobić sobie jakieś pojęcie. Jedna z książek jest zresztą znakomita. Joinville i Villehardouin *Kroniki wypraw krzyżowych*.

Hannah, łyknęła mimozy.

– Ach tak... – mruknęła.

– Kontekst historyczny pozwala głębiej przeżywać to, co się ogląda. Ma pani tę książkę?

– Niestety nie. Zostawiłam w domu.

– Pożyczę pani nasz egzemplarz. Oboje z mężem już go przeczytaliśmy...

Steven skończył wczoraj wieczorem, w hotelu.

– Ojej, nie mogłabym przecież...

– Nie mą o czym mówić. Proszę wpaść do naszej kabiny, dam pani tę książkę. Przy okazji przedstawię pani Stevena, chyba że znów siedzi w łazience. Źle się czuje, ale w czasie rejsu to u niego normalne. Aha, jeszcze jedno; proszę patrzeć w jego stronę, kiedy będzie pani z nim rozmawiała. Niedosłyszysz.

– Nie chciałabym...

– Pełnia doświadczenia jest najważniejsza – powiedziała z naciskiem Renee. – Nie leń się, złotko. Taka gratka nie trafia się co dzień.

Od sztucznego uśmiechania się Hannah zaczynały boleć policzki. Pomyślała, że pewnie wygląda jak lalka. Powinna odwrócić się i odejść, nie zwracając uwagi na tę babę.

– Nalegam. Musi pani przeczytać tę książkę. To znakomita lektura.

– To bardzo miło z pani strony, ale muszę się rozpakować. Może później...

– To zajmie dosłownie chwilę. Chodź. – Renee wzięła ją za rękę. – Ta

impreza i tak się już kończy.

Hannah spojrzała w dół, na jej dłoń, poznaczoną od wierzchu błękitnymi żyłkami. Renee miała delikatne palce, szczupłe i długie.

Ostatnio często zdarzało się jej robić rzeczy, o które nigdy by się nie podejrzewała. Ale czy uda jej się tym razem? Czy zdoła się wyrwać z tego uścisku, skrzywdzić kobietę, która po prostu próbuje się z nią zaprzyjaźnić?

Musi to uczynić!

Niemal zdziwiła się więc, słysząc słowa, które wydobyły się z jej ust:

– To bardzo miłe z pani strony. Dziękuję za zaproszenie, ale wpadnę dosłownie na minutkę.

Słyszała, jak mąż Renee – przypomniawszy sobie, że ma na imię Steven – wymiotuje w łazience. Uśmiechnęła się przepraszająco. Czuła się jak intruz w pokoju chorego, którego żona buszowała w bagażach, szukając książki. Usta się jej nie zamykały.

– Bardzo źle znosi rejsy po morzu. Prawdę mówiąc, ostatnim razem czuł się tak beznadziejnie, że wątpiłam, czy uda mi się go namówić na następny. Dlatego zaplanowałam, że na tę wycieczkę zabiorę Marthę, moją przyjaciółkę. Sporo ostatnio podróżujemy z Marthą: dwa lata temu byliśmy w Wietnamie, rok temu wybrałyśmy się w rejs po Nilu, w przyszłym roku chciałybyśmy popłynąć Jangcy. Jednak Steven w ostatniej chwili postanowił sam mi towarzyszyć. Teraz ma nauczkę. – Masz tam Bonine’a? – zapytała Renee, podnosząc głos. – Leżał na nocnym stoliku.

Z łazienki nie dobiegła żadna odpowiedź.

– A to, czego szukamy, jest tutaj. – Renee wstała znad walizki i podała Hannah książkę w miękkiej okładce, na której uzbrojeni mężczyźni w pancerzach toczyli pojedynki, strzelali z łuków, szturmowali zamki i umierali.

– Dziękuję pani – powiedziała Hannah i cofnęła się do drzwi. – Spotkamy się na kolacji...

– Steven?! Jak się czujesz? Może wyszedłbyś się przywitać? Mamy gościa!

Cisza.

– Mam nadzieję, że lepiej się pan czuje, panie Epstein – dodała Hannah nieco głośniejszym głosem. – Ale proszę nie robić sobie kłopotu, wieczorem i tak się zobaczymy.

– Gdzie ci się tak spieszy, skarbie? Może kieliszek szampana? Mam tu gdzieś zdjęcie Charliego. Rozumiem, że ty jesteś zajęta, ale może masz jakąś przyjaciółkę...

– Bardzo pani dziękuję, ale naprawdę powinnam rozpakować rzeczy.

I dziękuję za książkę. Do zobaczenia!

Hannah wymknęła się na wyłożony czerwonym dywanem korytarz i zamknęła za sobą drzwi, zanim Renee zdążyła zaprotestować. Stała przez chwilę przed kabiną Epsteinów (z numerem 47, wypisanym na drzwiach złotymi cyferkami), zanim odwróciła się i poszła do siebie. Nogi miała jak z waty. Nie wyrobiła sobie jeszcze marynarskiego kroku. A może określenie „marynarski krok” było równie staromodne jak „bulaj”?

Szła ostrożnie, opierając się jedną ręką o ścianę. Zastanawiała się, czy idąc z tą kobietą do jej kabiny, nie popełniła kolejnego błędu. Nowi przyjaciele byli jej w tej chwili potrzebni jak wrzód na tyłku.

Ale przecież nic się nie stało. Renee chciała tylko być uprzejma. Dość tej paranoi.

Jeśli nawet rzeczywiście ktoś ją śledził (co wydawało się nieprawdopodobne) i wiedział, że wsiadła na statek, nie nastąpiłby na nią starszej pani po liftingu. Wybrałby raczej mężczyznę w garniturze, w lustrzanych okularach. Bez krawata. Chociaż pewnie i tu się myliła. Przecież gdyby naprawdę wiedzieli, gdzie jest, poczekaliby, aż

zejdzie na ląd, i wtedy ją aresztowali.

Nie, nie uprzedzajmy faktów. Nikt jej nie śledził – tego była prawie pewna.

Zamknęła się w kabinie na klucz. Rzuciła książkę na łóżko i wyrzała przez okno. Zza walącego się magazynu widać było kawałek bazyliki świętego Marka. Włoska flaga trzepotała na wietrze.

Znów poczuła lekkie rozczarowanie.

Powinno być tak romantycznie: znajdowała się na statku w Wenecji, w przeddzień wyjścia w rejs po greckich wyspach. Tymczasem większość pasażerów stanowili emeryci, a ona ma do odrobienia pracę domową.

Kroniki wypraw krzyżowych.

Westchnęła ciężko. Jeszcze chwilę pogapiła się przez okno, starając się zignorować własne ledwie widoczne odbicie w szybie. A potem odwróciła się i zajęła swoim bagażem.

Przesadziła z pakowaniem.

Przekładając ubrania z walizki do komody, nie mogła się nadziwić, jaka potrafi być bezmyślna. Rejs miał trwać tydzień, a ona zabrała ubrań na co najmniej miesiąc: bluzki, topy, swetry z kaszmiru z dekoltem w serek, dzinsy, spódnice, bikini, szale z delikatnej wełny. Kosmetyki zajmowały osobną torbę. Sądząc po bagażu, można by pomyśleć, że nie zamierza wracać do domu.

Co nie byłoby prawdą. Wybrała się na wycieczkę, żeby trochę ochłonąć. Akurat trafiła jej się okazja, miała zaległy urlop, w dodatku Frank dziwnie się zachowywał. Dlatego spakowała się (biorąc tyle niepotrzebnych rzeczy) i wylądowała w Wenecji. Co nie zmieniało faktu, że było to rozwiązanie tymczasowe. Po zakończeniu rejsu wróci do Chicago.

Gdzie indziej miałaby się podziąć?

Wypakowała ubrania, rozłożyła na prześcieradle dokumenty i pograżyła się w zadumie. Dwa tysiące dolarów w czekach podróźnych, pięćset w gotówce. Musi wrócić. Za takie pieniądze długo by nie pożyła – nie na takim poziomie, do jakiego przywykła.

Jest jeszcze wspólne konto...

Pamiętała o nim. Na wspólnym rachunku w banku w Stanach mieli sto dwanaście tysięcy dolarów. Tylko że jeśli jej przeczucia na temat Franka okażą się słuszne, konto zostanie wkrótce zablokowane. Nie otrzyma z niego ani centa.

Obok pieniędzy leżał folder reklamowy rejsu, którą Vicky dała jej na lotnisku. Hannah ledwie miała czas ją przekartkować. Zajęta była zbyt wieloma sprawami naraz; na żadnej nie mogła się należycie skupić i próbowała zonglować wszystkimi jednocześnie. Wzięła do ręki folder i zaczęła go przeglądać.

Czy to możliwe, że kompletnie myliła się co do Franka? Że zachowywała się jak paranoiczka? Czy też przeciwnie – za mało o tym myślała i zareagowała za późno? Mogą na nią czekać już w następnym porcie, a za tydzień jej portret trafi na okładkę „Tribune”. Będzie to jedno z tych paskudnie ziarnistych zdjęć, na których przestępca naciąga sobie kurtkę na głowę, żeby ukryć twarz, a ochrona toruje mu drogę do samochodu. I ten nagłówek: **ZATRZYMANO PODEJRZANĄ W AFERZE LEKARSKIEJ. POŚCIG DO KOŁA ŚWIATA ZAKOŃCZONY ARESZTOWANIEM.**

Nie, nie ma żadnego pościgu. Firma nawet nie wie, że doszło do malwersacji. Za bardzo przejęła się Frankiem. To wszystko wytwór jej wyobraźni.

Jednak dopóki nie usłyszała wiadomości od Vicky, dopóty była święcie przekonana, że już po niej. Siedziała na kanapie z głową ukrytą w dłoniach i próbowała odegnąć przygnębiające myśli, które dręczyły ją od ostatniej rozmowy

z Frankiem. Wtedy zadzwonił telefon, włączyła się automatyczna sekretarka i usłyszała głos Vicky:

– Hannah, odbierz! Wiem, że tam jesteś. Odbierz! Grega spotkał niesamowity zaszczyt. Wysyłają go do Londynu, ma tam negocjować jakiś wielomilionowy kontrakt. Ja i Maggie lecimy z nim, ale nie możemy się przez to wybrać na wakacje. Jest już za późno na wycofanie pieniędzy. Co powiesz na wycieczkę do Wenecji? Chciałaś przecież wziąć urlop, prawda? Odpoczynek bardzo jest ci potrzebny. Mam dwa bilety, tak że możesz wziąć kogoś do towarzystwa. Przekręć do mnie na komórkę, jak odsłuchasz...

Hannah podniosła słuchawkę.

Od razu obudziły się w niej wątpliwości. Uciec na drugi koniec świata? Prawie bez pieniędzy? Nie mając pomysłu, co zrobić, kiedy się skończą? Nonsens. Myśl o tym, żeby rzucić wszystko w diabły, była jednak zbyt kusząca. Oczywiście tylko na jakiś czas, bo przecież chciała wrócić do dawnego życia...

To dlaczego podróżujesz pod nazwiskiem Vicky, dopytywał się dociekliwy wewnętrzny głos. Dlaczego przed wyjazdem włożyłaś do sekretarki nową taśmę i zniszczyłaś tę, na której była nagrana wiadomość?

Żeby mieć wybór. Na wszelki wypadek.

Nie minęły dwadzieścia cztery godziny od telefonu, kiedy spotkały się na lotnisku. Vicky dała jej bilety i foldery. Hannah podziękowała. Pożegnały się.

Zamyślona przekartkowała folder i odłożyła go na łóżko.

Obok leżał notes z telefonami; sfalszowany paszport i pożyczona od Renee Epstein książka. Nagle przestało się jej wydawać, że przesadziła z pakowaniem. Co się stanie, jeśli w nadchodzącym tygodniu aresztują Franka i nie będzie miała dokąd wrócić? Jeśli ta jedna walizka to wszystko, co jej zostanie na resztę życia?

Nieźła kolekcja, pomyślała z goryczą. Zwłaszcza jak na absolwentkę Yale, niegdyś największą wschodzącą gwiazdę Associated Health Care z Illinois.

Otworzyła paszport. Z błyszczącego zdjęcia spoglądała jej własna twarz: blada, ciemnooka, poważna, okolona złocistymi włosami. Twarz bardzo ładnej młodej kobiety, która – jak mawiała jej matka – mogłaby być naprawdę piękna, gdyby choć czasem się uśmiechała. Patrząc na zdjęcie, Hannah doszła do wniosku, że matka nie przesadzała. Miała oczy jak diamenty, twarde i ostre.

Ale czy tak wygląda przestępca poszukiwany przez policję na całym świecie? Trudno byłoby w to uwierzyć.

Jeszcze trudniej było uwierzyć, że fałszerstwo nie wyszło na jaw, bo zdaniem Hannah było ewidentne. W czerwono-niebieskim wzorku na kartce z rysopisem widać było pojedyncze punkciki; nic lepszego nie dało się wycisnąć z domowej drukarki, zwłaszcza w takim pośpiechu. Podpis „Vicky Ludlow” był zbyt wykaligrafowany, jakby nigdy wcześniej tak się nie podpisywała – i nic dziwnego. Ale najgorzej wyglądała data wydania: kwiecień 2002. Powinna już mieć nowy paszport, taki, jakie zaczęto wydawać po 11 września, z cyfrowym zdjęciem i wszelkimi zabezpieczeniami. Na szczęście urzędnika na lotnisku za bardzo interesowały jej nogi, żeby przyglądał się paszportowi.

Pomyślała, że na komputerze mogły jednak zostać jakieś ślady zabawy z paszportem. Sformatowała wprawdzie twardy dysk, więc (o ile dobrze się orientowała) zapisane na nim dane zostały bezpowrotnie stracone, ale nie mogła się wyzbycić uczucia, że coś gdzieś zostawiła. Że dobry technik komputerowy coś stamtąd wygrzebie.

Jeśli tak, to trudno. Gorzej być nie może.

To znaczy, zawsze zostawał jej ojciec. Gdyby naprawdę wydarzyło się najgorsze, ojciec mógłby... zająć się tym... tym drobiazgiem.

Tylko że wolałaby umrzeć, niż schować dumę do kieszeni i prosić go o cokolwiek.

Odłożyła paszport i wzięła do ręki notes. Kusiło ją, żeby go otworzyć, znaleźć numer Franka, zadzwonić i zażądać paru odpowiedzi.

No tak, ale przecież mogli mu założyć podsłuch w telefonie i teraz FBI czeka, aż zadzwoni. Właśnie, FBI czy szeryf federalny? A może Biuro Nadzoru Poczтового? Albo Inspektora Generalnego?

Odłożyła notes i łyknęła dwa xanaksy na uspokojenie. Odruchowo pomasaowała blade blizny, znaczące od wewnątrz lewy nadgarstek. W chwilach napięcia nieświadomie, instynktownie dotykała tych starych szram.

Znów poczuła mdłości. Nagle z ogromną intensywnością uświadomiła sobie, że jest prawie bez pieniędzy. Nie była w takiej sytuacji, odkąd skończyła college i pierwszy raz pokłóciła się z ojcem. Nawet w najgorszych tarapatkach, zadłużona po szyję, mogła liczyć na kredyt. A teraz, jeśli rzeczywiście mieli ją na celowniku, kredyt zostanie zablokowany tak samo jak konto w Stanach. Musiała stawić czoło faktom; liczyć się z tym, że będzie głodować i marznąć.

Nie. Frank jej nie wrobi.

Przyjechała tu na wakacje, nic więcej.

Wyciągnęła się na łóżku i przymknęła powieki.

Pomyślała o kwiatkach w domu – i od razu otworzyła oczy. Zapomniała o kwiatkach. Mogła przecież poprosić Craiga, portiera, żeby zajrzał czasem na górę i je podał. Craig całymi dniami nic nie robił: siedział za tym swoim biurkiem i gapił się na ogromną stertę książek, do których czytania jakoś nie mógł się wziąć. Chętnie zaopiekowałby się kwiatami. Nie pomyślała żeby go poprosić, a teraz było za późno. Kwiaty pewnie usychały.

Może nawet już uschły.

Hannah Gray prawie im zazdrościła.

ROZDZIAŁ 2

Daisy z uśmiechem podniosła głowę znad biurka i podała mu plik papierów.

Keyes wszedł do swojego gabinetu i rzucił na nie okiem. Wiadomości miały wspólny tytuł *PYTALI O CIEBIE*, a pierwsza z nich pochodziła od Rachel. Zmiał ją i wyrzucił, nie czytając. Jak musi się komuś wyżalić, to niech sobie rozmawia z adwokatem, do ciężkiej cholery! Nie był w nastroju do pogaduszek.

Następne sprawy były ważniejsze, ale mogły poczekać. Położył papiery na skraju biurka, ale ostatnia zwróciła jego uwagę, wynikało z niej, że dzwonił Leonard – godzina była nieczytelna, ale pod spodem Daisy dopisała dwa słowa: *BEZ EFEKTU*.

Bez efektu!

Opuchnięte z niewyspania oczy Keyesa zwięziły się w szparki.

Opadł ciężko na krzesło, podniósł słuchawkę i wcisnął guzik na aparacie.

Przez uchylone drzwi dobiegł go dźwięk brzęczyka.

– Słucham? – Daisy zgłosiła się przez interkom..

– Kiedy dzwonił Leonard? Nie mogę odczytać, co tu nabazgrałaś.

Keyes bezskutecznie starał się stonować napastliwość swojego głosu,

Usłyszał szelest papierów. W Applied Data Systems wszystko dokumentowano po staremu – w trzech kopiach. Dopóki nie przeszedł na tę francowatą dietę, nigdy mu to nie przeszkadzało.

– O trzeciej pięćdziesiąt – odezwała się Daisy. Wyczuwając jego nastrój, mówiła sztywno, cedząc słowa. – Ma się jeszcze odezwać.

– Co dokładnie powiedział?

- Tylko tyle: bez efektu.
- Kiedy zadzwoni, przełącz go do mnie. Natychmiast.
- Dobrze.

Keyes wcisnął guzik drugi raz i głośnik umilkł.

Bez efektu. Co to miało znaczyć, do diabła?

Przytknął palce do skroni, rozmasował skórę, zataczając coraz mniejsze kółka, i przetarł oczy. Sięgnął po papiery i zabrał się do pracy.

Dzwonił Dick Bierman z INFOSEC z pytaniem o „czas reakcji na pinga” w sieci Applied Data Systems. Keyes wziął samoprzylepną karteczkę, nabazgrał wymijającą odpowiedź i przykleił ją do kartki z wiadomością, którą następnie wrzucił do koszyka z korespondencją wychodzącą. Bierman wiecznie drażył i zadawał głupawe pytania, próbując rozpracować strukturę sieci komputerowej ADS. Niech Daisy się nim zajmie.

Następna wiadomość była od Aleksa Petrova, kierownika laboratorium Gamma w Nevadzie. Potrzebował nowych pomp wodnych, czyli – w istocie – dodatkowych funduszy, ale Petrov, jak zwykle niecierpliwy, próbował ominąć regulaminową ścieżkę służbową i zawracał głowę Keyesowi, marnując jego cenny czas. Keyes zerknął na żadaną sumę, obciął ją o połowę i przykleił karteczkę z nową kwotą. Poczta wychodząca. To też robota dla Daisy. Był tak głodny, że nie mógł zebrać myśli. Nie miał głowy do tych wszystkich dupereli.

Przez dobrą minutę gapił się bezmyślnie na następną wiadomość, zanim jego umysł wrzucił bieg i zaczął normalnie pracować. Kosztorys przyjęcia weselnego jego córki. Suma była wręcz astronomiczna. Sprytnie odczekali do ostatniej chwili, żeby nie mógł już nic zrobić. Wszystkiego najlepszego, pomyślał z goryczą. Zmiał kartkę.

Bez efektu.

O co chodzi?

Może zrobił błąd, zostawiając Epsteinów Leonardowi, może powinien był wykorzystać oficjalne kanały...

Nie. Przecież to nic skomplikowanego. Chodziło o podstarzałego naukowca, który pod wpływem nagłego impulsu zaczął uciekać. Zdaniem Rogera Forda Leonard powinien sobie z nim bez problemu poradzić.

Postanowił zjeść obiad. Od razu się lepiej poczuje.

Wychodząc, powiedział jeszcze do Daisy:

- Gdyby zadzwonił Leonard, połącz mi go na komórkę.

W windzie wisiła szkolna tablica.

W windzie! Czy ci jajogłowi naprawdę sądzili, że doznają natchnienia w czasie tych pięciu czy dziesięciu sekund jazdy i jeśli natychmiast nie zapiszą paru cyferek, pójdzie to na marne? Może i tak. Keyes nigdy nie rozumiał, jak pracują ich mózgi. Połowa z nich nie była w stanie poprowadzić samochodu, zaprogramować magnetowidu ani zrobić prania – ale w razie potrzeby recytowali wartość π z dokładnością do dwustu miejsc po przecinku. Z pamięci.

Zjechał na parter. Drzwi otworzyły się z sykiem.

Za szerokim oknem ciągnął się finansowany przez rząd zieloniutki trawnik, zakończony w oddali ogrodzeniem z siatki. Wzdłuż niego w regularnych odstępach były rozstawione strażnice. Na pierwszy rzut oka niczym się nie różniły od budek straży przemysłowej w dziesiątkach innych dużych firm. Tu, w Vermont, miejscowi nie mieli pojęcia, że w każdej z nich siedzi trzech wartowników z karabinami maszynowymi M134 – tak jak nie mieli pojęcia, że kompleks Applied Data Systems ciągnie się pod ziemią we wszystkie strony w promieniu prawie kilometra, zakopany tysiąc metrów pod ich domami, drewnianymi i grobami ukochanych chomików.

Keyes szedł do stołówki, skinieniem głowy pozdrawiając kolegów i znajomych. W myślach opracowywał już menu obiadu. *Gdyby* ściśle trzymać się diety, miał prawo tylko do sałatki, ale przecież nie jadł śniadania. Mógł trochę nagiąć zasady. Poza tym rano z myślą o weselu przymierzył smoking – i udało mu się go zapać. Zasłużył na nagrodę. Najważniejsze to nie przekroczyć tysiąca pięciuset kalorii dziennie...

W kieszeni zabrzączał telefon komórkowy.

Skręcił i przez najbliższe drzwi wyszedł do ogródka japońskiego. Sekretarki obsiadły wystawione na słońcu ławki, zjadając kanapki z tuńczykiem. Minał je, znalazł odosobniony kąt i dopiero wtedy odebrał telefon.

– To Leonard – poinformowała go Daisy. – Łączę.

Keyes usłyszał głucho, jakby dobiegające spod wody buczenie, charakterystyczne dla połączeń międzynarodowych. Potem buczenie zmieniło ton – to włączył się system szyfrujący. Ogrodnik uwijał się przy fontannie ze złotymi rybkami, kucając na jej obramowaniu. Wreszcie w telefonie coś pstryknęło.

– Keyes? – zapiszczało w słuchawce.

– Przy telefonie – powiedział Keyes i odsunął aparat od ucha, kiedy Leonard bluznął najgorszymi epitetami.

Zawsze dziwnie mu się słuchało wyzwisk wypowiedzianych tym piskliwym, chłopięcym głosem. Leonard dobiegał trzydziestki, ale na skutek rzadkiej choroby – niedoczynności przysadki mózgowej, jak wyjaśnił kiedyś Keyesowi z zadziwiającą obojętnością, bez cienia użalania się nad sobą – mówił i wyglądał jak dwunastoletnie dziecko.

Może nie miał powodów, żeby się nad sobą użalać. Gdyby nie jego choroba, nigdy nie zostałby takim mistrzem w swoim fachu. Zanim odkrył go Roger Ford, Leonard występował w wędrowniej trupie cyrkowej. Posada w CIA oznaczała ogromny awans.

Wreszcie potok obelg osłabł i Keyes mógł znów przytknąć telefon do ucha.

– Co się stało?

– To się stało, że dostałem zły numer pokoju.

– Zły numer?

– Nazwisko dobre, ale człowiek nie ten, co trzeba.

Keyes zamknął oczy.

Leonard znów zaczął przeklinać, a potrafił kłąć jak szewc. Bez wątpienia tę umiejętność wyniósł z cyrku. Keyes otworzył oczy i zajął do fontanny. Pod powierzchnią przemknęła pomarańczowa smużka. Piękno i harmonia natury. Rybka pływała w kółko, cały czas w kółko.

Trzeba się odprężyć.

– Ten zawszony boy podał mi zły...

– Zajmę się tym – obiecał Keyes.

– Łatwo ci mówić. To nie ty...

– Wyluzuj się. – Keyes odetchnął głęboko, próbując zastosować się do własnej rady. – Będziesz mi jeszcze potrzebny. Gdzie jesteś?

– Odezwę się – powiedział Leonard i rozłączył się.

Nie zjadł śniadania i zanosilo się na to, że nie zje także obiadu. Pocieszał się myślą o kolacji – solidnej, takiej na półtora tysiąca kalorii – i czekał na telefon od Leonarda. Rozpaczliwie potrzebował jakiegoś pocieszenia. Tyle środków, tyle ludzi, całe to feng shui i złote rybki w japońskich ogródkach – a sytuacja i tak wymykała mu się spod kontroli.

Trzeba było iść do DIA.

Oficjalnie to właśnie DIA, Agencja Wywiadu Obronnego, odpowiadała za sprawy bezpieczeństwa w Applied Data Systems. Gdyby się jednak wydało, że Epstein zniknął, panowie na górze mogliby nabrać wątpliwości, czy Keyes na pewno potrafi poprowadzić tę sprawę. W rzeczywistości zawinił ślepy przypadek: przekłety włoski boy podał zły numer pokoju, bo w hotelu zatrzymały się dwa małżeństwa Epsteinów. Głupia pomyłka. Niemożliwa do przewidzenia.

Nie pogarszaj sprawy. Idź do DIA.

Nie. Dopóki ma inne atuty w ręce – na przykład Rogera Forda i Rona Nicholasa – spróbuje je wykorzystać.

Z Fordem znali się jeszcze ze szkoły. Po ukończeniu studiów ich przyjaźń się pogłębiła: dwaj młodzi, ambitni absolwenci uniwersytetu razem trafili na wschodnie wybrzeże, szukając możliwości zrobienia kariery. Potem ich drogi się rozeszły – Ford trafił do CIA, Keyes do ADS – ale przyjaźń przetrwała.

Ron Nichols pracował w ADS w charakterze doradcy do spraw zarządzania kryzysowego. Rocznie zarabiał sto osiemdziesiąt sześć tysięcy dolarów, ale tak naprawdę wcale nie istniał. Keyes stworzył go wraz z fikcyjnym stanowiskiem przed szesnastoma miesiącami, aby pozyskać w ten sposób fundusz awaryjny do wykorzystania w wyjątkowych sytuacjach. Takich właśnie jak teraz. Kiedy Ford wyświadczał Keyesowi przysługę i podawał mu niezbędne nazwisko, Ron Nichols pokrywał wszelkie związane z tym wydatki.

Pełniące podwójną rolę, ADS miało zarówno wady, jak i zalety innych rządowych agencji. Zalety były głównie natury finansowej. Budżet Keyesa zwykle się nie dopinał. Największą jego część dostarczała DARPA, Agencja Zaawansowanych Projektów Obronnych. Z Laboratorium Narodowego w Los Alamos, LANL, również dostawał sporo pieniędzy. Reszta pochodziła z NSA,

Narodowej Agencji Bezpieczeństwa, której fundusze miały charakter całkowicie nieoficjalny, czyli nie były wykazywane w budżecie państwa – nie bez powodu NSA miała przydomek No Such Agency, czyli Nie Ma Takiej Agencji. Kiedy Biały Dom kupował popielniczki po pięć tysięcy dolarów za sztukę, finansował właśnie NSA.

Ale była i druga strona medalu. Każda z finansujących ADS agencji uważała, że Keyes powinien podlegać właśnie jej. Dziesiątki ludzi – takich jak Dick Bierman – czyhały na jego najmniejsze potknięcie, żeby zająć to stanowisko.

Dlatego właśnie nie mógł iść z tą sprawą do DLA. Nie wykorzystał jeszcze wszystkich możliwości.

Daisy weszła do gabinetu i położyła teczkę na jego biurku. Skinął głową i skupił się na prowadzonej rozmowie telefonicznej. Wmówił włoskiemu policjantowi, że jest detektywem nowojorskiej policji i poszukuje człowieka podejrzanego o morderstwo. Dostał właśnie cynk od jego byłej żony, że bandyta zbiegł do Wenecji.

Zanim Leonard zadzwonił ponownie, Keyes wiedział już wszystko, co było mu potrzebne.

– Epstein dziś rano wsiadł na statek – powiedział. – To znaczy, że nie podejrzewa, żeby ktoś go śledził. Nie sprawi ci problemu.

Leonard mruknął coś pod nosem.

– Przestań. Co się stało, to się nie odstanie.

Tym razem Leonard się nie odezwał, więc Keyes mówił dalej:

– Jutro dopłyną na Methoni, spędzą tam cały dzień i po kolacji wyjadą w morze. Chcę, żebyś jeszcze dziś dostał się na tę wyspę... – Keyes sprawdził coś w papierach – ...i znalazł sobie nocleg. Jest tam sześć hoteli, obojętne, który wybierzesz. Najbliższe lotnisko znajduje się w Kalamacie, pięćdziesiąt kilometrów

stamtąd; Daj znać Daisy, jak coś załatwisz. Ją postaram się o pomocnika. Spotkacie się w hotelu.

– Pomocnika? – zdziwił się Leonard.

– Tak; Więc kiedy znajdziesz sobie pokój...

– Ja pracuję sam – przerwał mu Leonard.

– Nic. Tym razem nie. Gdyby w hotelu wszystko poszło jak należy...

– To nie była moja wina.

– Wiem – odparł spokojnie Keyes – ale i tak przyda ci się wsparcie. Zrobisz to jutro rano w zamku w Sapienza. Kiedy ty będziesz zajęty, ktoś musi wejść na statek i przeszukać kabinę gościa.

Keyes wątpił, by naprawdę okazało się to konieczne. Epstein mógł zniszczyć kartkę, którą widział u niego Greenwich, ale wcale nie musiał tego zrobić. Na kartce zapisano formułę określającą trwałość mikroskopijnej czarnej dziury. Greenwich twierdził, że wzór był po prostu genialny. W gruncie rzeczy fakt, czy kartka nadal istniała, czy nie, nie miał istotnego znaczenia. Greenwich zapewnił Keyesa, że potrafi odtworzyć wyniki Epsteina. Trzeba było tylko uciszyć Epsteina, zanim narobi zamieszania.

Jednak Keyes spałby spokojniej, gdyby udało się odzyskać opracowaną przez Epsteina formułę. Zyskałby pewność, że nie wpadła w niepowołane ręce. I chociaż nie wątpił w zdolności Greenwicha, wolał nie ryzykować. Przezorny zawsze ubezpieczony.

– Jak się nazywa ten zamek? – spytał Leonard.

– Sapienza. Pójdą tam jutro na wycieczkę. Znajdź miejsce, w którym będziesz mógł to załatwić. Bez świadków. Dasz sobie radę?

– Dam..

– A potem powiadom Daisy.

Keyes odłożył słuchawkę.

Przez dłuższy czas wpatrywał się tępo w blat biurka, zanim ponownie sięgnął po telefon i zadzwonił do Waszyngtonu, do Rogera Forda. Ostatnio chyba zbyt często prosił go o przysługi. Nawet najstarszych przyjaciół (a może zwłaszcza ich) należało wykorzystywać z umiarem, ale był gotów zaryzykować. Musiał zamknąć tę sprawę. Musiał grać ostro.

A w ostrej grze Roger Ford nie miał sobie równych.

Ford sprawiał wrażenie zajętego; w rekordowym czasie uporali się ze zwyczajowym powitaniem. Potem zapytał, czy Leonard się sprawdził. Keyes wyjaśnił, że mieli mały problem, chociaż nie z winy Leonarda, i że zależy mu na tym, żeby szybko zmontować zespół, który opanuje sytuację.

– Niewielką ekipę, jednego, dwóch ludzi – ciągnął. – Ale pewnych. I to zaraz.

Słyszał, jak Ford stuka w klawiaturę komputera.

– Co to za robota?

– Trzeba wejść na zabezpieczony teren i przeszukasz go. A także poradzić sobie, gdyby zaszły jakieś nieprzewidziane okoliczności.

Ford milczał. Keyes zastanawiał się, czy rozważy jego słowa, czy też jest zajęty zupełnie czym innym.

– Mam pewien pomysł...

Keyes wziął do ręki długopis.

– Nazywa się Dietz. Od paru lat na emeryturze, ale od czasu do czasu jeszcze dla nas pracuje. Nieoficjalnie.

– A wcześniej?

– W latach siedemdziesiątych w Langley. W osiemdziesiątym trzecim udział we wspólnej operacji FBI i CIA, kryptonim „Zaloty”: Nowy Jork, werbowanie

podwójnych agentów z szeregów KGB, żeby pracowali dla Wuja Sama. Kiedy na scenie pojawiła się FSB, czyli Federalna Służba Bezpieczeństwa, zmieniły się zasady gry. Potrzebna była świeża krew. Dietz wypalił się w końcu i w dziewięćdziesiątym pierwszym odszedł, ale kilka razy w roku jeszcze nam pomaga. Dla kasy, jak sądzę.

Keyes się nachmurzył.

– Liczyłem na kogoś z doświadczeniem w terenie. – Dietz się nada. Przecież nie zatrudniamy go do przekładania papierów.

– Jakiś telefon?

Ford podał mu numer, wymienili jeszcze trochę zdawkowych uprzejmości, po czym Ford powiedział, że ma ważne spotkanie. I na tym rozmowa się skończyła.

Keyes jednak nie złapał od razu za telefon. Pogrążył się w zadumie. Czy Leonard i ten Dietz poradzą sobie we dwóch? Jeżeli teraz, zamiast skontaktować się z DI A, właduje w to swoich ludzi, pogrąży się jeszcze bardziej.

Na pewno sobie poradzą. To zawodowcy, a na statku nie będzie nikogo, kto mógłby sprawić im kłopot. Wycieczkowiec to zbieranina staruszków, a kiepsko wynagradzana załoga nie pogardzi paroma groszami. Najgorsze, co się mogło trafić, to jakiś nadgorliwy ochroniarz, ale gdyby się wtrącił, to szybko tego pożałuje. Epstein popełnił ogromny błąd, wsiadając na ten statek.

Z początku Keyes myślał, że próbuje ich wykiwać: kazał żonie zrobić rezerwację, żeby ADS zgubiło jego trop. Na szczęście we Włoszech policja widziała, jak wsiał rano na statek. Sam wlaź w pułapkę bez wyjścia.

Dziwne, że taki geniusz popełnił taki głupi błąd.

Cóż, każdy może się pomylić – wystarczy sobie przypomnieć akcję w hotelu. Błędy są nieuniknione, a idioci nie mają na nie monopolu. Nawiasem mówiąc, Epstein słynął ze swojego roztargnienia. Stwierdzali to wszyscy jego współpracownicy. Mózg, który żonglował abstrakcyjnymi liczbami, nie potrafił poradzić sobie z płaceniem w terminie miesięcznych rachunków.

Poza tym Epstein uciekał pod wpływem kaprysu, jakby nagle poczuł jakieś dziwne wyrzuty sumienia. Tydzień wcześniej dokonał przełomowego odkrycia, a potem wpadł w panikę. Nie przemyślał wszystkiego do końca.

Z drugiej strony... Może należał mu się szacunek. Może to tylko Keyes próbuje przypisać mu te moralne wątpliwości? Może w rzeczywistości Epstein zamierzał sprzedać tajemnicę temu, kto zapłaci najwięcej? Albo uciekał, gdzie go oczy poniosą, bo i tak nie miał nadziei długo żyć? Jeżeli przy jego wynalazku bomba atomowa przypominała zabawkę dla dzieci, mógł uznać, że samobójstwo jest jedynym wyjściem, jeśli odkrycie ma pozostać nieujawnione...

Akurat to nie byłoby takie złe. Greenwich powtórzy jego wyniki. Obiecał to Keyesowi. Należało tylko uciszyć Epsteina, co za dwadzieścia cztery godziny stanie się faktem. I wszystko wróci do normy.

Gdzieś pod ziemią rozległ się huk wybuchu. Stojące na biurku zdjęcie syna Keyesa zadrżało i przewróciło się. Postawił je z powrotem.

Wszystko wróci do normy, powtórzył w myślach. O ile codzienność w ADS można było nazwać normalną.

Podniósł słuchawkę i wybrał podany przez Forda numer.

ROZDZIAŁ 3

– Kiedy pierwszy raz popłynęłam w rejs, rzygałam jak kot – powiedziała Jill Murphy, jedząc jajka na bekonie.

Ta drobna, mniej więcej sześćdziesięciopięcioletnia kobieta o żywych szmaragdowych oczach i krótkich włosach, farbowanych na platynowy blond, była dla Hannah modelowym przykładem szekspirowskiej złošnicy. Jackie Burns określiłaby ją pewnie duzo mniej życzliwym słowem. Przyglądała się jej podejrzliwie, jakby tylko czekała, kiedy Jill zgasi wesołą atmosferę.

Jill Murphy przełknęła jajecznicę i mówiła dalej:

– To było osiem lat temu, zaraz po śmierci mojego Harolda. Płynęłam na „Illyrii”. Dobrze pamiętam ten dzień. Pisałam list do córki i po każdym zdaniu biegłam na pięć minut do łazienki. Potem wracałam, znów pisałam zdanie i znów...

Hannah spojrzała smętnie na stojący przed nią jogurt z owocami. Odłożyła łyżkę.

Siedzieli we czworo przy aluminiowym stoliku na pokładzie szalupowym. Drewniane krzesła miały poręczę obite materiałem w kwiatki. Po lewej stronie Hannah siedziała Jackie Burns z niedosuszonymi po porannym prysznicu włosami. Dalej była Jill Murphy, która bez przerwy szczebiotała beztrąsko o wymiotowaniu na statkach. Naprzeciwko Hannah siedział mężczyzna imieniem Yildirim – Turek po czterdziestce, kościsty, przystojny, z odstającymi uszami i półprzymkniętymi oczami, których nie podnosił znad talerza.

– Przepraszam, nie chcę być natrętna... – odezwała się Jill – ale Vicky coś kiepsko wygląda.

Chwilę trwało, zanim Hannah zorientowała się, że to o niej mowa. Machnęła lekceważąco ręką.

– Źle spałam.

– Jak my wszyscy – pocieszyła ją Jill. – Przez pół nocy nie mogłam zasnąć po tym, jak zobaczyłam tego człowieka wywożonego z kabiny dwadzieścia jeden. Gdybym była przesądna, powiedziałabym, że to zły omen. Właściwie, jak się tak nad tym zastanowić... Dwadzieścia jeden przynosi przecież pecha, prawda? Trzy razy siedem...

– Siódemka to szczęśliwa liczba – wtrąciła Jackie.

– No dobrze, może nie powinnam głośno o tym mówić. Większość pasażerów i tak już stoi nad grobem.

– Ktoś... umarł? – spytała Hannah.

– W nocy – przytaknęła Jill. – Ale na takich imprezach to normalka. Mam rację, Jackie?

Jackie wzruszyła ramionami.

– Biedny człowiek. – Jill zeskrobała widelcem przysmażone jajko i podniosła go do ust. – Wczoraj z nim rozmawiałam. Bruce Greene. Biedna ta jego żona. Trudno sobie wyobrazić, co musi czuć.

– Zmieńmy temat – zaproponowała Jackie. – Wszyscy chyba niecierpliwie czekają na...

– Pierwszego trupa widziałam na moim trzecim rejsie – ciągnęła Jill. – Na Riwierze Włoskiej. Helen Lowenthal, nigdy nie zapomnę jej nazwiska. Nie wiedzieli, co z nią zrobić, więc wsadzili ją do zamrażarki, żeby jakoś dowieźć do portu. I wiecie, co się stało? Zamarzała na kamień. Kiedy weszliśmy do portu, nie dało się jej wynieść, bo nie mieściła się na zakrętach. Najśmieszniejsze było to, że nikt nie pomyślał, żeby postawić ją pionowo! Nie do wiary, prawda?

Hannah odwróciła wzrok; nawet bez paplaniny Jill robiło jej się niedobrze. Morze było spokojne, więc właściwie nie miała powodu, żeby czuć się aż tak fatalnie. Kolor wody – spienionej przed dziobem „Aurory II” i w kwaterze za rufą – przechodził od oślepiająco turkusowego przy samych burtach do głębokiego błękitu na horyzoncie.

Koło ich stolika przechodziła właśnie Renee Epstein, osłaniając dłonią twarz przed słońcem. Jackie Burns odwróciła się w jej stronę.

– Pani Epstein! – zawołała. – Mogłaby pani przekazać mężowi, że nie będzie żadnego problemu z wysłaniem paczki? Wystarczy zostawić ją pod drzwiami, a ja już dopilnuję, żeby dotarła na pocztę. Opłatę doliczymy państwu do rachunku.

Renee Epstein zwolniła kroku. – Paczki?

– Tak, pani mąż pytał wczoraj o możliwość wysłania przesyłki.

– Aha... – Renee wyglądała na zakłopotaną. – Dobrze, powiem mu. Jak się panie czują?

– Lepiej niż Bruce Greene – wtrąciła się Jill. – Przez pół nocy nie zmrużyłam...

Zatrzeszczał zawieszony na ścianie głośnik. Jakiś mężczyzna po angielsku, z silnym greckim akcentem, powiedział:

– Proszę wszystkich pasażerów o uwagę. Za godzinę wejdziemy do portu w Methoni. Wszyscy zainteresowani wycieczką do zamku Sapienza – nazwę tę mężczyzna wyraźnie zaakcentował – proszeni są o wpisanie się na listę w recepcji. Ci, którzy nie wybiorą się na wycieczkę, mają czas wolny do godziny siedemnastej trzydzieści. O osiemnastej wychodzimy w morze. Dziękuję za uwagę, życzę państwu miłego dnia.

Głos umilkł, ale z głośnika jeszcze przez chwilę dobywały się piski i szумы.

Barczysty mężczyzna z papierosem w ustach stał na parkingu i patrzył, jak „Aurora II” cumuje przy nabrzeżu. Trudno byłoby określić jego narodowość. Skórę miał jaśniejszą niż mieszkańcy wyspy, ale ubierał się w typowym dla nich śródziemnomorskim stylu: kolorowa koszula, rozpięta pod szyją, luźne spodnie koloru khaki i wyblakłe sandały marki Naot. Wśród siwych włosów, gęsto porastających pierś mężczyzny, połyskiwał złoty łańcuszek. Na ramieniu miał powycieraną skórzaną torbę. Gdyby ktoś w ogóle zwrócił na niego uwagę, doszedłby z pewnością do wniosku, że mężczyzna należy do załogi któregoś z przycumowanych do nabrzeża statków – jedne z nich były większe od „Aurory II”, inne mniejsze, a każdy pływał pod inną banderą.

Przylegający do nabrzeża nowy parking przypominał Amerykę sprzed ładnych paru lat. Obok mężczyzny wisiały na stojaku koszulki ze zdjęciami Backstreet Boys, N'Sync i Ricky'ego Martina. Stały też tu charakterystyczne biało-czerwone pudełka marlboro. Z tyłu znajdowało się kilka automatów telefonicznych, budka z lodami, a opalony na ciemny brąz dzieciak handlował bateriami i słuchawkami.

Za parkingiem zaczynało się miasteczko Methoni, które nie było już ani tak nowoczesne, ani zamerykanizowane. Małe domki w pastelowych barwach – żółte, jasnobrązowe i brzoskwiniowe – harmonijnie współgrały ze szmaragdową zielenią morza. W wielu domach na parapetach stały skrzynki z kwiatami, w których drzemały rozleniwione koty. Wszędzie rosły powykęcane, karłowate drzewka, rzucające skąpy cień.

Przez pół godziny po przybyciu „Aurory II” mężczyzna nie ruszał się z miejsca, paląc papierosa za papierosem. Przez ten czas podstawiono trap, a na parking zajechał sfatygowany autokar wycieczkowy. Pasażerowie zeszli z pokładu i skupili się zaafelowani wokół autokaru.

Francis Dietz spojrział na zegarek i przeczesał palcami siwiejące, kręcone włosy. Drugą ręką podniósł do ust papierosa – ten spokojny, miarowy gest powtarzał się regularnie.

– Vicky! – zawołała Jackie. – Jedziesz z nami?

Hannah odwróciła się do niej.

– Minutkę!

– Nawet pięć. – W głosie Jackie jak zwykle dało się usłyszeć wymuszoną wesołość. – Ale nie więcej. Jeśli autobus odjedzie bez ciebie, spędzisz cały dzień na wyspie sama. Nie radzę, chyba że zabrałaś z domu gaz obezwładniający.

Hannah uśmiechnęła się niepewnie. Idąc do telefonu, rozważała w myślach słowa Jackie. Czy Grecy potrafią być napastliwi? Na pewno o to właśnie jej chodziło. Ładna młoda kobieta – o ile Hannah mogła w wieku trzydziestu dwóch lat uchodzić jeszcze za młodą – nie powinna na greckiej wysepce spędzać całego dnia samotnie, bez przyzwoitki.

Często wydawało się jej, że mężczyźni lecą na nią – była przecież atrakcyjną partią: zamożna, ładna, z dobrej rodziny – a potem z zakłopotaniem stwierdzała, że to tylko jej wyobraźnia. Jej umysł chętnie zbaczał w nieprzystojnym kierunku. Tak jak z tym plastrem w szufladzie stolika, który wzięła za prezerwatywę. Chwała Bogu, że nikomu o tym nie wspomniała! Kiedy obejrzała kondom dokładniej, okazało się, że trzyma w rękach lekarstwo na chorobę morską: przyklejony do skóry plaster uwalniał do krwiobiegu skopolaminę.

W tym jednak przypadku miała wrażenie, że się nie myli. Widziała, jak patrzą na nią mężczyźni z załogi – może nie lubieżnie, ale znacząco, pożądliwie. Musieli ją brać za słomianą wdowę. Dziwne określenie: słomiana wdowa. Bardziej kojarzyło się jej z pokoleniem rodziców niż własnym. Ale takie pewnie sprawiała wrażenie: mężatka, sama na wakacjach, bez obrączki.

Jeśli tak myśleli, to niech im będzie. Lepsze to niż żeby znali prawdę.

Stanąła przy automacie i wyjęła z torebki notesik z telefonami. To nie jest dobry pomysł, pomyślała jeszcze, otwierając notes na telefonie do Franka i kładąc go na oblepionej gumą do żucia ażurowej półce pod aparatem. Guma rozpuszczała się na słońcu. To nie jest dobry pomysł, Hannah. Nie rób tego.

Ale dopóki nie zadzwoni, dopóty nie będzie wiedziała, na czym stoi.

Mogłaby wtedy wrócić do Chicago i wpaść w bagno po uszy. Oczyma wyobraźni widziała już nagłówki w gazetach, jakby żywcem wyjęte ze starych filmów. Musiała zadzwonić do Franka i upewnić się, że może bezpiecznie wrócić. Zamierzała być ostrożna, nie płacić kartą, zamówić rozmowę na koszt abonenta i rozmawiać najwyżej minutę. Czy tyle wystarczy, żeby ustalić, skąd dzwoni? Jeśli dobrze pamiętała z filmów, to chyba nie, ale cholera wie tych filmowców, czy nie oszukują.

Uzyskała połączenie z centralą i odezwała się po angielsku. Połączono ją z innym operatorem, potem jeszcze z innym, ale w końcu znalazł się ktoś, kto rozumiał podany przez nią numer.

W słuchawce rozległ się szmer zakłóceń. Hannah odwróciła się i ogarnęła wzrokiem miasteczko. Słońce zbliżało się do zenitu i mieszkańcy Methoni pochowali się po domach. Czas stanął w miejscu.

Pomyślała, że to piękne miejsce.

Gdyby tylko uciekając, zdążyła zgarnąć więcej pieniędzy, z przyjemnością spędziłaby następnych kilka lat, odwiedzając takie wysepki, chłonąc ich atmosferę. Gdyby...

Zadzwonił telefon.

Telefonistka spytała ją o nazwisko. Omal nie odpowiedziała Vicky Ludlow, potem chciała się odruchowo poprawić na Hannah Gray, ale zreflektowała się i odparła:

– Puchatek.

Tak pieśczośliwie nazywał ją Frank. Nie ją jedną zresztą, ale ile kobiet mogło

zadzwoić na jego koszt i przedstawić się w ten sposób? Należało tylko mieć nadzieję, że Frank się zorientuje.

Telefon zadzwonił dwa razy i wliczyła się poczta głosowa. Hannah usłyszała znajomy, chrapliwy głos Franka, przytłumiony dzielącą ich odległością. Znów zgłosiła się telefonistka, tym razem Amerykanka. Mówiła z akcentem z południa Stanów:

– Zgłosiła się automatyczna sekretarka. Czy chce pani...

Hannah odwiesiła słuchawkę. Wpatrywała się przez chwilę w aparat i zastanawiała, czy powinna spróbować drugi raz.

Oczywiście, że nie. Przecież i bez tego znała odpowiedź – w głębi serca, intuicyjnie wiedziała, że Frank ją wystawi. Sypnie ją, sam się wyślizga, a ona trafi prościutko do więzienia. Pewnie właśnie nad tym pracuje.

Powie, że próbował jej to wyperswadować, ale wiadomo jak to jest..

Zdążył już pewnie okręcić sobie dookoła palca FBI, opowiadając jakieś żarciki futbolowe. Facet zrozumie faceta. Przytakują mu pewnie, uśmiechają się znacząco. Męska solidarność.

Wiecie, panowie, jak to jest. Coś sobie ubzdura i nie sposób jej to wybić z głowy...

W rzeczywistości jedyną jej winą był błąd w ocenie sytuacji.

Kiedy natknęła się przez przypadek na pierwszy ślad oszustwa, powinna była pójść prosto do Billa Scarborougha i złożyć raport. Przekopała się przez sterty papierów i doszła do wniosku, że może być tylko jeden podejrzany: Frank Anderson. Nikt inny.

Zamiast pójść do Scarborougha, spotkała się z Frankiem, zażądała wyjaśnień i dała mu się przekonać. Chociaż teraz, na spokojnie, musiała przyznać, że nie chodziło o żadne argumenty, tylko o ten apartament przy Lake Shore Drive. O kapitalny widok z okna i jedwabną pościel.

Kiedy przyłapała go drugi raz – tym razem na wystawianiu recept i inkasowaniu pieniędzy ze zniżek przysługujących nieżyjącemu pacjentowi – znów chciała iść do Scarborougha. Zgodnie z przepisami informatorowi przysługiwało piętnaście procent zasądzzonego odszkodowania; wsypując Franka, nieźle by się ustawiła. Tylko że – naturalnie – nie zrobiła tego. Próbowwała go chronić. Nieodrodna córeczka tatusia szybko się nauczyła, że należy dbać o ludzi, którzy przewijają się przez jej życie.

Kiedy złapała go po raz trzeci, było już za późno.

Seksualny aspekt ich znajomości przestał się wtedy liczyć. Hannah poszła prosto do Franka, zdeterminowana, żeby raz na zawsze zakończyć sprawę.

– Następnym razem – zapowiedziała – nie będę cię kryła. A kiedy zaczną zadawać pytania, powiem wszystko, co wiem.

Frank uśmiechnął się od ucha do ucha, szczerze, swobodnie, czym trochę zbił ją z pantałyku. Siedzieli w barze TGIF i popijali piwo w gwałnym piątkowym tłumie.

– Nie zapominaj, Puchatku – powiedział łagodnie Frank – że i ty masz brudne łapki.

Zupełnie jakby czekał, aż zacznie mu grozić. Jakby od początku to zaplanował. zaproponował wcześniej, żeby założyli wspólne konto. W ten sposób nie tylko oplatał ją swoją siecią, ale też zapewnił sobie ochronę. Wahala się, ale w końcu się zgodziła. Romantyczna faza związku dobiegła już wtedy końca, ale etap biznesowy dopiero się rozpoczynał.

Dała mu się przekonać, że nic nie ryzykują.

– Firma jest duża – tłumaczył. Piana z piwa osiadła mu na górnej wardze. Uśmiechnął się i mrugnął porozumiewawczo. – Ogromna. Stać ją na to, a poza tym

nikt nic nie zauważy, Puchatku. Obiecuję.

Uwierzyła mu.

A teraz było za późno. Patrząc wstecz, dziwiła się, że podczas tej ostatniej rozmowy nie wyczuła, co się kroi. Wszystko się skończyło. Wpadli. Nie powiedział tego wprost, ale nie musiał. W jego wersji to Hannah będzie pomysłodawczynią, makia we licznych manipulacjach, wiedźmą, która go opętała.

Ktoś stanął za jej plecami. Pospiesznie wrzuciła notes do torebki i odwróciła się. Była to Jackie Burns.

– Chodź – powiedziała – jedziemy.

Razem przeszły przez parking. Mężczyzna z papierosem w zębach odprowadził je wzrokiem. Hannah wsiadła do autokaru, gdzie już czyhała na nią Renee Epstein.

– Mam cię! Kochanie, to jest właśnie ta młoda kobieta, o której ci opowiadałam. Vicky Ludlow.

Mężczyzna siedzący obok Renee był starszy, niż się Hannah spodziewała; liczył sobie na pewno ponad osiemdziesiąt lat. Miał brunatne plamki na łysinie i zwodniczo spokojne oczy, którymi bacznie przyglądał się Hannah.

– To ta?

Miał lekko wyczuwalny obcy akcent, musiał pochodzić gdzieś ze wschodu Europy.

– Prawda, że urocza? Mężatka, ale pomyślałam, że może mieć przyjaciółkę, która nadawałaby się dla...

– Ma pani książkę? – spytał mężczyzna bez ogródek, prawie oskarżycielskim tonem. Hannah drgnęła, zaskoczona, Renee zaś uśmiechnęła się szeroko, jakby przyzwyczajona do tuszowania męzkowskich gaf.

– Strasznie cię przepraszam, kochaniutka, ale musiałam się pomylić. Steven jeszcze nie skończył czytać tej książki.

Hannah usiadła po drugiej stronie przejścia. Zmusiła się do uśmiechu.

– A ja jej nawet nie zaczęłam. Jak tylko wrócimy na statek, przyniosę ją państwu do kabiny.

Jackie Burns wsiadła do autokaru, zamieniła dwa zdania z kierowcą i wzięła mikrofon do ręki.

– Dzień dobry państwu! – zaświergotała radośnie, kiedy ruszyli. – Panie i panowie, na dzisiaj przygotowaliśmy wyjątkową atrakcję, wizytę w słynnym na cały świat zamku Sapienza. Wenecjanie rozpoczęli jego budowę w XIII wieku...

Francis Dietz poczekał, aż rozklekotany autokar wczołga się na pierwsze wzgórze, a potem wyrzucił papierosa i ruszył w stronę trapu „Aurory II”.

Stało przy nim trzech mężczyzn w mundurach stewardów: dwóch Filipińczyków i Grek. Podchodząc, Dietz sięgnął do torby. Mężczyźni zagrodzili mu drogę. Grek skrzyżował ramiona na piersi.

– Czym mogę służyć? – zapytał z przesadną uprzejmością.

Dietz się uśmiechnął. Uśmiech nadawał jego kamiennej twarzy szczerzy, miły wyraz; potrafił w ten sposób zjednywać sobie ludzi. Wyjął rękę z torby.

– Muszę wejść na pokład – powiedział. – Kwestia bezpieczeństwa. To nie potrwa długo.

– Kwestia bezpieczeństwa – powtórzył steward. – Jakiego bezpieczeństwa?

– Narodowego – odparł Dietz i niespodziewanie podał mu rękę.

Trzy pary oczu podążyły za jego wyciągniętą dłonią: przytrzymywany zgiętym kciukiem, ledwie widoczny tkwił w niej zwitek banknotów. Grek uściśnął podaną mu rękę.

– Pięć minut – powiedział.

Filipińczycy spojrzeli po sobie, Dietz skinął głową, wyminął ich i szybkim krokiem wszedł po trapie. Będąc już na pokładzie, usłyszał, jak stewardzi kłócą się między sobą.

ROZDZIAŁ 4

Płatki róży, które trzymał w ręce, były miękkie i lekkie jak piórka.

Przyciskając zaciśniętą pięść do boku, Keyes wpatrywał się w drzwi kościoła, w których miała się pojawić jego córka z mężem. To, że jej szkolny kolega został teraz zięciem Keyesa, wydawało mu się równie nierealne jak te płatki róży. Do tej pory Keyes wyobrażał sobie, że chłopak jest tylko jednym z pechowych incydentów na drodze życia córki, ale przed chwilą na własne oczy widział, jak młodzi przysięgali sobie, wkładali obrączki, całowali się...

Goście, stojący przy wyjściu w dwóch rzędach z garściami pełnymi różanych płatków, też niecierpliwie zerkali ku drzwiom. Na razie ślub przebiegał bez zakłóceń, ale gdzie się podziali państwo młodzi? Keyes zauważył Rachel, która próbowała zwrócić na siebie jego uwagę; jakby nie wiadomo czemu miała do niego pretensję, że młodzi jeszcze nie wyszli. Unikał jej wzroku, patrzył na drzwi.

Telefon zahuczał w kieszeni. Włączył się alarm wibracyjny.

Keyes zignorował go. Wreszcie wychodzili. Tak uśmiechniętej i szczęśliwej Margot Keyes nie widział od lat. Nawet ponury Joe Cifelli junior tym razem wyglądał na zadowolonego. Keyes podniósł rękę z płatkami róży. Bez względu na to, czy aprobował decyzję córki, klamka zapadła. Margot była dorosła i miała prawo sama dokonywać wyboru. On zaś, dumny ojciec, mógł co okazać jej życzliwość.

Razem z dwudziestoma gośćmi wyrzucił płatki pod niebo. Przez chwilę padał różany deszcz.

A potem państwo młodzi wsiedli do czekającej na nich limuzyny, którą mieli pojechać na wesele. Rachel wciąż próbowała przyciągnąć wzrok Keyesa, a telefon buczał uporczywie. Sięgnął do kieszeni i wyłączył aparat. Dziś jego córka wychodzi za mąż. Nie będzie z nikim rozmawiał.

Daisy dobrze wiedziała, że to wyjątkowy dzień. I jeśli zdecydowała się zadzwonić, sytuacja musiała być podbramkowa...

Dick Faulk, dziadek Margot, klepnął go w plecy.

– Moje gratulacje! – powiedział. Wyglądał na niezbyt szczęśliwego, jakby też nie mógł uwierzyć, że Margot zadowolona jest takim Cifellim. – Moje gratulacje! Co za wspaniały dzień, Jim! Co za dzień.

Joemu Cifellemu, ojcu pana młodego, usta się nie zamykały. Keyes śledził wzrokiem ich ruchy, starając się nie zwracać uwagi na słowa. Spłyną po nim jak woda po kaczce.

– Chwali się dziewczynie, że dojrzała do małżeństwa – mówił Cifelli. – No wiesz, po tym, co wam się przydarzyło. Ale przecież to, że jednemu pokoleniu nie wyszło, nie oznacza jeszcze, że następnemu też musi się nie udać, prawda? Dobrze mówię?

Keyes z niewzruszoną twarzą pokiwał głową.

Za plecami Cifellego zespół muzyczny smętnie przygrywał *Autumn Leaves*. Keyes nie mógł się doczekać, kiedy skończą ten koktajlowy jazz. Można by wtedy przejść do toastów. Bez toastów ta noc nigdy się nie skończy.

Z lewej strony przeszedł kelner z tacą pełną dań z łososia i wieprzowiny. Oczy Keyesa mimowolnie podążyły za nim. Umierał z głodu.

– Jeśli chcesz wiedzieć, co ja myślę, Jim, powiem ci krótko: to nie twoja wina. Niech ludzie mówią, co chcą, ale to nie twoja wina. Nie każdy ma tyle szczęścia co ja i Rosalie. Poza tym mieliście ten wypadek, prawda? Po utracie dziecka całe małżeństwo się wali. Mam nadzieję, że nie wtrącam się w nieswoje sprawy; jesteśmy przecież rodziną, prawda? Musimy być ze sobą szczerzy.

Margot wyrosła jak spod ziemi, przytuliła Keyesa, przytuliła Cifellego, znów objęła Keyesa, cała w skowronkach.

– Mama jest za namiotem – powiedziała. – Płacze.

Keyes zamrugął. Nie rozumiał, o co chodzi.

– Idź, porozmawiaj z nią. Proszę.

– Skarbie... Nie sędzę, żeby chciała ze mną rozmawiać.

– Nie psuj mi wesela, tato. Proszę cię.

– Ja?

– Bardzo proszę, po prostu z nią porozmawiaj.

Spojrzał na córkę – bladą i nadmiernie podekscytowaną, identycznie jak jej matka – potem zerknął na Cifellego i z ciężkim westchnieniem pokiwał głową.

Nie miał najmniejszego zamiaru rozmawiać z Rachel. Przecisnął się między stolikami i wyszedł na zewnątrz. Zajazd – niski, staromodny – wydawał się cichy i ciemny w porównaniu z tętniącym życiem, jasno oświetlonym namiotem. Melodia *Autumn Leaves* płynnie przeszła w *Misty* – czyli miał jeszcze przynajmniej kilka minut, zanim złączą się toasty.

Upewnił się, że nikt go nie widzi, wyjął z kieszeni telefon i włączył go. Od razu włączył się brzęczyk. Czyżby ten ktoś przez cały ten czas próbował się dodzwonić? Na wyświetlaczu pojawił się numer Daisy. Keyes podniósł aparat do ucha.

– Słucham?

Głos Daisy falował, a chwilami zupełnie zanikał:

– ...ci przeszkadzać...

Keyes czekał.

– ...z Gammy... pilnie... Zaciśnął szczęki.

– ...fajerwerki.

– Bardzo źle?

Coraz gorzej słyszał, co mówi Daisy. Zakłócenia narastały, gdy nagle na chwilę wszystko ucichło.

– Isaac pojechał sprawdzić – usłyszał wyraźnie. – Greenwich szaleje.

Fajerwerki...

Nagle zrozumiał. Fajerwerki! Nie awaria. Nie opóźnienie. Sukces. Udało się wykonać Krok Drugi: przypominający fajerwerki obraz zderzeń elektronów, protonów, mionów i pozytronów – mi kro wy buch u cząstek elementarnych – świadczył o sukcesie.

Udało się.

Ogarnęło go uniesienie, ale szybko przywołał się do porządku. Jeszcze zdąży to uczcić. Po tylu miesiącach, po tylu latach udało im się wreszcie wykonać Krok Drugi.

– Co z Epsteinem? – zapytał.

Myślamy wybiegł już naprzód, planując Krok Trzeci. Greenwich złamał moratorium na eksperymenty, narzucone po zniknięciu Epsteina – najpierw musieli odzyskać opracowaną przez niego formułę, żeby precyzyjnie przewidywać czas istnienia czarnych dziur – ale przeczucia go nie myliły. Posunął się dalej

z doświadczeniami i laboratorium Gamma nadal istniało. Nic dziwnego, że wszyscy zaczęli myśleć o Trójce. Greenwich na pewno też.

W słuchawce zatrzeszczało.

– Wiadomo coś? – dopytywał się Keyes.

– ...nie...

Zakłócenia pochłonęły resztę odpowiedzi Daisy.

– Jeszcze przez godzinę albo dwie nie będę się mógł stąd wyrwać. Jesteś w biurze? Załatw mi transport do Gammy.

– ...weekend...

– Będę ci bardzo wdzięczny, Daisy. Z góry dziękuję,

– ...podwyżkę...

Uśmiechnął się, wyłączył telefon i schował go do kieszeni.

Fajerwerki!

Udało się im. Teraz wystarczy zakończyć sprawę Epsteina i wyjdą na ostatnią prostą.

Usłyszał szmer za plecami. Odwrócił się i zobaczył Rachel.

Zmyty łzami tusz do rzęs spływał jej po twarzy dwoma ciemnobłękitnymi smugami, ale i tak wyglądała prześlicznie w czarnej sukni, z wysoko upiętymi włosami i cienkim srebrnym łańcuszkiem na szyi. Przez chwilę wydawało mu się, że dostrzega w tej kobiecie dziewczynę, w której dawno temu się zakochał.

Pamiętał, że na początku czuli się ze sobą dobrze. Byli tacy młodzi. Potem życie się skomplikowało, małżeństwo zmieniło w rutynę i przez lata balansowali na linie, złączeni na dobre i na złe.

Po szpitalu małżeństwo się skończyło. Keyes wycofał się do bezpiecznej kryjówki głęboko w odmetach swojej duszy i długo się stamtąd nie wychylał. Gdy zaś znów się pojawił, Rachel zniknęła.

Zrobiła krok w jego stronę.

– Dzwoniłam – powiedziała. – Nigdy nie oddzwaniaasz.

Przesunął językiem po wargach. Milczał.

– Jesteś zmęczony.

– Za to ty bardzo ładnie wyglądasz.

– A ty kiepsko. Schudłeś?

Wzruszył ramionami, jakby nie zwrócił na to uwagi.

– Za bardzo – stwierdziła.

Podeszła jeszcze bliżej. Dotknęła dłonią jego ręki – i nagle rzuciła mu się na szyję, wtuliła twarz w jego pierś. Ramiona jej się zatrzęsły.

Keyes czekał, aż się wypłacze, nie bardzo wiedząc, co zrobić z rękami.

W namiocie skończyło się *Misty* i zespół nie zaczął nowej melodii. Pewnie już czas na toasty.

– Nasza córeczka... – powiedziała Rachel stłumionym głosem.

– Wygląda na szczęśliwą.

– Naprawdę? Sama nie wiem.

Złapał się na tym, że jedną ręką gładzi ją po włosach – były suche, dziwnie odwodnione; zbyt często je ostatnio farbowała. Biedna Rachel, wszystko straciła. Przez chwilę miał ochotę opowiedzieć jej o Projekcie” o tym, jak życie się zmieni, kiedy zrobią Krok Trzeci. Są sposoby... muszą być sposoby... żeby wszystko zacząć od nowa, udać, że nic się nie wydarzyło...

Zepsuty kierunkowskaz. Czy taki właśnie koniec zgotował Bóg temu chłopcu? To niemożliwe. Nawet ślepy los nie mógłby być taki wredny. Wypadek był błędem, a błędy można naprawić, jeśli włoży się w to dość sił i chęci. Nawet najgorsze błędy.

Rachel uznałaby pewnie, że zwariował, gdyby zaczął wygadywać takie rzeczy.

– Czas na toast – powiedział tylko.
Pokiwała głową, szorując brodą o jego koszulę.
– Wejźmy tam razem. Pokażmy Margot, że potrafimy to zrobić. Tusz ci spłynął. Wyglądasz jak szop pracz.
Parsknęła śmiechem, wyjęła skądś chusteczkę – zawsze umiała na żądanie wyciągać chusteczki jak szuler asy z rękawa – i wytarła policzki. Podała mu ramię, nadrabiając miną.
Tragedia nas połączyła, pomyślał, biorąc ją pod rękę. Rozdzieliła nas, ale zarazem związała. To było bez sensu. Odkąd w wypadku zginął Jeremy, wszystko straciło sens.
Wziął ją pod rękę. Jutro pewnie znów będą się porozumiewać przez adwokatów, ale dziś mogli być dla siebie mili. Bo to był miły wieczór – pomijając może osobę Joego Cifellego juniora.
Fajerwerki!
Udało się!
Pochylił głowę, uśmiechnął się do Rachel i razem wrócili do namiotu.

ROZDZIAŁ 5

Dwunastometrowe kamienne mury z zębataymi blankami rysowały się wyraźnie na tle turkusowego nieba. Hannah doszła do wniosku, że kolory w tej części świata są przesadzone. Szarość kamienia miała kilka głębokich odcieni, błękit nieba aż kłuł w oczy. W tle ochrowe skały opadały do morza; czerwono-żółto-szara grań znikwała w zielonej wodzie, a potem wynurzała z niej, tworząc wysepkę, na której zbudowano twierdzę i więzienie Sapienza.

Turyści przechadzali się wśród ruin, podziwiali urwiska i rzeźbione w kamieniu weneckie lwy, powoli zbliżając się do twierdzy.

– Sapienza – powiedziała Jackie Burns – znaczy mądrość. Wyseпка zajmowała strategiczną pozycję na szlaku żeglugowym, wiodącym z Morza Jońskiego na Egejskie, czy też, bardziej ogólnie, z Italii na wschód Morza Śródziemnego. Podczas naszego spaceru proszę zwrócić uwagę, jak wielu przedstawicieli różnych cywilizacji przyłożyło rękę do budowy twierdzy na przestrzeni wieków. Wieża więzienna, na której wycieczka się zakończy, powstała w XVI wieku. Wzniesli ją Turcy. Budowa samego zamku rozpoczęła się jednak trzysta lat wcześniej...

Hannah ze zdziwieniem stwierdziła, że podoba jej się ta przechadzka. Widoki były istic sielankowe, wiał łagodny, orzeźwiający zefirek. Gdzieś tam czaił się strach, gotów zepsuć jej całą przyjemność, ale chwilowo miała go pod kontrolą Przecież przyjechała tu na urlop. Za tydzień wróci do normalnego życia, spokojna, z czystym sumieniem i zacznie wszystko od nowa. Tym razem nie popełni żadnego błędu.

Szkoda tylko kwiatów. Biedne roślinki. Przynajmniej o nich mogła pamiętać...

Udała, że nie słyszy tego wewnętrznego głosu, co w obecnej sytuacji nie było takie trudne. Z jednej strony miała kontynuującą swój wykład Jackie Burns, z drugiej – Epsteinów, którzy uczepili się jej jak rzep.

Pan Epstein chyba już trzeci raz prosił, żeby na pewno zwróciła im książkę, gdy tylko wrócą na statek. Hannah starała się nie zwracać na niego uwagi, chociaż za każdym razem zapewniała go, że spełni jego prośbę. Dziwne, że tak nalegał. Może to Alzheimer?

Jackie Burns dała znak podniesioną ręką i grupa skupiła się wokół niej.

– Teraz idziemy do wieży więziennej. Proszę się nie zgubić. Oprócz nas są tu

jeszcze inne wycieczki; łatwo się pomylić. Proszę też uważać na kamiennych stopniach, ponieważ są śliskie.

Yildirim, Turek o wiecznie półprzymkniętych oczach, trzymał się z tyłu niczym owczarek dogładający stada. Hannah zerknęła w jego stronę, odwróciła wzrok, znów mu się przyjrzała. Świetnie się prezentował. Miał taką egzotyczną urodę: wysoki, smagły, przystojny. I był znacznie młodszy od Epsteinów.

Skoro już się tu znalazła, czemu nie wykorzystać okazji? Kto wie, kiedy znów trafi jej się rejs po greckich wyspach?

Ruszyła w stronę Yildirima z pełną świadomością, że Epsteinowie idą za nią krok w krok. Zanim jednak dotarła do miejsca, w którym stał, poszedł porozmawiać z Jackie Burns. Hannah znów została sama z parą starszych. Pan Epstein patrzył gdzieś w dal, ale miało się wrażenie, że spogląda w głąb własnego serca.

Alzheimer, nic innego jak Alzheimer.

– Do wieży będziemy wchodzić trójkami – oznajmiła Jackie. – Proszę znaleźć sobie towarzyszy. Jeśli nie macie państwo nikogo pod ręką, zostajemy jeszcze ja i pan Yildirim.

– Co pani na to? – Pani Epstein uśmiechnęła się do Hannah. – Będziemy kumpelkami?

Hannah z trudem powstrzymała się od okazania niechęci. Ale mogło być gorzej. W pewnym sensie – mimo dzielącej je różnicy wieku, irytujących prac domowych i zgrzytliwego małżonka – zaczynała lubić tę kobietę. Może dlatego, że przypominała jej babkę. A kiedyś, dawno temu, Hannah była z babką bardzo blisko.

– Będziemy – zgodziła się.

Grupa ruszyła dalej. Hannah i Epsteinowie szli na końcu.

Steven Epstein cały czas bił się z myślami. Próbował odwlec nieuniknione, udając racjonalne rozumowanie.

Już i tak za długo czekał. Ledwie w łazience pokoju hotelowego w Wenecji płomień pochłonął ostatnią kartkę, Epstein nie wytrzymał i zapisał równania na wewnętrznej stronie tylnej okładki książki. Niby podjął nieodwracalną decyzję, ale natychmiast się z niej wycofał. W dodatku Renee pożyczyła tę książkę komuś innemu.

Byłby chyba zadowolony, gdyby formuła wymknęła mu się i zaczęła żyć własnym życiem. Gdyby przetrwała. Jej opracowanie było z pewnością szczytowym osiągnięciem w jego karierze. Opierając się na badaniach Greenwicha, posunął się naprzód o całe lata... może nawet o całe dziesięciolecie. Kłopot w tym, że dyrekcja wykorzystaby jego odkrycie jako pretekst do przyśpieszenia prac nad Projektem. Tymczasem najmniejszy fałszywy krok groził katastrofą, przy której reakcja syntezy deuteru i trytu – postrach uczonych pracujących nad „Projektem Manhattan” – wyglądałaby jak plama po kawie na kosmicznym dywanie.

Jednak nie to było najważniejsze. Epstein obawiał się, że Projekt zakończy się sukcesem i kiedyś, po latach, powstanie broń, jakiej ludzkość nie znała.

Dlatego właśnie jego wynalazek musiał zniknąć z powierzchni ziemi. Bez tej formuły Keyes na nikim nie wymusi kontynuacji Projektu.

Ale czy naprawdę musi zniknąć na zawsze?

Na co czekasz, Steven? Naprawdę jesteś durniem.

Patrząc wstecz, miał wrażenie, że dziesięć ostatnich lat było jednym wielkim zwlekaniem. Miał pewne wątpliwości, kiedy przyjmował posadę w ADS, ale odsunął je na bok i skupił się na pracy. Wydawało mu się, że zawsze jeszcze zdąży zmienić zdanie. A teraz zabrakło mu czasu.

Musi zniszczyć tę książkę.

Jego natura naukowca nie mogła się z tym pogodzić. Są takie miejsca, gdzie wiedzę można bezpiecznie przechowywać. Jeśli trafi w odpowiednie ręce – ręce ostrożnych, mądrych, rozsądnych ludzi – będzie bezpieczna.

Po raz setny podjął tę samą decyzję. Usunie się z areny, żeby popsuć szyki ADS, ale zadba o to, żeby jego odkrycie znalazło się w dobrych rękach i nie zaginęło bez śladu. To będzie kompromis.

Kiedy wróci na statek, odbierze książkę od tej kobiety, włoży ją do koperty i da kierowniczce rejsu, żeby wysłała ją do jego kolegi z Princeton. Potem zamknie się w łazience i połknie całą fiolkę propoksyfenu. Powie Renee, że męczy go choroba morska. Po pięciu minutach będzie już martwy i formuła przepadnie, przynajmniej dla ADS. Będą musieli zwolnić tempo prac, pracować dziesięć, może sto lat dłużej... Bestia postępu pozostanie uśpioną, dopóki nie będą lepiej przygotowani na jej przybycie.

Nie miał wyboru.

Koniec. Podjął decyzję – i tym razem zamierzał w niej wytrwać.

To jego ostatni dzień na tym świecie.

Wypadałoby, żeby był to dzień wyjątkowy; słońce powinno mieć jak nigdy dotąd złocistą barwę, a ludzie powinni konwersować o doniosłych i odkrywczych sprawach. Słońce miało jednak oślepiająco białą tarczę, a rozmowy prowadzono na tematy całkiem banalne. Idące przodem małżeństwo martwiło się, że baterie w aparacie mogą nie wystarczyć do końca wycieczki; człowiek z lewej skarżył się, że nie cierpi ciepłej butelkowanej wody.

Żona Epsteina i jej młoda znajoma, Vicky Ludlow, szły tuż za nim. Epstein jednym uchem przysłuchiwał się ich rozmowie. Czy ta Vicky miała w ogóle pojęcie, jaki skarb trzyma w kajucie? Nie, naturalnie że nie. Była całkiem niewinna. Wpakowała się w to wszystko przez przypadek.

Rozejrzał się, wodząc wzrokiem po kręcących się w okolicy turystach. Czy śledził go ktoś z ADS? Całkiem możliwe, chociaż nie widział nikogo podejrzanego. Nikt mu się nie przyglądał – poza chłopakiem, który chyba zgubił swoją grupę. Mógł mieć dwanaście, trzynaście lat i zerkał na Epsteina spod daszka baseballowej czapeczki.

Kiedy ich oczy się spotkały, odwrócił wzrok.

Idiotyzm, pomyślał Epstein. To tylko jakiś dzieciak. Ale on miał prawo się bać. Chociaż za kilka godzin i tak będzie po wszystkim.

Będzie czy nie? Raz już podjął decyzję i zrezygnował.

Tak, ale teraz było inaczej. Tym razem pójdzie na całość.

Zawołała go Renee. Wchodzili właśnie na skalną ostrogę, prowadzącą do wieży. Obejrzał się po raz ostatni na chłopca w baseballówce, który właśnie oddalał się w przeciwnym kierunku.

Epstein odprowadził go wzrokiem i dołączył do żony.

– A teraz proszę zamknąć oczy – powiedziała Jackie Burns – i wyobrazić sobie, jak to miejsce wyglądało osiem wieków temu.

Hannah ze zdumieniem stwierdziła, że wszyscy posłusznie zamknęli oczy. Pomyślała, że starsi ludzie są jak dzieci. Odchodzą z tego świata tak, jak na niego przyszedli – trzeba im drobić jedzenie, trzymać ich za rączkę i mówić, co mają robić. Nic dziwnego, że – jak dzieci – niektórzy zaraz zaczęli oszukiwać, zerkając ukradkiem na otaczające ich mury.

– Gdyby pięćset lat temu ktoś przypuścił na Sapienę szturm od strony morza, najpierw zająłby tę wieżę. Proszę postawić się w sytuacji greckiego żołnierza, który podczas poprzedniej wyprawy trafił do niewoli. Wiecie państwo o czymś, z czego nie

zdają sobie sprawy wasi weneccy strażnicy: w drodze jest już następna armia. Spodziewacie się, że zostanieie uratowani. Dzień wyzwolenia zbliża się, ale nasz Grek zostaje przeniesiony tutaj, do tej wieży. Kiedy wejdziemy do środka, warto się zastanowić, jakie myśli chodziły mu po głowie. Następny statek zacznie atak od zajęcia wieży. Czy żołnierze rozpoznają w jeńcu swojego rodaka, kiedy powodowani żądzą mordy, wściekli jak dzikie bestie po wielu dniach przymusowej bezczynności na morzu przystawią drabiny do murów i wejdą po nich z mieczami w rękach?

Grupa zebrała się pod zardzewiałą żelazną bramą, za którą poszczerbione kamienne schody prowadziły w głąb wieży. Fale rozbijały się z łoskotem o skały, bryzgając pianą na wszystkie strony.

– Nasz Grek, przykuty do ściany, powoli zaczyna zdawać sobie sprawę z powagi sytuacji i ironii losu. Mija godzina za godziną, dzień za dniem, a on musi żyć ze świadomością, że kiedy przybędą jego bracia, pierwszy padnie od ich mieczy. Ta myśl nie daje mu spokoju, kiedy leży skuty w kałuży własnych odchodów, wygłodniały, zrozpaczony. Może zawoła dozorców? W zamian za łyk wody powie im wszystko co wie o nadciągających wojskach? Największym błogosławieństwem byłaby szybka śmierć...

Wszyscy otwierali oczy; nawet Renee Epstein, zasłuchana w opowieść Jackie, zerkała na boki spod grubo umalowanych rzęs.

– Wystarczy! – oznajmiła pogodnie Jackie. – Proszę uważać na schodach, są równie śliskie jak kamienny most. I proszę trzymać się trójkami; nie chcielibyśmy nikogo zgubić. Jeśli ktoś z państwa zobaczy ducha, proszę mu się za długo nie przyglądać, bo może powędrować z nami na statek.

Odpowiedziały jej umiarkowanie wesole chichoty i tłumek zaczął się dzielić na trójki. Hannah i Epsteinowie nie wiadomo czemu znaleźli się na samym przodzie. Hannah obejrzała się do tyłu, na kamienny mostek, łączący wieżę z resztą zamku. Jakiś chłopiec szedł w ich stronę, najwyraźniej zniecierpliwiony czekaniem na swoją grupę.

– Teraz my – powiedziała Renee Epstein.

Jedną ręką ujęła męża, a drugą podała Hannah.

Wchodząc do wieży, Hannah słyszała za plecami, jak Jackie Burns kontynuuje swój wykład:

– Sapienza jest fortecą o kluczowym znaczeniu, strażnicą całej wschodniej części Morza Śródziemnego. Doskonałe właściwości obronne zawdzięcza przede wszystkim swojemu położeniu: z jednej strony mamy mieliznę, z drugiej, od strony lądu, zatokę. Zatoki łatwo się broni: wystarczy odciąć wejście od strony morza. Weneccjanie bardzo dobrze potrafili walczyć na morzu.

Na parterze wieży pachniało porostami i starością. Okrągłe wnętrza miało prawie sześć metrów średnicy. Na obwodzie w szarych murach wydrążono płytkie nisze. Przy każdej tkwiła wmurowana w ścianę para kajdan. Spiralne kamienne schody, słabo oświetlone promieniami słońca wpadającymi przez wyżej umieszczone okna, prowadziły na górę.

Renee Epstein stanęła w półmroku obok Hannah. Spojrzała na schody.

– Nie wygląda to zbyt bezpiecznie.

– Wszystko będzie dobrze – uspokoiła ją Hannah, chociaż w duchu przyznała jej rację. Stopnie były powycierane, zdradzieckie.

Chwilę jeszcze im się przyglądali, a potem ruszyli do góry: Hannah przodem, Epsteinowie tuż za nią. Z zewnątrz cały czas dobiegał głos Jackie:

– Na pierwszym piętrze jest drabina prowadząca wyżej. Jeśli zdecydują się państwo wchodzić po niej, proszę zachować ostrożność. Oczywiście nie pochodzi ona

z XIII wieku, postawiono ją niedawno, na użytek turystów. Tym bardziej że wieża pierwotnie miała tylko dwa poziomy. Zapytacie państwo: po co w takim razie drabina na podest na drugim piętrze? Jeżeli wyjdziecie państwo na górę i obejrzyjecie podest z bliska, znajdziecie ślady po szubienicy. Proszę sobie wyobrazić, jakie musiało to sprawiać wrażenie: człowiek siedzi przykuty do ściany w jednej z tych nisz, gdzie nie ma nawet miejsca, żeby się obrócić, a jego towarzysze broni dyndają nad nim na szubienicy. Radzę się dobrze zastanowić, zanim zaczniecie się państwo skarżyć na ciasnotę w kajutach.

Znowu rozległy się śmiechy, ale – tak jak poprzednio – umiarkowanie entuzjastyczne. Pasażerowie mieli dość żartów Jackie.

Hannah weszła na drugi poziom wieży. Prowadząca wyżej drabina nie wyglądała zbyt solidnie. Hannah poczekała, aż Epsteinowie do niej dołączą, i zapytała:

– Co państwo na to?

– Poczekamy na ciebie tutaj, kochaniutka – odparła Renee.

Jej mąż chyba nie słyszał pytania Hannah. Ze ściągniętymi brwiami patrzył na dół.

Hannah zaczęła wchodzić po drabinie, która – choć trzeszczała nieprzyjemnie – utrzymała jej ciężar. Na trzecim poziomie wewnątrz wieży wydawało się jeszcze mniejsze niż dotychczas. Widziała stąd głowy Epsteinów i odbłaski światła na wmurowanych w ścianę kajdanach.

Odwróciła się i wyjrzała przez okno. Widok zapierał dech w piersi: ciągnące się po horyzont morze, ostre skały, niewiarygodnie lazurowe niebo. To jedno naprawdę się nie zmieniło przez tyle stuleci. Świat, który jest tak straszny, na pewno da jej drugą szansę.

Usłyszała jakiś odgłos piętro niżej.

Odwróciła się od okna: ktoś właśnie wchodził na pierwsze piętro – chłopiec, którego widziała na moście. Jakim cudem wyminął Jackie Burns? Może obszedł wieżę od tyłu i wśliznął się do środka przez jakąś szparę w murze?

Sięgnął do kieszeni – tak jej się przynajmniej wydawało – i podniósł do góry mały srebrzysty przedmiot. Rozległo się ciche pyknięcie i Steven Epstein zaczął się krztusić.

Hannah wytrzeszczyła oczy.

Chłopiec zaszedł od tyłu Renee, która zdążyła wyciągnąć rękę do męża. Steven Epstein upadł na kolana, nadal się dusząc. A ten chłopiec... Poruszał się i zachowywał jak dorosły mężczyzna, po jego twarzy trudno było określić rzeczywisty wiek.

Hannah patrzyła, jak wbija Renee Epstein nóż w brzuch, z boku. Widziała wszystko dokładnie: ostrze weszło w ciało i wynurzyło się z powrotem, raz, drugi, trzeci, bardzo szybko.

Pani Epstein osunęła się na ziemię obok męża.

Chłopiec podniósł głowę, zobaczył Hannah i zaczął wchodzić na górę.

Hannah zerknęła na drabinę. Drewno było stare, pokryte mchem, na wpeł przegniłe. Podeszła bliżej i pchnęła nogą górny szczebel drabiny, który rozszczepił się z trzaskiem. Poleciały drzazgi.

Chłopiec posuwał się w górę. Zwolnił.

Dziękując więc Bogu, że nie ma obcasów, Hannah kopnęła drugi raz. Drabina z przeciągłym jękiem zaczęła odchylać się od ściany. Chłopiec w pośpiechu zsunął się na dół. Zdążył jeszcze zasłonić głowę rękami, zanim drabina zwała się na niego.

Posłał Hannah złowrogie spojrzenie, odwrócił się i błyskawicznie zbiegł po schodach.

Hannah odprowadziła go nieprzytomnym spojrzeniem.
Epsteinowie leżeli nieruchomo, ich ciała stykały się, a kałuża krwi rozlewała się pod nimi coraz szerzej.

ROZDZIAŁ 6

Głośnik nad łóżkiem ożył z trzaskiem. Hannah wcisnęła głowę w poduszkę, żeby nie słyszeć jego jazgotu. Najpierw rozległo się kilka coraz wyższych pisków, a potem zabrzmiał smutny, poważny głos Jackie Burns:

– Dobry wieczór państwu. W związku z tragedią, do której doszło dziś w zamku Sapienza, kapitan prosił mnie o przekazanie państwu informacji o zmianie trasy rejsu...

Od lekarza, który dawał Hannah zastrzyk, zalatywało amoniakiem. Dalej czuła jego zapach.

– ...nie popłyniemy na Maltę. Przez najbliższe dni w ogóle nie będziemy zawijać do portów, lecz skierujemy się prosto do Stambułu. Po przybyciu na miejsce nasze biuro natychmiast wypłaci państwu zwrot kosztów rejsu. Pragnę wyrazić ubolewanie z powodu tej zmiany planów. Proszę przyjąć najszczerze przeprosiny zarówno ode mnie, jak i całego personelu Adventure Dynamics i załogi furory II”.

Za oknem przetaczały się wysokie, ciemne fale. Trzy mewy kołowały w pobliżu statku, na przemian nurkując w powietrzu i wzbijając się w górę. Hannah machinalnie śledziła wzrokiem ich wyczyny.

Widziała, jak zamordowano Renee Epstein.

W pewnym sensie ją polubiła, chociaż jej sympatia często objawiała się irytacją. Tak samo było z jej babką. Ze wszystkimi. Dopiero poniewczasie docierało do niej, jak powinna okazywać uczucia. Obie kobiety – i babkę, i Renee Epstein – pokochała dopiero *in absentia*.

Jej myśli odbijały się od powierzchni rzeczywistości jak płaski kamień rzucony na wodę.

Była świadkiem morderstwa.

Już nigdy nie zdoła zasnąć.

Jęknęła i mocniej wcisnęła twarz w poduszkę.

– Vicky?

Otworzyła oczy. Przy łóżku siedziała Jackie Burns.

– Jak się czujesz?

Hannah z trudem dźwignęła się i podparła na łokciu.

– Pić... – wykrztusiła.

Jackie poszła do lodówki. Hannah zauważyła, że okno jest szczelnie zasłonięte. Stojąca lampa emanowała łagodną poświatę.

Kiedy Jackie przyniosła jej wodę Evian, Hannah wzięła od niej butelkę, ale położyła się, nie otwierając jej. Spojrzała na elektroniczny zegar: dwadzieścia po ósmej. Rano czy wieczorem?

Jackie spojrzała na nią z troską. Odgarnęła jej niesforny kosmyk z czoła.

– Spałaś chociaż trochę?

Hannah nie odpowiedziała. Dłoń na jej czole była przyjemnie chłodna, kojąca, niemal matczyzna.

– Wszyscy jesteśmy poruszeni, ale ty pewnie najbardziej...

Mało powiedziane.

Hannah trzymała się dzielnie do chwili, gdy lekarz zrobił jej zastrzyk. Pozornie niewzruszona siedziała na wysokiej platformie w wieży, a potem długo rozmawiała z Jackie i sennym Turkiem, opisując im ze szczegółami, co widziała.

Sam widok morderstwa stanowił wystarczający wstrząs, ale największy szok przeżyła, kiedy chłopiec-zabójca ruszył do niej. Trzy godziny na najwyższym poziomie wieży, kiedy wszyscy zastanawiali się, jak ją ściągnąć z powrotem, do reszty ją wykończyły. Siedziała wstrząsana falami dreszczy i patrzyła, jak jacyś ludzie przykrywają ciała Epsteinów kocami i z trudem wynoszą je z wieży.

– ...ucieszysz się pewnie, że wszystko już załatwione – mówiła właśnie Jackie.
– Nie wiem, czy słyszałaś komunikat, ale postanowiliśmy zrezygnować z wizyty na pozostałych wyspach. Płyniemy prosto do Stambułu.

– Do Stambułu – powtórzyła tępo Hannah.

– Wczorajem ludzie z FBI rozpoczęli dochodzenie na wyspie, ale postanowili puścić nas dalej. W takich sytuacjach stosuje się przepisy prawa obowiązującego w pierwszym porcie, do którego zawiniemy. Oczywiście wypadek miał miejsce w porcie, nie na morzu, ale zadzwoniliśmy do centrali, oni skontaktowali się z Departamentem Stanu i zapadła decyzja. Wszyscy się z nią zgodzili: firma, FBI, Grecy, Turcy. Płyniemy do Stambułu. – Jackie zawiesiła na chwilę głos. – W Stambule FBI będzie chciało cię przesłuchać, Vicky. Jesteś świadkiem.

– Dlaczego nie zrobią tego od razu? – spytała z kamienną twarzą Hannah.

Jackie zmiotła ze spodni niewidoczny pyłek.

– Na razie nie bardzo wiadomo, co się właściwie stało, ale FBI uznało, że na Methoni niczego więcej się nie dowiedzą. Grecy chętnie pozbyli się kłopotu ze swojego terytorium. Ostatnio włożyli sporo wysiłku w rozbicie terrorystów z grupy Siedemnastego Listopada i zależy im na tym, żeby nie komplikować sobie sytuacji na arenie międzynarodowej. A z Turkami i tak jedziemy na jednym wózku, więc nas przygarną. To potworne, co się przydarzyło Epsteinom. Makabra. Ale musimy myśleć o przyszłości i nie utrudniać życia pozostałym pasażerom.

Hannah pokiwała głową.

– Rozmawiałam o wszystkim z Yildirimem, naszym szefem ochrony. Byliśmy zgodni, że na razie przede wszystkim potrzebujesz odpoczynku, żebyś mogła przydać się w śledztwie, kiedy już zawiniemy do portu.

Kolejne skinienie głową.

– Wygląda na to, że pan Epstein był jakąś ważną osobą. Poznałaś go dopiero na statku?

– Tak... Na statku.

Jackie spojrzała na Hannah podejrzliwie, ale po chwili jej twarz przybrała znajomy, miły wyraz zawodowej obojętności.

– To tyle. Pomyślałam, że powinnaś wiedzieć, co się dzieje. Doszłaś trochę do siebie?

– Dalej jestem otepiała...

– To dlatego, że lekarz dał ci środek uspokajający. Niedługo przestanie działać. Zjesz coś?

Hannah zastanowiła się chwilę i pokręciła przecząco głową.

– No dobrze, ale ja muszę się pokazać na kolacji – stwierdziła Jackie. – Trzeba zachowywać pozory. Gdybyś zmieniła zdanie co do jedzenia, zadzwoń. Wezwij głównego stewarda; przyniesie ci, co tylko zechcesz.

– Dziękuję.

– Gdybyś chciała porozmawiać, gdybyś w ogóle coś chciała...

– Na razie chyba się zdrzemnę.

– W porządku. – Jackie wstała z łóżka. – Śpij dobrze.

– Dzięki.
– Śpij dobrze – powtórzyła Jackie, jeszcze raz zdawkowo uśmiechnęła się do Hannah i wyszła.

Nie wygląda to zbyt bezpiecznie, powiedziała Renee Epstein.
Wszystko będzie dobrze, zapewniła ją Hannah.
Ale wcale nie było dobrze. Było bardzo, ale to bardzo źle.
Może jej się to wszystko przyśniło? Ta dziwna twarz, z której nie sposób wyczytać wiek; Epsteinowie, złączeni po śmierci.

Hannah doszła do wniosku, że chyba majaczy. Miała gorączkę, była chora, a pogarszająca się pogoda wcale jej nie pomagała. Morze się wzburzyło, krótkie ostre fale mocno kołysały statkiem. Wołała nie otwierać oczu.

Była skończona.

W Stambule przejmie ich FBI i weźmie wszystkich pod lupę. Obejrzą jej paszport, zorientują się, że jest podrobiony. I wtedy to już koniec.

Właściwie niczym nie różniła się od Jackie Burns. Dopiero co była świadkiem podwójnego morderstwa, a już zaczynała myśleć o sobie. „Ale musimy myśleć o przyszłości i nie utrudniać życia pozostałym”.

Może takie właśnie jest życie? Trzeba iść naprzód, nawet w obliczu śmierci.

W jej przypadku droga naprzód prowadziła jednak prosto do więzienia.

Kiedy w jej głowie odezwał się natrętny głos, ze zdziwienia otworzyła oczy.

Przecież nikt nie wie, że ona tu jest.

Nagle zrobiło się jej gorąco. Odrzuciła koc i leżała na wznak z rozrzuconymi rękoma i nogami, oddychając płytko i szybko.

Rzeczywiście. Nikt nie miał dowodu, że Hannah w ogóle popłynęła w rejs. Z rejestru pasażerów jasno wynikało, że to Vicky wybrała się na wycieczkę. Gdyby zatem udało się jej wymknąć niepostrzeżenie, miałaby jeszcze szansę. Wróciłaby do domu, do ojca...

Ciekawe, jak by zareagował, gdyby stała w drzwiach, ścigana listem gończym? To prawda, nie układało im się najlepiej, ale czy ojciec odepchnąłby rodzoną córkę? Nie. Pomógłby jej zawrzeć ugodę. Układ. Był obrońcą w sprawach kryminalnych w Baltimore; wytargowałby dla niej najlepsze warunki. Wydałaby Franka, a w zamian za to firma wybaczyłaby jej błędy i pozwoliła zacząć od zera. Bez śladu w papierach.

Pobożne życzenia.

Czy było inne wyjście?

Przygryzła wargę, zamyśliła się głęboko, ale nic nie przyszło jej do głowy. Zbyt wiele błędów popełniła w ostatnich miesiącach. Nie miała już wyboru.

Pomyślała o Yildirimie.

Był przecież szefem ochrony statku. Któż inny może jej pomóc uniknąć kontroli paszportowej w Stambule?

Jeszcze dziesięć minut leżała bez ruchu, marszcząc coraz bardziej brwi, a potem wstała z łóżka. Mdłości ustąpiły; szok minął. Spojrzała w wiszące nad komodą lustro. Miała potargane włosy i sińce pod oczami. W takim stanie niewiele by wskórała z Yildirimem.

I właśnie po to Bóg wymyślił makijaż.

Poszła do łazienki, wzięła prysznic i znów obejrzała się krytycznie w lustrze. Lepiej. Teraz przynajmniej miała od czego zacząć – a „coś” to więcej niż „nic”.

Bezczynność była najgorsza.

Sięgnęła po kosmetyczkę i wzięła się do pracy.

Pograżony w zadumie Francis Dietz stał na balkonie pokoju hotelowego. Zapadła już noc i Methoni budziła się do życia. W ogródkach kawiarni i restauracji kelnerzy nakrywali stoły obrusami, a śliczne hostessy zajmowały stanowiska na krętych chodnikach, żeby zwabić turystów. W pokoju za plecami Dietza Leonard drzemał na kanapie; w dusznym powietrzu wyraźnie słychać było jego ciężki oddech.

W kabinie Epsteinów Dietz nic nie znalazł. Leonard ich zlikwidował, ale formuły nie udało się zdobyć. Może wzór nie istniał w postaci materialnej, może gra skończyła się, zanim się na dobre rozpoczęła?

Leonard wspomniał jednak o młodej kobiecie, która towarzyszyła Epsteinom na wycieczce. Mogła coś o tym wiedzieć.

Na razie musiał zameldować o rozwoju wypadków Keyesowi. Było jeszcze za wcześnie, żeby odciąć go od informacji. Wyniknęłoby z tego więcej kłopotów niż korzyści.

Wszedł na palcach do pokoju, żeby nie obudzić Leonarda. Podeszedł do telefonu przy drzwiach i zamówił rozmowę. Nie zastał Keyesa w biurze, zostawił więc wiadomość i rozłączył się. Wrócił na balkon i wyjął z kieszeni papierosy.

Do kogo mógłby z tym pójść? Do Jurczenki. Jurczenko należał do FSB, kiedy nazywała się jeszcze KGB; znał zarówno starą gwardię, jak i młodych i, co bardzo prawdopodobne, mógł mu dać namiar na Ismaïłowa. Władimir Ismaïłow, ostrożny i przebiegły szef Jurczenki o pseudonimie Sep, miał międzynarodową siatkę kontaktów. Z pewnością znajdzie mu dobrego kupca.

Niepotrzebnie wybiegał tak daleko w przyszłość. Kiedy nadejdzie stosowny moment, wykona swój ruch, a na razie powinien zachować cierpliwość.

Zapalił papierosa. Grunt to cierpliwość, powtórzył w myślach.

ROZDZIAŁ 7

Hannah Gray wzięła od kelnera wódkę z tonikiem, pokwitowała drinka i rozejrzała się po sali.

Dochodziła północ i bar świecił pustkami. Pianista bez przekonania grał *Summertime*, niedaleko fortepianu siedziało starsze małżeństwo, podśpiewując cichymi, skrzekliwymi głosikami. Poza tym w sali było jeszcze tylko dwóch kelnerów. Wzburzone morze i makabryczne wydarzenia wcześniej zapędziły pasażerów do łóżek. Na dobrą sprawę dziwne było, że w ogóle ktoś wieczorem się tu pofatygował po tym, jak śmierć zakłóciła sielankową atmosferę rejsu.

Yildirim wyszedł z męskiej toalety, kierując się w stronę stolika w kącie. Zostawił na nim szklankę whisky i paczkę papierosów English Ovals. Hannah odliczyła w myślach do trzech i zrobiła krok naprzód. Kiedy się zderzyli, wódka ze szklanki chlapnęła jej na bluzkę. Hannah się skrzywiła.

– Przepraszam – powiedziała. – To moja wina.

Yildirim wziął z baru stosik serwetek, ale zorientował się, że nie bardzo wypada mu wycierać bluzkę na piersi pasażerki i niezręcznym gestem podał je kobiecie.

– To ja przepraszam – powiedział. – Proszę mi wybaczyć.

– Nie, to moja wina. Jeszcze nie doszłam do siebie.

– Przyniosę pani nowego drinka.

– Nie trzeba, ja tylko...

– Bardzo proszę. – Turek skinął w stronę stolika. – Wręcz nalegam.

– Moim zdaniem to kwestia natury prawnej, nie moralnej – stwierdziła.

Yildirim słuchał jej, przechyliwszy na bok głowę. Hannah nie dała mu dojść do słowa:

– To już dawno przestała być miłość. Nie rozstaliśmy się z Frankiem tylko dla dobra dzieci, ale teraz zaczynam rozumieć, że to błąd. Dla dzieci lepiej jest, kiedy rodzice się rozwiodą, niż gdy tkwią w nieszczęśliwym związku. Nie uważa pan?

Yildirim wykonał nieokreślony gest ręką, w której trzymał papierosa.

– W każdym razie postanowiłam popłynąć na urlop z Lucasem. Może nie powinnam, ale my się naprawdę Kochamy. Pan mnie rozumie, prawda? To takie cudowne uczucie! Ale mieliśmy pecha. W ostatniej chwili okazało się, że Lucas nie może ze mną lecieć, poleciałam więc sama. A teraz mąż może mnie przyłapać na kłamstwie, bo myśli, że jestem na sympozjum w San Francisco. Gdy w Stambule zacznie się śledztwo, dowie się, że go okłamałam, a my nawet nie jesteśmy oficjalnie w separacji. Dostanie prawo do opieki nad dziećmi, z mojej winy, bo jak głupia próbowałam wybrać się na urlop z Lucasem. Powinnam była poczekać, ale to takie... Mój Boże, gadam od rzeczy, prawda?

Yildirim wzruszył ramionami.

– Przepraszam, trochę się wstawiłam. Poza tym chyba ciągle jestem w szoku.

– Wcale się nie dziwię po tym, co pani dziś przeszła. Wydaje mi się, że wszyscy jesteśmy trochę... nie w humorze.

– Bardzo przepraszam, powinnam trzymać buzię na kłódkę, ale pan... Pan tak umie słuchać.

Kolejne wzruszenie ramion.

– Porozmawiajmy o panu. – Hannah usiadła prosto. – Ma pan intrygujący akcent.

Yildirim się uśmiechnął – tak jak czasem uśmiechają się śmiertelnie poważni mężczyźni, kiedy zdarzy im się rozluźnić: ostrożnie, niechętnie, trochę dziecinnie.

– Naprawdę tak pani myśli?

– Jak najbardziej. Turecki?

– Zmieszany z akcentem z Ohio. Urodziłem się w Stambule, ale kiedy miałem czternaście lat, przeprowadziliśmy się z rodzicami do Stanów.

– I tam pan dorastał?

– Spędziłem tam tylko cztery lata. Potem wróciliśmy do Stambułu. Pani, zdaje się, pochodzi z Chicago?

– Urodziłam się w Waszyngtonie, ale wychowałam w Chicago. Myślę, że po rozwodzie przeprowadzę się gdzieś na zachód. Może do Miasta Aniołów. Lucas tam mieszka. Był pan w Los Angeles?

Yildirim pokręcił przecząco głową. Podniósł szklanekę do ust.

– Chicago formalnie leży na środkowym zachodzie – ciągnęła Hannah – ale znacznie bardziej przypomina wschodnie wybrzeże niż Ohio. Ludzie zawsze się spieszą i patrzą sobie pod nogi. W Kalifornii jest inaczej. Tam chodzi się z podniesioną głową. W Kalifornii można na nowo odkryć samego siebie.

Turek łyknął whisky, zaciągnął się papierosem i pokiwał głową.

– Nigdy nie myślałam, że czeka mnie rozwód. Ludzie pobierają się na zawsze, do śmierci. Tak przynajmniej myślałam, ale nie przewidziałam, jak ułoży mi się życie. Wie pan, z czasem ludzie się od siebie oddalają. To banał, ale i szczerą prawdą. Banały często są prawdziwe. Tego też się uczę z wiekiem.

Mówiąc, cały czas próbowała zorientować się, na ile Yildirim jest nią zainteresowany. Czy powinna próbować go uwieść, czy raczej zagrać na jego współczucie? Druga możliwość wydawała się jej znacznie bardziej obiecująca. Siedział bokiem do niej, z nogami wyciągniętymi w kierunku fortepianu.

Próbowała wycisnąć jakieś łzy z oczu. Daremnie. Musiała się mocniej postarać. W końcu... wąska strużka pociekła z kącika oka. Otarła ją serwetką.

– Niech to szlag...

– Nic się nie stało.

– Właśnie, że się stało! – Zadrżała i westchnęła ciężko, bohatersko powstrzymując szloch. – Byłam głupią egoistką, a teraz moje dzieci za to zapłacą. To nie jest w porządku! Zdarzył się nieszczęśliwy wypadek, ale to nie powód, żeby one musiały cierpieć. Oczywiście bardzo mi przykro z powodu Epsteinów, ale... kto mógł się spodziewać... To takie...

– Wiem.

– Jak pan sądzi, co tam się naprawdę stało?

Yildirim pokręcił głową.

– Nie my prowadzimy śledztwo.

– Nie chcę wyjść na egoistkę, wątpię, żebym kiedykolwiek się z tego otrząsnęła... tak naprawdę, zupełnie. Ale muszę myśleć o sobie i dzieciach.

Gdyby udało mi się zejść ze statku, zanim zawiniemy do Stambułu, mogłabym jeszcze jakoś to załatwić...

Yildirim zgasił papierosa w popielniczce.

– Jest pani na liście pasażerów.

– Wcale nie. Użyłam pseudonimu. To był pomysł Lucasa, takie dodatkowe zabezpieczenie. Gdybym zniknęła, nikt by się nie dowiedział, że tu byłam. Nie zna pan mojego męża, panie Yildirim. Pije, a kiedy jest podchmielony, wpada w szał. Nie można by...

Zawiesiła głos. Turek patrzyła na nią bez słowa.

– Czy nie mógłby pan jakoś... Na Boga! – zaśmiała się nerwowo. – Już sama nie wiem, co mówię.

– Czy mógłbym co?

– Pomóc mi... No wie pan...

Yildirim już się nie uśmiechał,

– ...zniknąć.

Zmiażdżył ją wzrokiem.

– Opłaci się to panu. Mam pieniądze. Poza tym działałby pan w dobrej sprawie, sam pan rozumie. Tu chodzi o moje dzieci.

Na chwilę zapadła cisza.

– Obawiam się, że ostatnie wydarzenia zamąciły pani w głowie. Właściwie nie ma się czemu dziwić, ale, pani Ludlow...

– Nie nazywam się Ludlow.

Yildirim umilkł.

– Kiedyś po pijanemu mąż złamał Teddy'emu rękę. Wiem, wiem, że przede wszystkim nie powinnam była wybierać się na tę wycieczkę; to było głupie i samolubne. Ale ja się zakochałam, panie Yildirim. Pan nigdy nie był zakochany?

Turek zapalił następnego papierosa. Nie odpowiedział.

– Ile by to miało kosztować? Dwa tysiące dolarów?

Yildirim zacisnął wargi.

– Trzy tysiące? Mogę zapłacić więcej, jeśli tego pan chce. Oczywiście nie mam przy sobie aż tyle, ale zadzwoniłabym do księgowego, coś by się załatwiło...

– Proszę pani, nawet gdyby...

Teraz to Hannah musiała milczeć.

– Nawet gdyby rzeczywiście to była słuszna sprawa...

– Jest. Proszę mi wierzyć, jest

– ...to i tak byłoby to niemożliwe. Przykro mi z powodu pani dzieci, ale...

– Cztery tysiące. Pan chyba nie rozumie, ile to dla mnie znaczy. Podejrzewam, że przez ten wypadek może pan stracić pracę. Nie myślę się chyba, panie Yildirim? Gotówka może się panu przydać.

Nic nie powiedział. W oczach zapaliły mu się ogniki. – Pięć tysięcy dolarów – powiedziała Hannah. – Błagam, panie Yildirim, błagam na Boga. Nie mam z tym do kogo pójść.

Postanowił to przemyśleć.

Jak przypuszczała, zrobi to. Co podziało – łyż czy pieniądze? Pewnie jedno i drugie. Zresztą co za różnica.

Wróciwszy do kabiny, wzięła prysznic, drugi tego dnia, ale choć mydliła się i szorowała bez końca, nie mogła się pozbyć uczucia obrzydzenia do samej siebie. Jaką ładną łązawą historyjkę wymyśliła: jeżeli Yildirim pomoże jej uciec ze statku, jej fikcyjne dzieci uciekną z rąk ojca pijaka. Ależ miła z niej osóbką.

Nie ma miłych ludzi. A poza tym on to robi dla pieniędzy.

Czy to jej wina, że ktoś zamordował Epsteinów? Nie. To było nieszczęście – tragedia, jak powiedziała Jackie Burns – które jej w ogóle nie dotyczyło. Miała po prostu pecha i tyle. Małe kłamstewko nikomu nie mogło zaszkodzić.

Wyciągnęła się naga na łóżku. Coraz słabiej odczuwała działanie drinka – i tym większą miała ochotę na następnego. Prawą dłonią potarła blizny na lewym nadgarstku. Pochodziły sprzed ośmiu miesięcy, ale wciąż swędziały jak diabli. Było to jak pamięć o utraconych kończynach, dręcząca ludzi po amputacji. Podrapała się odruchowo i cofnęła rękę.

Blizny należały do przeszłości, do osoby, do której nie było powrotu. Nigdy tak naprawdę nie była wówczas sobą – dlatego też tę próbę samobójstwa podjęła bez przekonania, co określono „wołaniem o pomoc”. Było jej wstyd.

Próbowała o tym nie myśleć. Wszystko się ułoży. Jeżeli Bóg pozwoli jej wymknąć się ze statku w Stambule...

Ależ miła z niej osóbką. Wstała, łyknęła xanax, zagryzła valium. Rzuciła się na łóżko, zgasiła światło i leżała na brzuchu, a statek kołysał ją łagodnie do snu.

Czy była kiedyś uczciwym człowiekiem? Chyba tylko jako dziecko.

Nie, nieprawda. Stała się kryminalistką, kiedy wpadła w szpony Franka.

Wcześniej nigdy nie ukradła nawet gumy do żucia. Nie była złodziejką.

Dawno temu przywłaszczyła sobie książkę z biblioteki. Ale kto tego nie robi?

A portmonetka matki?

No tak. Kilka razy wyciągnęła matce pieniądze z portfela. Każdemu może się zdarzyć. To jeszcze nie kradzież.

Kiedy jednak zaczęła się zastanawiać, nie miała już spokojnego sumienia. Rozliczała urlopy jako wydatki reprezentacyjne pod byle jakim pretekstem. Kupując w Londynie dywany, dogadała się ze sprzedawcą, że tylko połowę zapłaci kartą, a resztę gotówką przy odbiorze. W ten sposób uniknęła cła. Zaczynała rozumieć, że stopniowo przygotowywała grunt pod coraz poważniejsze oszustwa. Aż w końcu rzuciła się na głęboką wodę – z Frankiem w roli przewodnika... A potem nieudolnie próbowała się zabić, pochlipując ze wzrokiem utkwionym w lustro w łazience.

Mój Boże, pomyślała. Pomóż mi, a przysięgam, że się poprawię. Przysięgam, że wszystko Ci wynagrodzę.

Modlitwa – o ile można to tak nazwać – tylko pogłębiła uczucie odrazy do samej siebie. Oto Hannah Gray, płytka i banalna do samego końca. Obiecuje Bogu, że się zmieni, jeśli tylko On się nad nią zlituje i pomoże jej ten ostatni raz. Nie, wcale się nie zmieni.

Ale przecież chciałaby. Nie jest złą osobą, co najwyżej trochę... zepsuta;

Sennie przetoczyła się na bok. Jeszcze nie jest za późno. Jeśli teraz jej się uda, wszystko będzie dobrze.

Przynajmniej miała taką nadzieję.

Kołysanie statku działało kojąco, jej ciało dostosowało się do rytmu fal. Kiedy zasnęła, spała zadziwiająco spokojnie i mocno. Jakby naprawdę była niewinna.

ROZDZIAŁ 8

Zjechali z głównej drogi. Żwir zachrząścił pod kołami.

Siedzący z tyłu Keyes poruszył się, ziewnął, przeciągnął i wyjrzał przez okno. Reaktor jeszcze nie został uruchomiony, toteż jedyne sztuczne światło sączyło się z wieżyczek strażniczych i czterech drewnianych budynków. Pod rozgwieżdżonym niebem Nevady laboratorium Gamma nie prezentowało się zbyt imponująco.

Było lato, ale znad pustyni wiało chłodem. Keyes trząśł się z zimna podczas rewizji. Odebrał od strażnika dokumenty i wszedł do największego budynku. Znalazł się w świetlicy: na środku stał stół bilardowy, z boku bilard elektryczny, dwie sofy i wyłączony telewizor. Pod ścianą naprzeciw wejścia stał pusty regał. Keyes spojrzał w udający sęk w drewnie skaner, który zdjął obraz jego siatkówki. Szczęknięty zamki i połówki regału rozsunęły się na boki.

Za ścianą znajdowała się winda, a w niej obowiązkowa tablica do pisania.

Kiedy winda z szumem jechała w dół, Keyes wbił ponure spojrzenie w tablicę.

Ed Greenwich czekał na niego.

Przypominał trochę monstrum doktora Frankenstein; miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu, płonące gorączkowo zielone oczy, wystającą grdykę i obwisłe policzki. Gdy tylko Keyes wyszedł z windy, Greenwich zaczął mówić, jakby kontynuował rozmowę, którą przerwali dosłownie przed chwilą. Cały czas nerwowo poruszał rękami, chwytając palcami powietrze. Keyes pomyślał, że Ed zachowuje się jak maniak.

– Nie potrzeba aż siedemnastu teraelektronowoltów – powiedział bez wstępów Greenwich. Odwrócił się i poprowadził Keyesa korytarzem o metalowych ścianach i podłodze, na której ich kroki dudniły głośno. – Dawno o tym wiedziałem, chyba od zawsze, ale wczoraj... To było piękne! Tylko wiesz, Krok Trzeci to zupełnie inna para kaloszy.

Keyes skinął głową. Zdawał sobie sprawę, jak wiele energii pochłania otaczająca ich aparatura. Czuł się jak ojciec, który ma pretensje do dziecka, że nie gasi światła, ale nic nie mógł na to poradzić. Tylko on jeden dbał o takie przyziemne sprawy. Dopóki nie włączą reaktora, dopóty musieli podkraść prąd ze stanowej sieci energetycznej; gdyby przesadzili, mogliby mieć kłopoty.

Greenwich mówił i mówił, dając Keyesowi jasno do zrozumienia, że nie chce posuwać się ani o krok dalej, nie znając wyników Epsteina. Pierwszy przeszedł do ataku, żeby – jak podejrzewał Keyes – uniknąć ewentualnej bury za to, co zrobił.

– ...w świecie subnanoskopowym wyniki są idealnie zgodne z przewidywaniami. A więc jest to możliwe! W tym przypadku „możliwe” znaczy „nieuniknione”. Tak! Właśnie tak! Wczoraj udało nam się uzyskać taki efekt w najmniejszej możliwej skali.

Weszli do pomieszczenia pomiarowego głównego pierścienia akceleratora. Z nadprzewodzących magnesów, schładzanych ciekłym azotem do minus dwustu stopni, unosiły się lodowate obłoki pary. Dźwigi przesunęły trytonowe elementy wyposażenia z równą łatwością jak człowiek podnosi do ust styropianowy kubek

z kawą. Kable grube jak słoniowe nogi wiły się po podłodze. Ludzie chodzili od monitora do monitora, robili notatki i przekrzykiwali panujący w pokoju hałas.

– ...wczoraj wyprzedziliśmy wszystkich. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Hadron uruchomi swój reaktor najwcześniej w 2006 roku, my zaś spodziewamy się wyników najdalej za trzy miesiące, pod warunkiem że będę miał obiecany czas na komputerze.

Dopiero po dłuższej chwili Keyes zorientował się, że Greenwich przestał trajkotać. Podniósł wzrok i napotkał jego wyczekujące spojrzenie.

– To świetnie – powiedział.

– Ten przydział czasu na komputerze jest niezbędny. Jeżeli teraz przerwiemy pracę, stracony wszystko, co do tej pory osiągnęliśmy.

– Nie bój się, będziesz miał swój komputer.

– Wiesz, kiedy taki projekt puści się w ruch, nie można go zatrzymać. Po prostu nie można.

– Nie martw się o komputery, Ed. Pilnuj swojej działki, a ja będę pilnował swojej.

Dwadzieścia minut później wrócili do świetlicy. Elektryczny bilard mrugał światełkami. Gorąca kawa parzyła Keyesowi przętyk i żołądek.

Greenwichowi usta się nie zamykały. Keyes zwrócił uwagę na to, że mówiąc, dłubie w nosie.

– ...to ujawnić, kiedyś, w przyszłości. Zdaję sobie oczywiście sprawę, że najważniejsze jest bezpieczeństwo. Zwłaszcza w naszych czasach, bez dwóch zdań. Ale za pięć lat? Za dziesięć? Nie rozumiem, jakie zagrożenie...

Keyes umiał czytać między wierszami: Greenwichowi znów zamarzył się Nobel.

– Ed – przerwał mu. – Wszystko w swoim czasie. Dobrze?

– Jasne, oczywiście. Wszystko w swoim czasie. Po prostu głośno myślę.

– Myśl, ile chcesz. Nie ma w tym nic złego.

Dalszy ciąg tego zdania łatwo było sobie dopowiedzieć: pod warunkiem że nie będziesz się zachowywał tak jak wczoraj, że ograniczysz się do myślenia.

Osobiście Keyes bardzo się cieszył, że Greenwich pchnął robotę do przodu, ale oficjalnie nie mógł okazać entuzjazmu. Też zależało mu na sukcesie Projektu, miał jednak ważniejsze zobowiązania.

Widział, że Greenwich nie może pogodzić się z jego odpowiedzią. Uważał Keyesa za biurokrata, którego interesują wyłącznie konkretne, namacalne wyniki Projektu: uzyskana energia, przydatność dla wojska, możliwości dalszych badań. Zdaniem Greenwicha nie dostrzegał głębszych, filozoficznych implikacji ich osiągnięć. Jeśli jednak naprawdę tak było, to dlaczego w tej chwili ryzykował i próbował go kryć? Po wczorajszym nielegalnym przyspieszeniu prac? Keyes doskonale zdawał sobie sprawę ze znaczenia Projektu. I nie podobało mu się, że Greenwich traktuje go tak protekcyjnie. Wiedział też, że mimo krytyki, Greenwich nie zrezygnuje ze swych ambicji. Chciał mieć pewność, że jego zasługi nie pójdą w zapomnienie.

– Gdyby nie ten sprzęt, nigdy byśmy tak daleko nie zaszli – powiedział Greenwich. – Ale gdyby nie sprzęt, który mam tutaj – postukał się w skroń – nie wiedzielibyśmy nawet, dokąd się kierować.

Miał całkowitą rację. To on opracował model wielowymiarowej czasoprzestrzeni i tym samym otworzył drzwi dla prac nad Projektem.

Keyes przypomniał sobie, jak Greenwich pierwszy raz tłumaczył mu istotę Projektu. Przedstawił ją w tak prostych słowach, że nawet dla takiego humanisty jak

on wszystko stało się całkiem zrozumiałe.

– Czasoprzestrzeń jest skończona, ale nieograniczona – powiedział wtedy. – Wyobraź sobie kulę ziemską. Możesz poruszać się w dowolnym kierunku po Ziemi i nigdy nie dotrzesz na jej skraj, a jednak powierzchnia Ziemi jest skończona. Podobnie jest z czasoprzestrzenią, Jim. My zamierzamy wydłubać w niej małą dziurkę, wydrążyć tunel na wylot przez Ziemię. Przez sam środek. Nie możemy przy tym zapominać, że w ten sposób przetniemy nie tylko przestrzeń, ale i czas...

Potem przyszedł czas na inne metafory. Chcieli zakrzywić czasoprzestrzeń, nadać jej kształt siodła i przeskoczyć z przedniego łuku na tylny. Żadne porównanie nie było stuprocentowo precyzyjne, ponieważ istoty żyjące w trzech wymiarach z definicji nie mogły sobie wyobrazić czasoprzestrzeni, która ma cztery wymiary. Keyes jednak trzymał się pierwszej analogii – kuli ziemskiej. Rozumiał ją. Skończona, ale nieograniczona.

Greenwich zrobił Keyesowi krótki wykład z fizyki relatywistycznej, która w istocie, jak twierdził, wcale nie jest taka trudna, jak się powszechnie uważa.

Sekret fizyki relatywistycznej tkwił w świetle.

Siedzieli u Keyesa w biurze, popijali chłodną wodę z kryształowej karafki i spokojnie dyskutowali o naturze wszechświata.

– Od wieków wiadomo, że prędkość światła jest ograniczona. Pewien holenderski astronom doszedł do takiego wniosku już w 1676 roku, obserwując zaćmienia księżyców Jowisza: im bardziej Jowisz oddalał się od Ziemi, tym późniejsza była pora zaćmienia. To znaczyło, że światło biegnie do nas ze skończoną prędkością. Ten Holender próbował ją nawet wyznaczyć i, biorąc pod uwagę jego warsztat naukowy, wyszło mu to całkiem nieźle. Oszacował ją na dwieście dwadzieścia pięć tysięcy kilometrów na sekundę. Dziś wiemy, że to prawie trzysta tysięcy kilometrów na sekundę. Na razie wszystko jasne?

Keyes zapewnił Greenwicha, że tak.

– Kiedy mierzymy szybkość jednego obiektu, musimy mierzyć ją względem innego. Powstaje pytanie: względem czego mierzyć prędkość światła? Albert Einstein udzielił na nie następującej odpowiedzi: prędkość światła jest największą możliwą prędkością we wszechświecie i przy każdym pomiarze będzie taka sama, bez względu na szybkość, z jaką porusza się mierzący. Jak to możliwe? Czas musi się rozciągać. Odległość jest iloczynem prędkości i czasu. Jeżeli odległość przebyta przez światło ma być różna, a jego prędkość stała, musi się zmienić trzeci element równania, czyli czas.

Widząc, że Keyes w skupieniu zmarszczył czoło, Greenwich pospiesznie dodał:

– To nie jest takie skomplikowane. Wyobraź sobie, że w naszą stronę leci impuls świetlny. Ja stoję w miejscu, ty wychodzisz mu na spotkanie z prędkością sześciu kilometrów na godzinę. Zgodnie ze zdrowym rozsądkiem światło powinno ci się wydać o tyle właśnie szybsze, ale tak się nie dzieje: obaj zmierzmy jego prędkość jako trzysta tysięcy kilometrów na sekundę. Czas się rozciąga.

Keyes zaczął coś z tego rozumieć, ale tylko trochę.

– Musisz po prostu odrzucić ideę absolutnego czasu – ciągnął Greenwich. – Pogodzić się z tym, że czas i przestrzeń to dwie strony jednej monety, czasoprzestrzeni; Żadna z nich nie jest wielkością absolutną, obie zależą od ruchu obserwatora.

Było to trudne do przyjęcia dla ludzi, którzy postrzegają czas jako niezmiennie płynący naprzód. Jeśli jednak Keyes chciał zrozumieć Projekt, musiał zaakceptować to, co mówił Greenwich.

Zrobił to bardzo chętnie. Czas jest tylko złudzeniem? Proszę bardzo.

Implikacje filozoficzne takiego podejścia są zdumiewające, ale niech tak będzie.

– Kilka lat po opublikowaniu tej tak zwanej szczególnej teorii względności, Einstein opracował także teorię ogólną. Stwierdził mianowicie, że grawitacja nie jest zwykłą siłą fizyczną, lecz wynikiem deformacji czasoprzestrzeni na skutek nierównomiernego rozkładu masy i energii. Planety nie krążą wokół gwiazd, lecz poruszają się po liniach prostych, wytyczonych w zakrzywionej czasoprzestrzeni. I wiesz co? Obserwacje orbit planet w Układzie Słonecznym potwierdziły teorię Einsteina; jej wyniki są bliższe rzeczywistości niż wyniki Newtona. Ludzkość jako gatunek – ciągnął – jest zbyt ograniczona, by móc postrzegać wszechświat tak, jak on naprawdę wygląda. Faktem jest jednak, że my, istoty trójwymiarowe, żyjemy w przestrzeni czterowymiarowej, której czwartym wymiarem jest czas. Gdybyśmy przebyli dostatecznie dużą odległość w czasoprzestrzeni, moglibyśmy znaleźć się nie tylko w innym miejscu, ale i w innym czasie.

Greenwich odczekał chwilę, aż Keyes oswoi się z tą myślą, i kontynuował:

– Czarne dziury, Jim, to wyrwy w czasoprzestrzeni. Powstają, kiedy niewiarygodna grawitacja i gęstość energii zapadającej się gwiazdy przebijają tkanekę wszechświata. Gdyby udało nam się wytworzyć czarną dziurę w laboratorium – do czego dojdzie zapewne przy zderzeniu materii rozpedzonej do olbrzymiej prędkości w akceleratorze cząstek elementarnych, na przykład takim jak w laboratorium Gamma – może zdołamy przełamać ograniczenia trójwymiarowości i czas przestanie być dla nas prostym, liniowym zjawiskiem.

Oczywiście niosło to pewne ryzyko. Gdyby wytworzona w laboratorium czarna dziura wyrwała się spod kontroli, mogłoby dojść do katastrofy.

Tymczasem wzory Epsteina pozwoliłyby precyzyjnie określić trwałość laboratoryjnych czarnych dziur. Uniknęłyby się katastrofy. Formuła przydałaby się tym bardziej, mówił Greenwich, że konkurencja nie zasypia gruszek w popiele. Uruchomienie akceleratora hadronów w CERN, szwajcarskim centrum fizyki cząstek elementarnych pod Genewą, zaplanowano na 2006 rok.

Keyes dał się przekonać Greenwichowi. Niepodjęcie ryzyka byłoby głupotą. Kto chce grać z najlepszymi, musi grać o wysokie stawki – a w tym przypadku stawka była naprawdę ogromna. Potencjalne korzyści przechodziły wszelkie wyobrażenie.

- Nie zapomnimy ci tego, Ed – stwierdził z powagą.
- Nie chodzi o zasługi – odparł niepewnie Greenwich.
- Wiem. I chcę, żebyś to wiedział: nie zapomnimy.

Greenwich łyknął kawy. Grdyka podskoczyła mu gwałtownie.

- Może do ciebie dzwonić Chen – uprzedził. – Facet pęka.

Keyes pokiwał głową.

– Nie słuchaj go. Wszyscy miewamy wątpliwości. To normalne.
– Rozumiem – odparł Keyes. Powstrzymał się od dodania: Przecież trzymam z tobą, człowieku. Nie widzisz tego?

– Pamiętasz lądowanie na Księżycu? „W tej chwili wszyscy mieszkańcy Ziemi naprawdę stanowią jedność”. To właśnie chcemy osiągnąć, Jim.

- Nie musisz mi tego mówić, Ed. Gramy w jednej drużynie.
- Kiedy zadzwoni Chen, wysłuchaj go, bo inaczej będzie próbował cię obejść.
- W porządku.
- I nie zapomnij, z kim trzymasz.

Keyes uznał, że to miły akcent, w sam raz na zakończenie rozmowy. Pokiwał głową, wstał i podał Greenwichowi rękę. Pożegnali się i wrócił do samochodu.

Rzeczywiście, będzie trzeba pamiętać o Greenwichu, pomyślał, kiedy ruszyli zwirową dróżką do głównej drogi. Strasznie mu na tym zależało, żeby ktoś go docenił. Nauka jako sztuka dla sztuki dobrze wygląda tylko na papierze; kiedy doszło

co do czego, Greenwich chciał się pokazać. Tak jak Epstein bujał w obłokach, zamiast stać twardo na ziemi. Nie rozumiał wymogów bezpieczeństwa. Ciekawe jak zareaguje Jeśli stwierdzi, że nagroda nie odpowiada jego wkładowi pracy?

Ucieknie, jak Epstein? Zrezygnuje ze współpracy z amerykańskim rządem i poszuka nowego sponsora?

Przyjdzie pora na Greenwicha. Tak jak pozalutwia się wszystkie niedokończone sprawy, ale najpierw musieli zrobić Krok Trzeci. Czyli Greenwich musi powtórzyć wyniki Epsteina.

Już niedługo, pomyślał Keyes.

Żwir przeszedł w asfalt i Keyes zrobił się senny. Bezkresna pustynia usypiała go swoją monotonią.

„Kiedy taki projekt puści się w ruch, nie można go zatrzymać”.

A projekt nabrał już rozpędu, prawda? Wyobrażał go sobie jako toczącą się kulę śnieżną, z łoskotem spadającą po stoku góry, zbierającą coraz więcej śniegu i coraz cięższą. Coraz trudniejszą do zatrzymania.

Przyszło mu do głowy, że Jeremy też skłonny był zbyt się rozpędzać. Był jak żywe srebro. Nauczył się nawet takiej sztuczki z rowerem: wjeżdżał na podjazd pod domem i zeskakiwał z siodełka, a rower toczył się dalej z tą samą szybkością. Nieraz dostawał za to burę, ale był uparty. Oczyma wyobraźni Keyes widział go jakby to było wczoraj: Jeremy ześlizguje się z siodełka, a rower pędzi dalej, aż pod ścianę garażu. Nigdy się nie przewracał. Dlaczego Jeremy miałby zrezygnować z tej sztuczki, mimo pretensji rodziców? Rower ani raz się nie przewrócił: jechał płynnie po żwirze i łagodnie zwalniał, a potem jak zaczarowany opierał się o ścianę. Jeremy przez ten czas zdążył już wpaść do domu, złapać coś do jedzenia i popędzić do telewizora albo do komputera, jak gdyby sam też zachowując coś z energii roweru. Pędził przez życie z taką szybkością...

Keyes zdrzemnął się.

Natychmiast się ocknął. Usiadł wygodniej. Kierowca słuchał jakiejś dyskusji w radiu.

Radio buczało monotonna.

Keyes ziewnął i zasnął.

Dietz zostawił wiadomość.

Keyes wszedł po ciemku do gabinetu, usiadł za biurkiem i wybrał numer. Niech to będzie dobra wiadomość. Jeżeli usłyszy, że Epstein został usunięty, rano zrobi sobie wolne. Zje solidne śniadanie, a potem jeszcze pośpi. Niech diabli wezmą dietę. A jeżeli nie...

– Dietz – usłyszał w słuchawce.

– Mówi Jim Keyes.

Dietz się zawahał – i Keyes już wiedział, że nie ma dobrych nowin.

Zameldował, że zajęli się Epsteinem, ale sprawy się skomplikowały.

Przeszukanie kabiny i bagażu Epsteina nic nie dało. Wyglądało więc na to, że Epstein nie zostawił żadnych śladów swojej pracy. Pojawił się jednak pewien problem. Leonard widział, jak Epsteinowie rozmawiali z młodą kobietą; miał wrażenie, że coś ich łączy. Możliwe, że Epstein zachował jednak kopię formuły. Niewykluczone że działał w zмовie z młodą kobietą, która mogła reprezentować jakiegoś kupca...

Keyes oparł głowę na wolnej ręce, w drugiej trzymał słuchawkę. A więc Epstein jednak się sprzedał.

Dokonali z Greenwichem tak wiele, a teraz powstrzyma ich taki drobiazg: zwykły przeciek. Niedostateczne zabezpieczenie. Nie dość, że stracą formułę, to

jeszcze dostanie się ona w ręce nieprzyjaciela. Ta możliwość wydała mu się naprawdę przerażająca.

Kiedy Projekt się zawali, kogo przysypie gruz? Oczywiście jego. Nie poszedł ze swoim problemem do DIA, chociaż potrzebował pomocy. Krył Greenwicha. Teraz za to wszystko zapłaci.

To był koniec.

– Kim jest ta kobieta? – zapytał, pocierając ręką skroń.

– Dobrze pytanie – odparł rozbawiony Dietz. Keyesowi nie podobał się jego ironiczny ton. – Może sam ją o to zapytam. Nie wiem, jak dogadali się z miejscowymi władzami i statek płynie prosto do Stambułu. Moglibyśmy się tam spotkać i ją przejąć.

– Do Stambułu – powtórzył Keyes.

– Tak. Pojutrze...

– Który hotel? Przylecę.

ROZDZIAŁ 9

Henri Jansen sięgnął ponad Madeleine, wziął z nocnego stolika paczkę gauloise'ów i zapalił od razu dwa.

– Muszę iść – stwierdziła Madeleine, ale wzięła od niego papierosa.

Paliła, nie otwierając oczu. Uśmiechała się leciutko.

– Jutro mam wielki dzień – powiedziała. – Mój mąż organizuje wycieczkę dla grubych ryb. Przyjeżdża najlepszy kumpel Tony'ego Blaira, saudyjski książę, i jeden słynny Amerykanin – taki bandzior w białych rękawiczkach... Dlaczego amerykańscy przestępcy są tacy sławni?

Henri nie odpowiedział.

– Może nie tylko amerykańscy – ciągnęła niedbałym tonem. Miała trzydzieści parę lat, była ładna, beztraska i skłonna do flirtów. Tylko od czasu do czasu Henri dostrzegał pod tą niefrasobliwością jakąś inną, smutną Madeleine. – Nieważne. Wyobrażasz sobie te rozmowy? Cały czas będą gadać o koniach wyścigowych. Wszyscy hodują araby i bawią się nimi jak chłopcy samochodzikami.

Henri zaciągnął się papierosem. Milczał.

– No, teraz już naprawdę muszę lecieć – dodała Madeleine i oddała mu swojego gauloise'a.

Poszła wziąć prysznic, a on został w łóżku, na przemian zaciągając się to jednym, to drugim papierosem. Ogarniało go przygnębienie, drażące i nieustępliwe, chociaż – jak sobie tłumaczył – nie miał przecież powodów, żeby wpadać w depresję. Zawsze marzył o takim życiu. Daleko zaszedł, zwłaszcza w porównaniu z czasami, kiedy nie stać go było na kupno papierosów i jako dziecko musiał w Paryżu zbierać pety na ulicach.

A teraz – proszę: papieros w każdej ręce, różne kobiety na różne pory dnia, wynajęty piękny dom, i to bez czynszu. Czegóż chcieć więcej?

Madeleine wyszła z łazienki. Patrzył, jak się ubiera, potem wstał z łóżka, pocałował ją w kark i nagi wyszedł z nią do samochodu. Cmoknął ją jeszcze raz na pożegnanie i odprowadził wzrokiem odjeżdżające audi.

Stał przez chwilę w chłodnym, wieczornym powietrzu, walcząc z przygnębieniem.

Zwrócił uwagę, że mistral przybiera na sile. Dziwne. Latem chłodny północny wiatr nigdy nie był przesadnie dokuczliwy. Dopiero zimą, kiedy niósł lodowate

powietrze znad doliny Rodanu, bezlitośnie smagał południową Francję. Tyle że zimą Henri nie czekał na niego – przenosił się do Aspen, na Wybrzeże Kości Słoniowej albo South Beach. Nigdy w życiu nie miał własnego domu – przyjaźnił się jednak z wieloma ludźmi, którzy mieli domy w różnych pięknych okolicach i zawsze chętnie użyczali ich Henriemu Jansenowi.

Uważali się za mecenasów sztuki. Udostępniając mu swoje rezydencje, wspierali jego karierę fotografa... Chociaż, prawdę mówiąc, minął rok, odkąd ostatni raz założył film do aparatu. Ale w dawnych czasach nazwano by ich mecenasami.

Zamiast od razu wejść do domu, zrobił sobie krótki spacer po terenie posiadłości. Liliowe słońce kryło się za horyzontem; o zachodzie słońca winnice wyglądają najpiękniej. Nie spieszył się z powrotem, wolał poczekać, aż poprawi mu się nastrój. W którymś momencie dołączył do niego pies sąsiadów, skundlony terier o imieniu Sylvie, i przez dobre dziesięć minut szli razem. Później Sylvie spostrzegł motyla i popędził za nim, zostawiając Henriego samego.

Zanim Henri wrócił do domu, zrobiło się całkiem ciemno.

Wziął prysznic. Wciąż czuł na palcach i we włosach zapach Madeleine, od którego przebiegał go rozkoszny dreszczyk. Bardzo dobrze ostatnio układało mu się z Madeleine. Może nawet za dobrze.

Jej mąż, Władimir, był wysokiej rangi politykiem rosyjskim, niegdyś blisko związanym z KGB, a obecnie zaangażowanym w reformę rosyjskiego systemu sadowniczego. Madeleine opowiadała Henriemu o korupcji w sądach rosyjskich i o tym, jak Władimir bogaci się dzięki niej. Ostatnio coraz więcej czasu spędzali tu, w Prowansji, trwoniąc fortunę w towarzystwie elity, która spędzała lato na południu Francji: zamożnych przemysłowców, gwiazd filmowych, członków rodów królewskich, polityków, osób z socjety.

Henri dobrze się bawił w towarzystwie Madeleine, co nie zmieniało faktu, że nie chciałby mieć w jej mężu wroga. Władimir był w pewnych kręgach znany jako Sęp – nie tylko z powodu orlich rysów twarzy, lecz także ze względu na drapieżne instynkty, których nie wahał się zaspokajać. Gdyby Henri i Madeleine zanadto się do siebie zbliżyli, Ismailów mógłby coś zauważyć. I pojawiłby się problem.

Ale nie, to był tylko przelotny romansik. W sam raz na jedno lato. Henri zdawał sobie z tego sprawę i miał nadzieję, że Madeleine też nie ma wątpliwości.

Po kąpeli obszedł dom i pozamykał okiennice, na wypadek gdyby zerwała się burza, kiedy będzie na kolacji. Przykłęknął w salonie, sprawdził, czy przewód kominowy nad kominkiem jest zamknięty, a potem spojrzął na ogromne, przeszkłone drzwi. On tu zamyka na cztery spusty wszystkie mniejsze okna, a te tafle szkła ma zostawić na pastwę żywiołu? Cóż, takie otrzymał polecenia.

Oficjalnie pełnił rolę opiekuna domu. Miał pilnować, żeby rury nie popękały, skorpiony nie zaległy się w pokojach, lodówka i piwniczka nie świeciły pustkami. W rzeczywistości był tu naturalnie po to, żeby właścicielka – Amerykanka, którą żartobliwie nazywał Księżniczką – mogła korzystać z jego usług, jeśli najdzie ją taka ochota. Na razie jednak Księżniczka wyjechała z mężem do Rzymu i miała tam zostać do końca miesiąca.

Wspomniała niedawno, że być może w przyszłości sprezentuje ten dom Henriemu. Byłby to prawdziwy dar z nieba: piętrowa, wielka rezydencja nieopodal Abc-en-Provence, dziesięć akrów ziemi, trzy domki dla gości, basen i towarzystwo gwiazd, które przyjeżdżały tu na wakacje. Gdyby stał się właścicielem domu, nie musiałby się tak bardzo przejmować opalenizną i utrzymaniem właściwej formy; mógłby się z wdziękiem zestarzeć. Może nawet znalazłby znowu trochę czasu na fotografowanie...

Na razie jednak dom nie należał do niego. Poza tym w głębi serca nie wierzył, żeby Księżniczka naprawdę chciała mu go podarować. Kusiła go tą perspektywą, żeby nie przestał się nią interesować.

Musiał wracać do pracy.

A praca przewidziana na wieczór wiązała się z pewną Włoszką, Isabellą DiMeglio, której mąż zbyt długo przesiadywał w biurze i zaniedbywał małżonkę. Henri miał chrapkę na jego dom na Bahamach.

Skończywszy obchód rezydencji, wrócił do sypialni, spryskał się wodą kolońską i spojrzął w lustro. Uśmiechnął się uwodzicielsko, poprawił mankiety i poszedł na randkę.

CZĘŚĆ 2

ROZDZIAŁ 10

Keyes zamknął walizkę i zerknął na stojący przy łóżku radiobudzik. Do przyjazdu samochodu zostało mu dwadzieścia minut. Ostami raz przejrzał w myślach listę rzeczy do spakowania: szczoteczka do zębów, laptop, nowy Grisham, komórka. Wszystko na swoim miejscu.

O czym przypomni sobie w drodze? Matka zawsze mu powtarzała: zanim wyjdiesz z domu, pójdz do łazienki. Stanął nad sedesem, rozpiął rozporek. Przypomnił sobie o zapasowej baterii do telefonu...

I właśnie wtedy rozległ się dzwonek do drzwi.

Zapiął pospiesznie spodnie, wyszedł z łazienki i zbiegi po schodach. Jego kroki odbijały się echem w pustych pomieszczeniach. Śmiać mu się chciało, że kiedyś martwił się brakiem miejsca w tym ogromnym domu. Wtedy jednak mieszkali tu także Rachel, Jeremy i Margot Go by się stało, gdyby doczekali się wnuków? Całkiem poważnie rozważali rozbudowę domu. Teraz Jeremy odszedł, odeszła Margot, odeszła też Rachel, która wyprowadziła się do matki, do Bostonu. Nawet Keyes nie czuł się tu całkiem u siebie. Kiedyś mieszkało w tym domu czworo ludzi; dziś zostało pół człowieka.

Dobrze znał ten wewnętrzny głos. Psychoanalityk ostrzegwał go przed nim. Nie powinien go słuchać. Podszedł do drzwi, siłą woli koncentrując się na bieżących wydarzeniach. Nauczył się jednej rzeczy: samochód z kierowcą nigdy nie przyjeżdża przed czasem.

Życie jest jednak pełne niespodzianek. Kiedy Keyes otworzył drzwi, na progu stał Henry Chen.

Nalali sobie do szklanek dietetycznej lemoniady i wyszli na patio na tyłach domu. Chen był niski, miał przedwcześnie posiwiałą brodę, okulary w grubych oprawkach i wąskie, upodabniające go do wieszaka ramiona. W przeciwieństwie do innych naukowców, z którymi Keyes miał do czynienia, zawsze dbał o swój wygląd. Tego ranka miał na sobie niebieską bawełnianą koszulę bez krawata, spodnie khaki i mokasy. Był jednak – jak na geniusza przystało – ekscentrykiem. Zawsze chodził uśmiechnięty, jakby rozumiał, że jest to dobrze odbierane, ale wyraz jego twarzy nie miał związku z tym, co się działo. Chen nosił uśmiech jak maskę, toteż rozdźwięk między jego mimiką i słowami sprawiał czasem niezwykle wrażenie.

Przez chwilę stał bez słowa uśmiechnięty, podziwiając trawnik za domem, usłany zatkniętymi w ziemię czerwonymi, białymi i granatowymi wiatraczkami – pozostałościami Czwartego Lipca. Keyes też się zdziwił. Od tamtej pory minął prawie

miesiąc; gdyby Rachel z nim mieszkała, trawnik dawno zostałby uprzątnięty.

Chen odwrócił się do niego.

– Przepraszam, że wpadłem tak wcześnie, ale chciałem z tobą porozmawiać, zanim wyjedziesz do biura.

Keyes skwitował jego słowa machnięciem ręki, jakby przywykł do tego, że współpracownicy odwiedzają go o najróżniejszych porach. Usiadł na ogrodowym krzeselku z kraciastą poduszką, udając, że nigdzie mu się nie spieszy i wcale nie czeka na samochód. Jeśli zdoła pozbyć się Chena przed przybyciem szofera, nie będzie musiał wdawać się w niepotrzebne wyjaśnienia. Napił się lemoniady; była chłodna i orzeźwiająca.

Chen podszedł do drugiego krzesła i już miał usiąść, gdy jego uwagę zwróciły zawieszony nad patio reflektory.

– Od niedawna je masz?

Keyes próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio gościł u siebie Chena, ale daremnie.

– Od roku – odparł. – Żałuj, że nie widziałeś ich w zimie. Światło tak się odbija od śniegu...

– Nie wątpię. To musi być piękny widok.

Zapadło krępujące milczenie. Chen zadarł głowę, podziwiając brzask.

– Wiesz, że Eratostenes oszacował obwód Ziemi, opierając się na obserwacjach Słońca? Porównał kat padania promieni słonecznych w Asuanie i w Aleksandrii. Pomylił się, ale biorąc pod uwagę jego metodę, błąd nie był duży.

– Sprytny gość.

– Niezwykle osiągnięcie. Muszę cię powiedzieć, że ludzie, którzy dla ciebie pracują, wcale nie są gorsi. Weźmy na przykład takiego Eda Greenwicha. Przecież to geniusz. A ten Steve Epstein! Coś ci powiem, Jim. Ci faceci przerastają mnie o głowę.

Keyes był ciekaw, dlaczego Chen postanowił uderzyć w ton fałszywej skromności – tym bardziej że miał pewne podejrzenia.

– A skoro o Stevie mowa... – ciągnął niby od niechcienia Chen. – Zastanawiam się...

Spojrzał na Keyesa. W słabym świetle poranka jego oczy wydawały się ogromne i dziwnie łagodne.

– Gdzie on właściwie jest?

Keyes nie odpowiedział. Powiew wiatru zakręcił wiatraczkami. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, a potem – Keyes nie posiadał się ze zdumienia, bo pierwszy raz widział coś takiego – uśmiech zniknął z twarzy Chena.

– Od tygodnia nie pojawia się w instytucie. Nikogo o tym nie uprzedził. Zacząłem się rozglądać i wiesz co? Nigdzie nie ma żadnych śladów jego prac. Ale ty chyba już o tym wiesz, prawda?

Keyes z powagą skinął głową. – Gdzie jest Steve?

– Wyjechał z żoną na urlop.

– Tak po prostu?

Keyes wzruszył ramionami.

– A co z jego pracą?

– Najwyraźniej uznał, że powinien skasować wyniki.

– Steve coś odkrył. Coś, co go przeraziło.

Keyes milczał.

– Co zamierzasz z tym zrobić?

– Nie jestem pewien, czy cię dobrze...

– Przestraszył się uzyskanych wyników i postanowił zabrać je ze sobą.

Podejrzewani, że bał się, że go nie posłuchasz, kiedy doradzi ci wstrzymanie prac. Ty

albo ci nad tobą. Zamierzasz uszanować jego decyzję?

Keyes uśmiechnął się, że to pytanie retoryczne.

– Mam nadzieję, że nie miał racji. Chciałbym wierzyć, że posłuchasz racjonalnych argumentów. Dlatego tu przyjechałem, Jim. Chcę ci przemówić do rozsądku.

Protekcjonalne zachowanie Chena złościło Keyesa, ale postanowił nie dać poznać tego po sobie.

– Mów – powiedział. – Słucham.

– Zawsze, kiedy w naukę wtrącają się przemysłowcy i politycy, sytuacja staje się niebezpieczna. Dlatego naukowcy powinni uważać się za szczęściarzy, gdy mają takich przełożonych jak ty, ludzi rozumiejących konsekwencje naszych prac.

Geometria różniczkowa nie jest może twoją największą pasją, Jim, ale jesteś dość bystry, żeby słuchać tych, którzy znają się na rzeczy.

Teraz czas na pochlebstwa, co było inną formą protekcjonalności. Keyes utopił złość w lemoniadzie.

– W obliczu nanotechnologii, inżynierii genetycznej, klonowania, fizyki jądrowej ludzkość będzie musiała niedługo zmienić kryteria moralności. Jestem naukowcem, Jim. Sam najlepiej wiem, że postępu nie da się uniknąć, ale nie zmienia to faktu, że musimy być ostrożni i pewni, że działamy z właściwych pobudek. Jeżeli pozwolimy, żeby naciski przemysłowców i polityków dyktowały nam...

– Przepraszam cię, Henry – Keyes przerwał Chenowi – ale jestem umówiony. Możesz przejść do rzeczy?

Chen zawahał się, starannie dobierając słowa.

– Przekonajmy się, co odkrył Steve, co go tak zaniepokoiło. Wstrzymaj prace nad Projektem.

– To chyba przesada.

– Ed ci powiedział, że może powtórzyć wyniki Steve'a, prawda? Dlatego się tym nie zajmujesz.

– A wyglądam, jakbym się nie zajmował?

– Ed się myli – stwierdził stanowczo Chen. – Jest geniuszem, ale nie zna swoich ograniczeń. Takich naukowców jak Steve, ludzi zdolnych do takich odkryć, można policzyć na palcach jednej ręki. Opracował wzór pozwalający określić trwałość osobliwości, prawda?

Nie mając nic do powiedzenia, Keyes napił się lemoniady. Czyżby to samochód zajeżdżał pod dom? Nie, to tylko wiatr wyje.

– Jaki jest twoim zdaniem cel Projektu? – zapytał zniecierpliwiony Chen.

Keyes zdawał sobie sprawę, że to podchwytliwe pytanie. Postanowił udzielić podręcznikowej odpowiedzi i odwołać się do pierwszego wykładu Greenwicha:

– Stworzenie w warunkach laboratoryjnych trwałej osobliwości grawitacyjnej, którą można by manipulować...

– Nie cytuj mi książek. O co naprawdę chodzi w Projekcie?

– O tanie, czyste i bezpieczne źródło energii, o zastosowanie go w celach wojskowych...

– Właśnie. To jest najważniejsze. Za grosz szacunku dla natury, a kto nie szanuje Matki Natury, Jim, sprowadzą na siebie kłopoty.

Keyes zacisnął usta w wąską kreskę.

– Nie chcę ci grozić – ciągnął spokojnie Chen – ale jeśli mnie nie posłuchasz, pójdę z tą sprawą wyżej, do twoich przełożonych. Szanuję Steve'a i jego zdanie bardziej niż ty.

Keyes otarł dłonią twarz. – Chryste Panie...

– Przykro mi, ale tak to wygląda.

– Gdybym miał chociaż cień wątpliwości, nie zastanawiałbym się ani...
– Powinieneś mieć wątpliwości. Każdy normalny człowiek powinien je mieć.
– Nie pozwoliłbym kontynuować prac bez podjęcia wszelkich możliwych środków bezpieczeństwa.

– To za mało.

– A czego byś chciał?

– Przekonaj Steve'a, że może bez obawy podzielić się z nami swoimi wynikami. Powiem ci, jak to zrobić. Zbierz grupę ekspertów, którzy przeanalizują jego dane; ludzi z zewnątrz, niezależnych.

– Jeżeli to zrobimy, zaryzykujemy, że ktoś nas wyprzedzi.

– Módlmy się, żeby też był ostrożny.

Keyes nie odpowiedział. Nagle poczuł się stary, bardzo stary – i bardzo zły.

Chen go o coś oskarżał, w najlepszym przypadku o pychę, w najgorszym – o głupotę. Mógł sobie prawić kazania o nieposzanowaniu Matki Natury, ale czy gdyby on, Keyes, zrobił mu wykład o konkurencji we współczesnym świecie, coś by to dało? Nie. Bo Chen był, na swój sposób, egoistą. Rozdawał na prawo i lewo dobre rady, ale sam z nich nie korzystał.

I pewnie przesadzał ze czcią wobec Matki Natury. Nadmiar szacunku dla niej sprawił, że zrobił się zbyt ostrożny; przez niego mogli stracić szansę na spektakularny sukces, który w tej chwili mieli na wyciągnięcie ręki. Jeżeli człowiek godzi się pokornie na los, który zgotował mu Bóg, nie może być mowy o postępie.

Greenwich powiedział Keyesowi, że wszechświat liczy sobie zaledwie czternaście miliardów lat. Liczbę tę określili naukowcy – tacy jak Chen. Czternaście miliardów! Tak niewiele! Jeżeli wszechświat miał budzić nabożny lęk, powinien mieć co najmniej miliard miliardów lat. Jego wiek powinien być wręcz niewyobrażalny. Taki młody kosmos nie robił na nim wrażenia, przypominał raczej tanią zabawkę, dołączaną w promocji do paczki chipsów. Dlaczego ludzie mieliby szanować wszechświat i pokornie przyjmować wszystko, co im zsyła? To by było tchórzostwo.

No tak, ale przecież Chen nie pochował własnego dziecka. Dla niego wszechświat zasługiwał na szacunek. Nie było sensu strzepić na próżno języka, tym bardziej że Chen utwierdziłby się w swoim przekonaniu – i na pewno odwołałby się do przełożonych Keyesa.

Postanowił ugłaskać Chena.

– Masz trochę racji – przyznał z udawaną niechęcią.

– Cieszę się, że tak mówisz.

– Masz rację, Epstein uciekł. Może dlatego, że mi nie ufa. A Greenwich rzeczywiście obiecał powtórzyć jego wyniki.

– Wiedziałem o tym już wcześniej.

– Zbiorę grupę ekspertów; o której mówiłeś, ale nic więcej nie jestem w stanie obiecać. Jeżeli stwierdzą, że można bezpiecznie kontynuować...

– O nic więcej nie proszę.

– Dziękuję, że przyszedłeś z tym do mnie, Henry. Mogłeś od razu uderzyć wyżej.

– Jesteś porządnym człowiekiem – odparł Chen, chyba lekko urażony. – Wiem o tym.

– Staram się.

– Podjąłeś słuszną decyzję, Jim.

– Mam nadzieję.

– Na pewno.

Keyes wstał. Chen zrozumiał ten sygnał i razem wrócili do domu. Zostawili szklanki w kuchni i Keyes odprowadził gościa do drzwi.

- Co tam u Beth? – spytał.
 - Wszystko w porządku, dziękuję.
 - A dzieciaki?
 - Świetnie się chowają. Są kapitalne.
 - Pozdrów je ode mnie.
 - Dzięki. Jim... To dobre wyjście. Jedyne.
- Na chwilę zapadła cisza, a potem Keyes powiedział:
- Szerokiej drogi.

Chen uśmiechnął się, odwrócił i wsiadł do subaru zaparkowanego pod wiatą, gdzie Jeremy robił swoje sztuczki z rowerem. Wyjeżdżając na drogę, zatrąbił na pożegnanie.

Keyes pomachał mu ręką i odprowadził go wzrokiem.

Dwadzieścia sekund później na podjeździe pojawił się drugi samochód. Keyes dał kierowcy znak, żeby chwilę zaczekał, i wrócił po walizkę.

Zanim jednak wyszedł z sypialni, sięgnął po stojący obok budzika telefon. Wziął do ręki słuchawkę, zamyślił się i usiadł na skraju łóżka. Wybrał numer z pamięci.

Ktoś musiał zająć się Chenem i to szybko, zanim on się zorientuje, że Keyes go okłamał.

– Słucham? – rozległo się w słuchawce. W tle było słychać telewizor nastawiony na *GoodMoming, America* i donośny kobiecy głos, dobiegający z drugiego pokoju.

– Roger? – upewnił się Keyes. – Przepraszam, że zawracam ci głowę w domu...

ROZDZIAŁ 11

Yildirim denerwował się.

I nic dziwnego. W razie wpadki straciłby pracę. To jednak nic w porównaniu z tym, co groziło Hannah. Dlatego nie była skłonna się nad nim rozczulać.

Stali we dwoje na pokładzie rekreacyjnym. „Aurora II” wchodziła do portu w Stambule. Na nabrzeżu czekali dokerzy z cumami w rękach, a za nimi, w głębi, grupa mężczyzn w garniturach i ze złotymi zegarkami, które połyskiwały w słońcu. Tajniacy, pomyślała Hannah. To im musiała się wymknąć.

Yildirim przypalił jednego papierosa od drugiego i wyrzucił niedopałek za burtę. Papierosem wskazał ekipę w garniturach.

– Widzi ich pani?

Hannah skinęła głową.

– No to powtórzę jeszcze raz. – Mówiąc, Yildirim wodził wzrokiem po porcie.

– Kiedy dotrze pani do domu Victora...

Chodziło o Victora Bascare, męża jednej z zatrudnionych na statku pokojówek. Hannah nauczyła się na pamięć jego adresu; mieszkał na zachodnim przedmieściu Stambułu. Jeśli uda się jej prześliznąć przez oka zastawionej na nią sieci, miała złapać taksówkę i podać kierowcy adres Victora. Tam powinna czekać na Yildirima, a potem razem załatwiliby pozostałe drobiazgi. On miał ją wsadzić do samolotu na lotnisku imienia Ataturka, ona zaś – co z jego punktu widzenia było o wiele ważniejsze – zadzwonić do księgowego i dokonać przelewu.

– ...proszę cierpliwie czekać – ciągnął Turek. – Nie wiem, kiedy uda mi się

stąd wyrwać; to może potrwać. Zwłaszcza kiedy się zorientują, że pani zniknęła.

– Dobrze.

– Ale prędzej czy później zjawię się tam. Niech pani czeka.

– Dobrze.

Yildirim odkaszlnął, przysłaniając usta dłonią.

– Ja chyba zwariowałem – mruknął.

Jakby chciał jej wmówić, że robi to z dobrego serca. Jakby nie było mowy o pieniądzach.

Hannah nie odpowiedziała.

Za portem rozciągał się Sztambuł, nad którym powoli zapadała noc. Może gdyby przypłynęli wcześniej, wyglądałoby to bardziej egzotycznie. Teraz jednak Hannah ledwie rozróżniała majaczące we mgle zarysy wiekowych meczetów. Starej części miasta, która – najpierw jako Bizancjum, potem Konstantynopol, a teraz Sztambuł – przez szesnaście stuleci była jednym z centrów świata, w ogóle nie dało się dostrzec. Zamiast tego Hannah mogła podziwiać korki na ulicach, fast foody i odległe gmaszyska, które prawie zasługiwały na miano drapaczy chmur.

Dokerzy złapali rzucone ze statku liny, sami też rzucili cumy. Yildirim zaciągnął się papierosem, aż zaskwierczał szybko spalany tytoń.

– Gotowa? – zapytał.

Hannah zawahała się. Wieczór był ciepły, czego pewnie nie można powiedzieć o wodzie. Nigdy nie lubiła pływać, jednak teraz nie miała innego wyjścia.

– Bardziej gotowa nie będę – odparła.

W samolocie Keyes objadł się po uszy: brał od stewardes wszystko, co serwowały, a potem prosił o dokładki.

Do diabła z dietą. Wsunął do ust dużą krewetkę i zaczął ją z apetytem przeżuwać. Postanowił, że kiedy zakończy tę sprawę, weźmie się za siebie, ale na razie musiał działać na najwyższych obrotach. A trudno mówić o wysokich obrotach przy tysiącu pięciuset kaloriach.

Potem wyciągnął się na fotelu, próbując uspokoić myśli. Silniki gulfstreama IV-SP szumiały cicho. Mógł się odprężyć. Może nawet udałoby mu się zdrzemnąć.

Ledwie wylądował, sprawdził telefon komórkowy. Zapomniał w końcu o zapasowej baterii, ale nie miało to żadnego znaczenia: w Tercji i tak znalazł się poza zasięgiem swojej sieci. Telefon był bezużyteczny.

Z przyjemnością stwierdził, że Dietz osobiście się po niego pofatygował. Pojechali do miasta, kierując się prosto do portu. Dietz twierdził, że statek już przybył i pasażerowie najdalej za godzinę zejda z pokładu. Wszystko było pod kontrolą: przed końcem dnia ta kobieta – kimkolwiek jest – znajdzie się w ich rękach. Na liście pasażerów figurowała jako Victoria Ludlow, ale Dietz był przekonany, że to fałszywe nazwisko.

Keyes zupełnie inaczej go sobie wyobrażał. Dietz dobiegał sześćdziesiątki, był wysoki, korpulentny, miał szerokie szczęki i kwadratową czaszkę; przypominał mu Jamesa Caana, tego aktora. Najciekawsze w jego twarzy były oczy – szare, łagodne, nieśmiałe, ale znamionujące niespożytą energię. Gdyby nie one, Dietz nie wyglądałby na twardziela. Bardziej przypominał podstarzałego hipisa, łagodnego faceta, który trochę zboczył z pacyfistycznej ścieżki; taki Jimmy Caan, któremu życie dało parę razy w kość i który po paru bójkach w barach zaczął gdzie indziej szukać odpowiedzi na dręczące go pytania.

Keyes przypomniał sobie jego głos, kiedy rozmawiali przez telefon, tę ironiczną nutę, która tak go drażniła. Może ktoś kiedyś paskudnie oszukał Dietza, zdradził; może to dlatego wydawał się na pozór spokojny, chociaż w rzeczywistości

był skwaszony i cyniczny. Coś w nim pękło.

Z pewnością nie był jednak niewiniątkiem. Niewiniątko nie trafiłoby na listę współpracowników Rogera Forda.

Dietz wyjaśnił też, że Leonard czeka w porcie na wypadek, gdyby kobieta wcześniej zeszła na ląd. Pasażerów po zejściu z pokładu czekała kontrola dokumentów, a potem, jeśli wierzyć informacjom Dietza, transport pod eskortą policji do hotelu Hyatt. Tam przesłuchają ich agenci FBI, którzy mieli zarezerwowane dwa apartamenty na ostatnim piętrze. Należało przejąć kobietę, zanim trafi w ręce FBI, przed przewiezieniem do hotelu. W wypadku Turków wystarczyło posmarować komu trzeba i sprawa będzie załatwiona.

Keyes słuchał uważnie. Obecność FBI mogła przysporzyć mu kłopotów; źle by się stało, gdyby Ich ludzie zaczęli węszyć wokół ADS. Musiałby znów pociągnąć za sznurki, żeby powstrzymać śledztwo, zanim zajdzie za daleko. Ale tym postanowił zająć się później – kiedy przejmą i wypytają kobietę. Kiedy wszystkiego się dowie.

Zbliżali się do miasta. Zapadał zmierzch.

Mimo że Keyes tyle zjadł w samolocie, znów był głodny.

Żuraw na bakburcie „Aurory II”, po przeciwnej stronie przystawionego do sterburty trapu, pozwalał – zależnie od okoliczności i miejsca pobytu statku – opuszczać i podnosić pontony, łodzie z zaopatrzeniem i szalupy ratunkowe. Hannah pomyślała, że pewnie pierwszy raz zostanie użyty do transportu ludzkiego ładunku.

Ze strachem przyglądała się, jak Yildirim luzuje stalową linkę, metr po metrze, żeby zgrzyt przekładni nie zwrócił niczyjej uwagi. Była przekonana, że lada chwila ktoś wejdzie na pokład i ich nakryje, chociaż Yildirim zapewniał ją, że nie ma powodów do obaw. Sprawdzenie wyposażenia statku po zakończeniu rejsu należało do jego obowiązków.

Jednak Hannah nie mogła się uspokoić. Serce biło jej mocno, na twarzy miała wypieki, była cała roztrzęsiona. Pierwszy raz od niepamiętnych czasów marzyła o papierosie.

Yildirim wychylił się za burtę, sprawdził, ile liny odwinęło się z bębna, popuścił jeszcze trochę i wyprostował się. Skinął głową. Hannah niepewnie podeszła do niego. W oddali promy i liniowce sunęły w ciemnościach po wodach Bosforu.

Wyjrzała przez reling i serce jej zamarło. Wysokość nie była zbyt wielka – nawet gdyby nie utrzymała się na linie, spadłaby zaledwie z pięciu, sześciu metrów – ale brudna woda wyglądała na paskudnie zimną. Hannah z zasady unikała chlorowanych basenów, a teraz miała się zanurzyć w takim ścieku...

Z trudem przełknęła ślinę.

Zacisnęła ręce na tłustej od smaru linie – później nie będzie mogła ich domyc – Yildirim pomógł jej przełożyć nogę nad burtą. Miała na sobie tylko szorty i kusy top. Torebkę, zapakowaną w znaleziony w kabinie foliowy worek na pranie, przewiesiła sobie na piersi. Tylko czy folia wystarczy? W torebce miała pieniądze, czeki podróżne, paszport, biżuterię i suche ubranie, a także kilka drobiazgów, które już wcześniej do niej wrzuciła: *Kroniki*... pigułki, kosmetyczkę... Gdyby straciła torebkę, straciłaby wszystko.

Zanim przełożyła drugą nogę nad burtą, obejrzała się przez ramię. Na brzegu zbierało się coraz więcej ludzi. Będzie musiała wziąć głęboki wdech i z piętnaście metrów przepłynąć pod wodą, żeby jej nie zauważyli. Spojrzała na koniec nabrzeża, za plecami tłumu, za dźwigi i białe plamy światła z okien komory celnej: jeżeli tam dopłynie, będzie bezpieczna, ale na pewno nie zrobi tego na jednym wdechu. Będzie musiała się po drodze wynurzyć. Mogła tylko mieć nadzieję, że akurat w tym momencie nikt nie spojrzy w tamtym kierunku.

Przez kilka długich sekund stała jak skamieniała okrakiem nad relingiem, ściskając w dłoniach linę żurawia.

W końcu Yildirim musiał ją ponaglić.

Wzięła głęboki wdech i zawisła na linie.

Keyes i Dietz z komory celnej obserwowali statek, z którego schodzili wycieczkowicze. U dołu trapy dwóch urzędników sprawdzało dokumenty i kierowało ludzi do innej części budynku. W głębi, za „Aurorą II”, wody Bosforu mieniły się przyćmionym blaskiem.

Keyes odwrócił się i spojrzał tam, gdzie stał Leonard, bawiąc się kluczykami od samochodu. Gdy tylko kobieta zejdzie po trapie, jeden z celników miał ją skierować prosto do tego pomieszczenia. Wtedy Keyes, Dietz i Leonard wyprowadzają tylnym wyjściem do samochodu. Miejscowe służby graniczne nie będą interweniować – Keyes pomyślał z rozbawieniem, że ich bezczynność kosztowała dwieście dolarów. Projekt miał astronomiczny budżet, a na najważniejszą część operacji wystarczyło aż nadto dwieście dolarów. Uśmiechnął się lekko.

Za chwilę przechwycą kobietę, a on wróci sobie do domu i zajmie się ważniejszymi sprawami. Wyjrzał przez okno. Pasażerowie powoli, gęsiego posuwali się do przodu. Keyes spochmurniał. Gość mu się tu nie podobało.

Nie. Wszystko jest pod kontrolą.

Ale złe przecucie nie dawało mu spokoju. Ta kobieta nie była przecież amatorką, nie przez przypadek dotarła tak daleko. Więc tym bardziej nie podda im się bez walki. Ale jak miałyby walczyć? Nie miała dokąd pójść.

Nagle zaczął żałować, że nie widzi drugiej strony statku. Przez chwilę wahał się, a potem odwrócił się do Dietza.

– Czekajcie tu na mnie – powiedział i wyszedł.

Wszystkie porty na świecie są niby takie same, ale zawsze czymś się różnią.

W Stambule niezbyt mocno śmierdziało rybami, z czego Keyes bardzo się cieszył. W dzieciństwie tyle czasu spędził w cuchnących rybami dokach Nowej Anglii, że wystarczy mu do końca życia. Nie brakowało za to rejwachu, chłodu (w portach potrafi być zimno nawet w najcieplejszy wieczór) i śliskiego betonu.

Skręcił w stronę rufy statku. Zorientował się, że jeśli nawet przejdzie do końca nabrzeża, nie uda mu się zobaczyć drugiej burty „Aurory II”. Chciał się przekonać, dokąd mogła uciec poszukiwana, jeśli rzeczywiście zeszła z pokładu na drugą stronę.

Skąd mu w ogóle przyszedł do głowy taki pomysł? Nie miał pojęcia, ale na pewno nie było w tym cienia logiki. Nie zaszkodzi jednak, jeśli przespaceruje się po nabrzeżu i trochę rozejrzy. Tak na wszelki wypadek.

Z miasta dobiegał czyjś śpiew: wysokie, płaczliwe zawodzenie, które przyprawiało go o gęsią skórkę.

Przeszedł jakieś dziesięć metrów i obejrzał się przez ramię: widział płataninę kratownic dźwigów i tłumek pasażerów, pomalutku schodzących po trapie. Sam statek wydał się zdumiewająco mały, chociaż tak niedaleko od niego odszedł. Z prawej strony miał Bosfor, lekko wzburzony wieczorną bryzą, a z lewej, za zabudowaniami portu, rozciągało się miasto.

Nie było sensu za bardzo się oddalać. Kiedy złapie tę kobietę, trzeba będzie działać szybko; nie chciałby, żeby Dietz i Leonard musieli go tu zostawić.

Mimo to poszedł dalej.

Nabrzeże było ogrodzone siatką, pod którą siedziało kilka osób, chyba sami mężczyźni. Siedzieli, palili papierosy i pili. Włóczędzy albo robotnicy, którzy zrobili sobie przerwę – w każdym razie nie miał ochoty się z nimi zadawać. Postanowił

zawrócić.

Zatrzymał się i przetarł oczy. Tym razem instynkt go zawiódł: poza paroma bezdomnymi nie było tu nic ciekawego.

Kiedy odjął rękę od oczu, zobaczył kobietę.

Musiała znajdować się przy samej siatce. Wyglądała jak mokry szczur, przycupnięta, chuda, ociekająca wodą. Błyszczący ślad znaczył jej drogę od brzegu Bosforu do ogrodzenia.

Keyes zamrugnął. Kobieta szła prosto w stronę włóczęgów czy kim tam byli ci faceci. Coś powiedziała, odpowiedział jej cichy śmiech. Kobieta schyliła się, przypadła do ziemi tak, że wyglądała jak cień, i prześliznęła się przez dziurę w ogrodzeniu.

Czyżby wyobraźnia spletała mu figła? Nie. Znów ją zobaczył, tym razem po drugiej stronie ogrodzenia. Wyprostowała się. Trzymała coś w ręce. Formułę Epsteina?

Chwilę się wahał, a potem ruszył w jej stronę.

ROZDZIAŁ 12

Hannah była przemarznięta.

Przechodząc przez siatkę, skaleczyła się w rękę, i teraz, idąc szybko przez pusty parking, przyciskała ją do ciała. Kierowała się do wylotu uliczki, która zapewne prowadziła w głąb, miasta. Na skaleczonej ręce widniała krwawa rysa. Zanosilo się na to, że obok starych pojawiają się nowe blizny. Jej ciało będzie jak płótno malarskie, które opowiada historię właściciela tęczą sińców i skaz. Trzydzieści lat brylowania na salonach, okładów z alg i masażu raczej nie przygotowało jej skóry na trudy prawdziwego życia. Teraz jej ciało zostało brutalnie wyrwane z marazmu.

W zaułku odważyła się wreszcie wyprostować. Zerwała folię z torebki. Ręce jej się trzęsły, ale próbowała opanować drżenie. Chciała jak najszybciej się przebrać, zmienić mokre ubranie, korzystając z tej ciemnej, pustej uliczki – przechodnie mijali wprawdzie jej wylot, ale chyba nie zaglądali w mrok. Wsiądzie do taksówki z mokrymi włosami, ale na to nie mogła już nic poradzić.

Woda w Bosforze była oleista; Hannah czuła, jak wciąż ją oblepia, czuła jej odór. Wyjęła z torebki perfumy. Ściskając flakonik w trzęsącej się ręce, uperfumowała się za uchem, u nasady szyi, na nadgarstku. Sięgnęła po suche ubranie...

Nagle instynkt kazał jej się obejrzeć.

Jakiś człowiek biegł przez parking prosto w jej stronę.

Strach zdławił ją w niedźwiedzim uścisku. Już nie czuła zimna.

Keyes podniósł telefon do ucha i dopiero wtedy przypomniał sobie, że aparat nie działa.

Zaklął i wepchnął go z powrotem do kieszeni. Tyle przygotowań – ogromne środki, rzesze ludzi, feng shui, telefony działające w paśmie 900 MHz i technologii rozproszonego widma – wszystko zdało się psu na budę.

Przez chwilę targały nim wątpliwości. Nie mógł skontaktować się ze swoimi ludźmi. Czy powinien sam śledzić tę kobietę? Czy lepiej wrócić i dać znać Dietzowi, co się stało?

Miał mało czasu. Kobieta zauważyła go i rzuciła się do ucieczki.

Ruszył w pościg.

Zniknęła, zanim dopadł do wylotu uliczki, ale mokry trop prowadził dalej chodnikiem. Keyes wyminął stertę cuchnących śmieci. W ich odorze wychwycił obcą nutę. Czy ta kobieta zatrzymała się w takim momencie tylko po to, żeby spryskać się perfumami? Nie mógł w to uwierzyć.

Kiedy wypadł na główną ulicę, uderzył go przede wszystkim nowoczesny charakter miasta. Nie spodziewał się tego. Piraci drogowi z rykiem klaksonów przedzierali się przez tłum pieszych, przechodzących ulicę we wszystkich możliwych miejscach. Kobiety miały nie tylko odsłonięte twarze, ale także ręce i nogi – i to znacznie powyżej kolan; prawdziwie wyzwolone muzułmanki. Sprzedawcy gorących precli płoszyli gołębie, wlokąc za sobą obciążone wózki. Z prawej strony Keyes zobaczył Pizzę Hut, z lewej McDonalds'a.

Kobieta zniknęła. Nie, to niemożliwe. Spuścił wzrok w poszukiwaniu mokrego tropu, który wił się chodnikiem, i ruszył za nim, rozpychając się łokciami.

Jest! Żółta taksówka, w pół drogi do następnej przecznicy. Przez tylną szybę dostrzegł zarys kobiecej głowy. Samochód stał w korku:

Nagle korek drgnął i taksówka zaczęła się oddalać.

Keyes rozejrzał się w poszukiwaniu następnej. Od przyjazdu nie wymienił jeszcze żadnych pieniędzy. Miał tylko dolary. Kiedy jednak wypatrzył taksówkę, zamachał ręką, wskoczył na tylne siedzenie i powiedział:

– Za tamtą taksówką!

Czuł się jak dureń.

Kierowca spojrział na niego pytająco. Keyes wskazał odjeżdżający samochód.

– Za nim – powiedział. – Proszę.

Kierowca skinął głową i ostro ruszył z miejsca.

Nie włączył licznika, co znaczyło, że będzie próbował oszukać klienta.

Rozparty wygodnie na tylnej kanapie Keyes mimo woli wstrzymał oddech.

Na pierwszych światłach taksówka przed nimi skręciła w prawo. Pojechali za nią. Ulica zwęziła się, asfalt przeszedł w bruk, fast foody ustąpiły miejsca kafejkom i butikom w europejskim stylu. Kolejny zakręt – i w górze pojawiły się przeciągnięte nad ulicą sznury z suszącym się praniem. Przed samochodem wyrósł nagle mężczyzna w trzyczęściowym garniturze, a obok wózek zaprzężony w osiołka. Szokujące zestawienie. Kierowca zatrąbił, a kiedy wóz i człowiek w garniturze rozsunęli się na boki, wcisnął pedał gazu do oporu i przemknął pomiędzy nimi.

Przez dobrą minutę gnali na złamanie karku. W tej okolicy spotykało się mniej samochodów, więcej za to było wózków. Ulice stawały się coraz węższe, domy coraz starsze. Nagle jadąca przed nimi taksówka zatrzymała się, żeby przepuścić wychodzącą z bramy grupkę Japończyków. Dotarli do Kapali Cars, i słynnego Starego Bazaru.

Nagle kobieta wysiadła, przemknęła obok Japończyków i zniknęła w tłumie. Keyes z rozmachem otworzył drzwi, nie zwracając uwagi na krzyki taksówkarza. No i kto kogo oszukał tym razem?

Na głównej uliczce Starego Bazaru Hannah poczuła się tak, jakby cofnęła się w czasie. W powietrzu unosił się zapach kadzidła, potu, oleju, pieczonej jagnięciny i środków do polerowania mosiądzu zmieszany z wonią spalin i precli. Turcy mieli na głowach turbany, Turczynki kwefy. Nie przypominali nowoczesnie ubranych mieszkańców miasta, których Hannah widziała na ulicach. Poza nimi tłum składał się z Kurdów, Żydów, Greków, Ormian, Japończyków, Amerykanów, Niemców i Francuzów. W wyłożonej drewnem hali można było kupić srebro, złoto, bursztyny, skóry, dywany, platynę, jedwab, samowary, wypchane kobry, zabytkową broń. Sprzedawcy na wyścigi zachwalali swoje towary:

– Najprawdziwsza broń z Imperium Ottomańskiego! Szable i sztylety w okładanych macicą perłową pochwach! Kopie pięknych rewolwerów!
– Ręcznie kute srebrne tace do herbaty! Delikatny jedwab i inne materiały, poduszki, suknie, czadory, kwefy, pamiątki! Prawdziwa okazja!
– Miedź i mosiądz! Ręcznie kute dzbanki! Ceramika! Srebro najwyższej próby! Kilimy! Dywany!

Hannah zagłębiła się w tłum, oglądając się przez ramię. Co to za człowiek ją gonił? Agent FBI? Szeryf federalny? A może po prostu jakiś nadgorliwy tutejszy celnik? Gromada kupujących przesłaniała drzwi prowadzące na ulicę, ale wydawało jej się, że mignął jej w tej ciżbie. Nie zgubiła go.

W każdej alejce bazaru sprzedawano inne towary. Dała się porwać tłumowi turystów i miejscowych, nie panowała nad tym, dokąd ją poniesie – mijała przecznice, gdzie handlowało się srebrem, turkusami, dywanami. Najważniejsze pytanie brzmiało: czy każda boczna alejka prowadzi do osobnego wyjścia, czy też wszystkie kończą się ślepo? Naturalnie mogła to sprawdzić tylko w jeden sposób, ale gdyby ten mężczyzna poszedł za nią, a ona zabrnęłaby w ślepą uliczkę...

W każdym razie jest to jakaś szansa.

Skręciła ostro w prawo, omal nie przewróciła chłopca z tacą aromatycznej jabłkowej herbaty i uskokczyła przed człowiekiem niosącym na głowie stos dywanów. Przez chwilę zastanawiała się, czyby nie skręcić w alejkę instrumentów muzycznych; dostrzegła wąskie tureckie skrzypce – kemence i cylindryczną zurnę. Wybrała jednak mniej zatłoczone przejście po drugiej stronie.

Znalazła się w królestwie mosiądzu – były tu mosiężne szachownice z figurami wzorowanymi na *Władcy Pierścieni* i mosiężne fajki wodne, w których żarzył się aromatyczny tytoń. Przez moment miała ochotę zatrzymać się i coś kupić. Właściwie mogłaby przystanąć i zacząć się targować; wtopiłaby się w tłum i depczący jej po piętach intruz nawet by jej nie zauważył. Na zakupach czuła się przecież jak ryba w wodzie. To był jej żywioł.

Podeszła do straganu z jedwabiami i ów pomysł przestał jej się wydawać tak zupełnie absurdalny. Widziała wiszące w rzędach kwefy, suknie, czadory i, obok nich, neonowe reklamy coca-coli, budweisera i marlboro. Mogłaby założyć kwef i widać by jej było tylko oczy.

Kramarz wyszedł jej na spotkanie.

– *Francaisei* – zapytał.

Zdołała się uśmiechnąć w odpowiedzi.

– *Non, Americaine.*

– *Mais vouparlez bienfrançais.*

Ten wyuczony tekst z pewnością zachwycał wszystkie gospodynie domowe ze środkowego zachodu. Nie przestając się uśmiechać, Hannah dotknęła jednej z jedwabnych chust.

– Ile? – zapytała.

– *Kac lira?* Dolary?

– Dolary.

Turyści przepychali się za jej plecami, szturchając ją łokciami. Ścisnęła mocniej torebkę i nie spuszczała wzroku ze sprzedawcy. Jeżeli jej prześladowca widział, gdzie skręciła, i poszedł za nią, musiał być blisko.

– Dla pani... Dwadzieścia dolarów.

– A z czymś takim... – Wskazała ręką długie suknie. Jak oni je tu nazywają? – Ile razem?

– To mój najlepszy towar. Sto dolarów, ale dla pani... Osiemdziesiąt, razem z jaszlakiem. I to tylko dlatego, że mi się pani podoba.

– Mogę przymierzyć?

Kramarz wyszczerzył w uśmiechu poczerwiałe zęby. Zdjął z wieszaka kwef i sukienkę. Pozwoliła mu sobie pomóc założyć jedwabną szatkę, przekładając torebkę z prawej ręki do lewej. Na pewno zauważył, że jest przemoczona; wcześniej musiał zresztą zwrócić uwagę na jej mokre włosy. Skomentuje to jakoś?

Nie skomentował. Na pewno widywał już dziwniejsze rzeczy, częściej stykając się z amerykańskimi turystami na wakacjach w Stambule.

– Bardzo ładnie – stwierdził, drapując jej kwef na głowie. – Jakby dla pani uszyte.

– Naprawdę?

Znów ktoś ją minął, szturchnął w rękę, w której trzymała torebkę. Udała, że nic nie zauważyła.

– Naprawdę. Jeszcze pani spuszcze z ceny: siedemdziesiąt pięć dolarów.

– Ma pan lustroko?

Szerokim gestem zaprosił ją do wnętrza kramu, gdzie na tylnej ścianie wisiało duże lustro. Podeszła bliżej, otulając twarz zasłoną. Udawała, że podziwia swoje odbicie, ale w rzeczywistości spozrzała na uliczkę za plecami.

I zobaczyła człowieka, który ją śledził.

Czy to możliwe, żeby się pomylił?

Przysiągłby, że widział tę kobietę, jak znika w tym zaułku, kończącym się murem z kratą. Ale nigdzie jej nie było widać.

Uliczki bazaru tworzyły istny labirynt. Może powinien się cofnąć do wejścia i poczekać, aż kobieta będzie wychodziła? Tyle że mogła znaleźć inne wyjście. Gdyby ten przeklęty telefon działał, wezwałby posiłki, a tak był sam.

Ze wszystkich stron Turcy zachwalali swoje towary. Jakiś otyły Amerykanin targował się z jednym z nich.

– Ale gdzie ja postawię taką lampę? – zapytał z powątpiewaniem. Przy sąsiednim kramie kobieta przeglądała się w lustrze, mierząc miejscowy strój.

Keyes potarł skroń. Gdyby dłużej pospał w samolocie, lepiej by mu się teraz myślało.

– A jakie to ma znaczenie przy takiej cenie? – zapytał kupiec Amerykanina.

Keyes zawrócił w stronę głównej alei bazaru. Doszedł do wniosku, że kobieta, którą ściga, wcale nie skręciła tutaj, i cały ten pościg to idiotyzm. Szukanie igły w stogu siana.

A jednak przecucie nie dawało mu spokoju, jakby ktoś natarczywie mu się przyglądał. Coś przeoczył, tylko co? Kobieta faktycznie tu skręciła, wzrok go nie mylił. Potem po prostu...

Kupiła sobie przebranie.

Odwrócił się.

Pięć metrów od niego turystka przed lustrem właśnie sięgała do torebki po portfel.

– Siedemdziesiąt pięć dolarów – powtórzyła Hannah.

To był rozbój w biały dzień. Sprzedawca na pewno oczekiwał, że klientka zacznie się targować, ale Hannah nie miała czasu na zabawę. Sięgnęła do torebki.

Portfel zniknął.

Oblizała nerwowo wargi. Książka była na swoim miejscu, paszport i ubranie też. Portfel zniknął. Wtedy, kiedy ją ktoś potrafił; to nie był przechodzień, lecz kieszonkowiec.

Podniosła wzrok na kramana i uśmiechnęła się niepewnie.

– O rany... Obawiam się, że...

Ktoś złapał ją mocno za rękę.

To był ten człowiek z portu. Ścisnął ją tak mocno, iż bała się, że zostaną jej siniaki, ale chyba nie bardzo wiedział, co dalej zrobić. Jak zareaguje sprzedawca, jeśli się odciągnie mu klientkę? Zawahał się. Trzymał ją prawą ręką, lewą uniósł jak do uderzenia.

Hannah miała okazję mu się przyjrzeć: facet pod pięćdziesiątkę, z lekkim brzuszkiem, wyraziste rysy. Miał na sobie czarne spodnie i białą koszulę z plamami potu pod pachami. Nie tak wyobrażała sobie agentów rządowych; bardziej wyglądał na urzędnika, biurokrata. Kim zatem był i czego tu szukał? Dlaczego ją dręczył?

Sprzedawca obserwował nerwowo całe zajście. Hannah złapała swojego prześladowcę za rękę, odwróciła się do kramarza i spokojnie oznajmiła:

– Ten człowiek ukradł mi portfel.

Sprzedawca odwrócił wzrok.

Za to z tłumu wynurzył się następny mężczyzna – otyły Amerykanin, który przed chwilą targował się o lampę.

– Może puściłby pan tę panią?

Biurokrata znieruchomiał.

– Ten człowiek ukradł mi portfel – powtórzyła głośniej Hannah.

– Słuchaj, stary, puść ją. Słyszysz, co mówię?

Następna grupa ludzi kierowała się w ich stronę, zwabiona zamieszaniem: młodzi, nastoletni Europejczycy.

– Jest jakiś problem? – zapytał jeden z nich.

– Wszystko pod kontrolą – uspokoił ich Amerykanin. – Gdyby ten dżentelmen był łaskaw puścić tę panią...

Biurokrata puścił rękę Hannah, ale tym razem ona go przytrzymała.

– Ukradł mi portfel. Śledził mnie.

Nastolatki otoczyły ich kręgiem. Biurokrata pokręcił głową.

– To uciekiniarka – wykrztusił wreszcie. – Trzeba ją...

– Masz jej portfel, brachu?

– Nie. Jestem przedstawicielem...

– Pokaż no, co tam masz w kieszeniach.

Hannah puściła intruza i cofnęła się o krok. Sprzedawca patrzył na nią, nie zapłaciła mu jeszcze. Kiedy zdała sobie sprawę, czemu jej się tak przygląda, ściągnęła kwef i oddała mu go. Zaczęła zdejmować sukienkę.

Zapędzony w kozi róg biurokrata wodził niepewnie oczami po nastolatkach i Amerykaninie. Przeniósł wzrok na Hannah i przez ułamek sekundy jego oczy zapłonęły ze złości.

Ściągnęła sukienkę i oddała właścicielowi.

– Nie oglądaj się na nią – mówił tymczasem Amerykanin. – Spójrz na mnie. Pokaż, co masz w kieszeniach.

– Proszę pana, pan chyba nie...

– Trzeci raz nie poproszę.

Nagle twarz biurokraty złagodniała.

– Proszę pana – powiedział ugodowym tonem – wiem, jak to musi wyglądać. Proszę mi jednak wierzyć, że nie zna pan wszystkich...

Hannah wymknęła się z kręgu nastolatków.

Biurokrata rzucił się za nią, ale obserwatorzy go powstrzymali. Amerykanin położył mu rękę na ramieniu.

– Ostrzegałem cię...

Minęła mosiężnego *Władcę Pierścieni*, fajki wodne i wpadła na główną alejkę.

Minęło ją trzech policjantów w granatowych mundurach z naszywkami „emniyet”. Pobiegli w uliczkę, z której przysła. Dobiegający z niej tumult narastał.

A potem tłum porwał Hannah jak woda patyk i poniósł do wyjścia.

ROZDZIAŁ 13

Odkąd Dietz pamiętał, jego oczy zawsze zwracały powszechną uwagę.

Jego matka (Panie, świeć nad jej duszą) dumna była z ich niezwykłego błysku; koledzy w szkole podziwiali ich niezwykły szary odcień; agenci, których werbował w Nowym Jorku, najpierw zauważali ich ruchliwość, potem zaś, z biegiem czasu, niesamowitą głębię. Nieraz słyszał, że są jak studnie bez dna.

Od czasów Nowego Jorku znacznie się zmieniły.

Nie były już takie jak dawniej: kiedy ktoś się w nie zapatrzył, kierowały go w inną stronę, jak zwierciadła nr gabinecie luster. Dalej ciągnęła się bezdenne głębia. Pewnie dlatego widział tak wiele *rzeczy*, które umykały uwadze innych ludzi. Z czasem nauczył się maskować; nauczył się nie wpuszczać intruzów i pilnować swoich tajemnic.

A miał wiele tajemnic.

Wodząc wzrokiem po nabrzeżu, widział wiele rzeczy.

Zobaczył na przykład, że pokrzyżowało im plany. Od wyjścia Keyesa minęło zaledwie sześć minut, ale Dietz już wiedział, że nie należy prędko spodziewać się go z powrotem – Kobieta wykonała jakiś nieprzewidziany ruch i pociągnęła Keyesa za sobą. Nie mogła działać sama.

Zobaczył coś jeszcze – twarz szefa ochrony „Aurory II”, Turka o nazwisku Yildirim. Yildirim miał sensne spojrzenie, ale coś ukrywał. Był ostrożny i skryty.

To było tylko przeczucie, ale przez lata Dietz nauczył się ufać instynktowi.

Nie zdradzając się ze swoimi podejrzeniami, zza szyby obserwował spokojnie Yildirima.

Odprawa zajęła dwie i pół godziny, zanim ostatni pasażer wsiadł do samochodu i odjechał do hotelu. Celnicy dyskutowali nad dokumentami, zapewne szukając brakującej pasażerki, Victorii Ludlow. Leonard kręcił się w pobliżu, udając pracownika urzędu i próbując coś podsłuchać.

Yildirim, szef ochrony, rozmawiał z celnikami. Wzruszył ramionami. Z pozoru był zły, zmęczony i zdenerwowany, ale widać było, że coś ukrywa i chciałby jak najszybciej się stąd wyrwać.

Dietz bacznie mu się przyglądał.

Do pokoju wszedł Leonard.

– Gdzie ten Keyes polazł, do kurwy nędzy? – mruknął.

Dietz spojrział na niego. Lubił Leonarda. Bóg okrutnie sobie z niego zażartował, ale Dietz nigdy nie widział, żeby Leonard skarżył się na swój los. Przypominał mu ludzi, z jakimi stykał się w Agencji: konkretnych, zdecydowanych. Ostatnio coraz rzadziej spotykał takich ludzi, coraz więcej czasu spędzał samotnie – ukrywał się na farmie, użalając się nad samym sobą.

– Co za burdel! Co teraz mamy robić?

– Czekaj tu – odparł po chwili namysłu Dietz. – Keyes może się jeszcze pojawić.

– A ty?

– Wróć. Miej oczy szeroko otwarte. Mogła się schować na statku, żeby wymknąć się w nocy.

Leonard spojrział na niego tak, jakby chciał jeszcze o coś zapytać, ale ugryzł się w język. Dietz pomyślał, że rozsądnego człowieka poznaje się po tym, iż wie, kiedy pytać, a kiedy trzymać buzię na kłódkę. W tym przypadku Leonard powstrzymując się od zadania pytania, ocalił sobie życie. Bo gdyby stanął Dietzowi na drodze, zapłaciłby najwyższą cenę.

Yildirim wciąż dyskutował z celnikami, ale rozmowa chyba pomału dobiegała końca. Dietz sięgnął do skórzanej torby, z którą nigdy się nie rozstawał. Nie wsunął ręki do schowka z fałszywymi paszportami i prawami jazdy, wysławionymi na kilka różnych osób – mężczyzn i kobiet – tylko namacał portfel, pistolet, tłumik. Nie spuszczał wzroku z Turka.

Yildirim przeszedł przez komorę celną ze wzrokiem utkwionym w podłogę. Minął Dietza i Leonarda i skierował się prosto do tylnego wyjścia.

Dystans dzielący części starą i nową Sztambułu jest znacznie większy niż stosunkowo niewielka szerokość dzielącej je cieśniny.

Po europejskiej stronie Bosforu leży Stare Miasto, zatopione w tradycji i historii. Po stronie azjatyckiej – paradoksalnie – znajdują się nowoczesne, zeuropeizowane przedmieścia. Za oknami taksówki przesuwały się fast foody, eleganckie restauracje, wykwintne sklepy. Dietz wypatrzył nawet salon samochodowy i centrum handlowe. Potem budynki się zmniejszyły, ścieśniły, zbiedniały – nie było już tu miejsca dla salonów samochodowych i centrów handlowych.

Mijali rząd walących się drewnianych domów, ale Dietz nie odrywał teraz wzroku od jadącego przodem żółtego samochodu: właśnie zwolnił i skręcił w wąską przecnicę między dwoma niepozornymi budynkami. Dietz zaczął szukać w pamięci potrzebnych mu słów – długo już nie używał tego języka, ale znalazł:

– *Yavac gidin* – mruknął do kierowcy.

Pojechali dalej, mijając wylot bocznej ulicy. Dietz spojrział w bok: Yildirim wysiadł.

Sto metrów dalej Dietz kazał taksówkarzowi się zatrzymać, zapłacił za przejazd w dolarach i też wysiadł. Stanął na chodniku i przez chwilę zastanawiał się, co robić dalej.

O ile przecucie faktycznie go nie myliło, Yildirim zaprowadzi go prosto do poszukiwanej kobiety. Nie będzie musiał robić krzywdy Leonardowi ani Keyesowi. Zlikwidowanie ich groziłoby otwarciem prawdziwej puszkii Pandory, a tego za wszelką cenę chciał uniknąć.

Musiał też przyznać, że nie po raz pierwszy dopisuje mu ostatnio szczęście. Gdyby Keyes nie wybrał go do tego zlecenia, fantastyczna okazja przeszłaby mu koło nosa. Straciłby następny rok, pięć lat, dziesięć – siedząc na farmie i licząc na łut szczęścia, który pozwoli mu zbić fortunę i zrobić należyte wrażenie na Elizabeth Webster. Może nigdy by się jej nie doczekał.

Tymczasem Keyes zadzwonił właśnie do niego. Co więcej, zrobił to dyskretnie, poza oficjalnymi kanałami. Mniejsza o powody. Najważniejsze, że kiedy Dietz wykona swoje posunięcie, napotka tylko na opór ze strony zebranej na łapucapu ekipy Keyesa – a wszystko wskazywało na to, że poza Dietzem i Leonardem nikogo w niej nie ma. Dla człowieka z takim doświadczeniem jak Dietz Leonard nie stanowił przeszkody.

Noc była ciepła, wiał łagodny zefirek. Mimo że okolica nie należała do zamożnych, wyczuwało się tu atmosferę wspólnoty, szacunek dla ciężkiej, uczciwej pracy. Jest tak na całym świecie: im uboższa dzielnica, tym bardziej zadowoleni ludzie. Chociaż... Może to tylko iluzja? Może jest całkiem odwrotnie?

Spojrział w głąb ulicy, którą przyjechał. Dwoje dzieci na zmianę jeździło na

jednej deskorolce. Poza tym nikogo nie było. Nadeszła pora kolacji, czas odpoczynku dla tutejszych mieszkańców. Centrum miasta właśnie budziło się do nocnego życia, ale tutaj dzień dobiegał końca.

Dietz wyminął dzieci szerokim łukiem. Przystanął u wylotu przecznicy, w którą skręcił Yildirim, i rozejrzał się. Dzieciaki ze śmiechem oddalały się w przeciwnym kierunku. Wymizerowany kot usiadł przy błotniku wozu Yildirima i zastrzygł uchem, obserwując Dietza.

Chwilę przyglądał się kotu, a potem podszedł do samochodu i pociągnął za klamkę. Drzwi były otwarte. W środku znalazł puste opakowanie po papierosach, sfatygowany plan miasta, popielniczkę pełną niedopałków – i niewiele poza tym.

Wyprostował się i delikatnie zamknął drzwi. Dom po prawej stronie wyglądał na niezamieszany, nie paliły się w nim żadne światła. Dom po lewej miał zasłonięte okna, ale za białymi zasłonami widać było lampę. To do niego wszedł Yildirim.

Dietz wyjął z torby zmodyfikowanego smitha & wessona model 39 i tłumik, niewiele mniejszy od samego pistoletu. Kiedy umocował go na lufie broni, całość stała się trochę nieporęczna, ale niezbyt mu to przeszkadzało po latach praktyki. Trzydziestka dziewiątka smitha & wesson – znana jako „usypiacz psów”, dzięki wyjątkowej przydatności do usuwania psich strażników – należała do standardowego wyposażenia amerykańskich komandosów i Navy SEAL. Dietz trenował z nią na farmie w czasie wolnym od innych zajęć.

W uliczkę wjechał samochód. Dietz z bronią w rękę przylgnał do muru i zniknął w cieniu. Obserwował.

Taksówka. Z tyłu wysiadła jakaś kobieta i pochyliła się nad oknem od strony kierowcy. Zamienili dwa zdania i taksówka odjechała. Kobieta podeszła do domu. Była młoda i ładna, ale przemoczona, umorusana i śmiertelnie zmęczona.

Czyli instynkt jednak go nie zawiódł.

Patrzył, jak kobieta odgarnia włosy za ucho i puka do drzwi. Natężył słuch, ale wiatr nie pozwolił mu usłyszeć wypowiedzianych na progu słów.

Kobieta zniknęła we wnętrzu domu. Drzwi się za nią zamknęły.

Dietz obliznął wargi. Oddychał powoli i głęboko – sześć sekund na wdech, sześć na wydech – szykując się do akcji.

ROZDZIAŁ 14

Kierowca wyłączył licznik i odwrócił się do Hannah.

Starła się nie patrzeć mu w oczy. Pogrzebała chwilę w torebce i wyjęła zegarek, prezent od Franka. Cosmograph Daytona na pewno był sporo wart, chociaż kąpiel mogła mu poważnie zaszkodzić.

Podągała go taksówkarzowi.

– Okay?

Kierowca wziął zegarek do ręki, obejrzał, podniósł do ucha. Hannah wysiadła, przyciskając torebkę do piersi. Bierzesz go czy nie?

Taksówka odjechała. Kierowca zgodził się na taką zapłatę.

Sprawdziła numer domu na zardzewiałej skrzynce pocztowej: zgadzał się z adresem, który Yildirim kazał jej zapamiętać, ale czy Turek nadal zechce jej pomagać teraz, kiedy straciła portfel? Czy uwierzy, że wciąż jest wypłacalna?

Hannah czuła się fatalnie. Wilgoć z ubrania przenikała ją aż do kości; zadrapanie na ręku paskudnie się zaogniło. Wyglądała i czuła się jak zbity pies.

Zamknęła na chwilę oczy, odetchnęła głęboko i podeszła do drzwi. Odgarnęła

włosy za ucho i zapukała. Nic się nie stało.

– *Evet?* – rozległo się po chwili ze środka.

Hannah nerwowo oblizała wargi.

– Dobry wieczór...

Szczęknięty zamki. Drzwi otworzył szczupły Filipińczyk. Spojrzał podejrzliwie na Hannah, ale odsunął się na bok i wpuścił ją do środka.

Pierwsze pomieszczenie było zarazem kuchnią i salonem z telewizorem, w którym leciały akurat jakieś teledyski, z wysłużoną kanapą i niedużym stołem. Na dywanie przed telewizorem klęczała dwójka dzieci. Na lewo od wejścia, przy kuchence, stała kobieta. Pomiedzy zasłoniętymi oknami wisiały kaligrafowane napisy w ramkach. Uchylone drzwi prowadziły do drugiego pokoju, w którym – jak zdołała dostrzec – stały piętrowe łóżka. W mieszkaniu wielkości samej tylko garderoby w jej domu w Chicago gnieździło się czworo ludzi,

Yildirima nie było nigdzie widać. Dzieci patrzyły na nią ciekawie, a kobieta przy kuchence nawet się nie odwróciła. Mężczyzna, który otworzył drzwi, gestem wskazał jej kanapę. Hannah usiadła, nie wypuszczając torebki z raje.

Po chwili dzieci zaczęły cicho rozmawiać po turecku. Mężczyzna wyszedł do drugiego pokoju, kobieta zaś zestawiła jeden garnek z ognia i nastawiła drugi.

Przez dwie minuty Hannah siedziała nieruchomo. Znad kuchenki dolatywały ostre, egzotyczne zapachy. Z głodu burczało jej w brzuchu. Zastanawiała się, gdzie jest łazienka, w której mogłaby się umyć. Może w oddzielnym pomieszczeniu? Nie chciała jednak sprawiać kłopotów i ściągać na siebie uwagi. Mycie może poczekać.

Kiedy dotrze tu Yildirim? Chciałaby już siedzieć w samolocie, wracać do Stanów. Niech się dzieje co chce: była gotowa wrócić do domu.

Wyjęła z torebki puderniczkę i przejrzała się w lusterku. Nie zdziwiła się szczególnie, widząc, jak koszmarnie wygląda: przetłuszczone, zmierzwione włosy, podpuchnięte oczy, rozsmazany makijaż. Wyjęła chusteczkę i wytarła twarz. Znalazła też szminkę i zaczęła sobie malować usta.

Nagle zorientowała się, że dzieci klęczą przed nią, nie przed telewizorem. Ze zdumieniem stwierdziła, że są to dwie dziewczynki o ostrzyżonych najeża włosach. Gapiły się na nią wielkimi, ciemnymi oczami. Hannah spojrzała na nie podejrzliwie. Chwilę później jedna z nich wyciągnęła rękę po puderniczkę. Hannah spojrzała na kobietę przy garnkach, oczekując, że zwróci ona uwagę dziecku. Jednak nie należało się spodziewać pomocy z jej strony. Hannah pozwoliła dziewczynce wziąć puderniczkę. Drugie dziecko sięgnęło po szminkę.

Kobieta odwróciła się w ich stronę, ale nic nie powiedziała i po chwili znów zajęła się gotowaniem.

Hannah opadła na oparcie kanapy. Dzieci bawiły się w najlepsze, a ona nagle poczuła się śmiertelnie zmęczona. Jeszcze chwila i zaśnie...

Pokręciła głową i usiadła prosto. Zaraz przyjedzie Yildirim. Nie ma czasu na odpoczynek.

Dziewczynki śmiały się głośno. Wymieniły się swoimi skarbami i jedna z nich właśnie malowała sobie usta. Hannah uśmiechnęła się lekko. Wyjęła z torebki nożyczki do paznokci i z nudów zaczęła sobie przycinać skórki.

Leonard nawiązał znajomość z jedną z pokojówek – pulchną, pogodną kobietą, która chętnie spacerowała z nim po nabrzeżu, chociaż zrobiło się już późno i wszyscy pasażerowie „Aurory II” dawno zniknęli.

Keyes, który obserwował ich z okna komory celnej, zastanawiał się, czy kobieta bierze Leonarda za chłopca. Może to dlatego tak chętnie odpowiadała na jego pytania. Ciekawe, czy sam by uwierzył, że Leonard jest dzieckiem, gdyby nie znał

prawdy. Nie umiał tego powiedzieć – kiedy zna się prawdę, trudno o niej zapomnieć.

Westchnął ciężko. Sprawy paskudnie się skomplikowały i czas uciekał. Keyes stracił na posterunku policji dwie bezcenne godziny, zanim zorientował się, kogo powinien przekupić. W porcie okazało się, że zarówno Dietz, jak i kobieta zniknęli.

A Leonard gawędził sobie z pokojówką, jakby nie wiedział, że czas ucieka.

Keyes zerknął na zegarek.

Wreszcie Leonard i pokojówka rozstali się, cali w skowronkach. Kiedy jednak Leonard stanął przed Keyesem, nagle spowaźniał.

– Nazywa się Yildirim – powiedział półgłosem. – Jest szefem ochrony na statku.

Miał na myśli człowieka, za którym poszedł Dietz. Keyes chrząknął pytająco.

– Cathy mówi...

– Kto?

– Cathy. Pokojówka.

– Aha.

– Mówi, że Yildirim przyjaźni się z pokojówką o nazwisku Bascara. Zawsze kiedy przyplływają, wpada do niej i je kolację z jej rodziną.

– Dom pokojówki – mruknął Keyes.

Leonard znów się uśmiechnął.

– Znam adres – dodał.

Później, cofając się pamięcią do tych chwil, Hannah mogła szczegółowo odtworzyć wydarzenia, które zaszły w małym domku na zachodnim przedmieściu Stambułu, ale wtedy, gdy rozgrywały się na jej oczach, wydawały się jej kompletnie niezrozumiałe.

Siedziała na kanapie z nożyczkami w rękach. Obserwowała Yildirima, który przed chwilą wyszedł z drugiego pokoju (wyglądało na to, że przyjechał wcześniej od niej i siedział tam przez cały ten czas), ale ograniczył się do przywitania jej krótkim skinieniem głowy. Stał przy kuchence i prawił komplementy tamtej kobiecie, która chichotała radośnie. Hannah zaskoczył ten widok; nie podejrzewałaby go o taką serdeczność – tym bardziej że do niej samej odniósł się nad wyraz chłodno.

Na ułamek sekundy przed tym, jak wszystko straciło sens, sytuacja wyglądała tak: Yildirim z kucharką przy kuchence, Hannah na kanapie, dzieci znów przed telewizorem (ze swymi skarbami w rękach), a ich ojciec gdzieś w drugim pokoju.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Yildirim przestał zabawiać kucharkę i zerknął na Hannah, która wyprostowała się czujnie. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, a potem Turek mruknął coś półgłosem. Filipinka zgarnęła dzieci i zagoniła je do drugiego pokoju.

Yildirim sprawdził pistolet, który nagle nie wiadomo jak pojawił się w jego ręce.

Hannah chciała wstać, ale dał jej znak, żeby została na miejscu. Podszedł do drzwi, trzymając pistolet w opuszczonej ręce. I wtedy sprawy przybrały nierzeczywisty, absurdalny obrót. Tak przynajmniej się wtedy Hannah zdawało.

Yildirim zachwiał się na nogach. W jego plecach pojawiła się maleńka dziurka. Hannah zobaczyła ją, nie wierząc własnym oczom. To było bez sensu: drzwi się jeszcze nie otworzyły, więc skąd ten otworek? Bezskutecznie szukała jakiegoś wyjaśnienia. Może Yildirim trzymał w kieszeni mysz, która wyskoczyła sobie tędy?

Yildirim stęknął i zwałił się ciężko na podłogę. Hannah stwierdziła, że w drzwiach też ziele otwór. Druga mysz?

Nagle całe drzwi zniknęły.

Zerwała się w panice z kanapy, ale natychmiast zamarła bez ruchu. Do pokoju

wszedł mężczyzna, celujący do niej z jakiegoś błyszczącego przedmiotu. Był potężny – wręcz ogromny – wysoki i szeroki w ramionach, a poruszał się przy tym z niezwykłą gracją.

Przeszedł miękko przez pokój, mierząc do niej ze srebrzystej broni, i zajrzał do drugiego pokoju. Szepnął coś cicho, łagodnie, jakby znał mieszkańców. Na pewno ich znał – przecież dobił z nimi targu. Yildirim i Hannah zostali zdradzeni. Intruz – kimkolwiek był – uprzedził ich. Szepnął coś do zebranych w drugim pokoju Filipińczyków...

Ale szept nie dobył się z jego ust, lecz ze srebrnego przedmiotu, który przełożył do drugiej ręki...

W każdym razie przekonał w ten sposób mieszkańców, że powinni siedzieć cicho. Kiedy intruz odwrócił się w jej stronę, Hannah wiedziała już, że Filipińczycy nie będą się wtrącać. Dopiero wiele dni później zdała sobie sprawę, co naprawdę zaszło w ciągu tych pięciu sekund.

Mężczyzna podszedł do niej i machnął trzymanym w ręce przedmiotem. Poleciała na kanapę, czując piekący ból w okolicy prawej skroni. Odruchowo zamrugła powiekami, kiedy krew zalała jej oko, i nagle poczuła na sobie dotyk obcych rąk. Mężczyzna obszukał ją – czuła jego palce przez delikatny materiał topu – i sięgnął po torebkę. Zaczął w niej grzebać, rzucając rzeczy na prawo i lewo.

Spojrzała w stronę drzwi, a raczej miejsca, w którym kiedyś się znajdowały. Za nimi ciągnęła się skryta w ciemności ulica.

Zanim jednak zdążyła się ruszyć, mężczyzna zrobił coś, co sprawiło, że upadła na ziemię – i usiadł na niej okrakiem. Kolanami przycisnął jej ręce do podłogi. Otworzyła usta do krzyku...

A wtedy on uderzył ją w twarz.

Nie czuła strachu; przepelniała ją wściekłość. Jak on śmie ją tak obmacywać?!

Z jej ust płynęły słowa, które ani trochę nie odzwierciedlały gniewu, jaki czuła. Miały tylko jeden cel: pozbyć się intruza, zmusić go, żeby z niej zszedł.

– To był pomysł Franka – słyszała własny głos. – On wszystko wymyślił, a ja się zgodziłam mu pomóc. Zrobiłam błąd, ale proszę, niech mnie pan już nie bije...

A może chciała odwrócić jego uwagę? Zamachnęła się trzymanymi w lewej ręce nożyczkami, które ze świstem rozcięły powietrze i zagłębiły się w barku napastnika.

Jego oczy zapłonęły ze złości. Podniósł srebrny przedmiot.

Nic więcej nie umiała sobie przypomnieć.

Leonard trzymał coś na kolanach.

Keyes zwrócił na to uwagę, kiedy taksówka zwolniła. Wychylił się do przodu, wyężając wzrok. W półmroku majaczyła krótka rurka, prawdopodobnie jakaś broń. To dobrze, że Leonard jest uzbrojony. Nie wiadomo co zastaną w środku. Jeżeli ta kobieta była w stanie opóźnić powrót Dietza...

Opóźnić. Skąd wiadomo, że to tylko zwykłe opóźnienie?

W głębi serca Keyes się bał: Zdołał jednak wziąć w ryzy ten strach, odsunąć go na bok. Wszystko jest z góry przesądzone. Będzie, co ma być.

Taksówka się zatrzymała i kierowca spojrzał na niego wyczekująco w lusterku. Keyes wyjął z portfela dwudziestodolarowy banknot, podał go taksówkarzowi. Chwilę później stali z Leonardem na chodniku i patrzyli za odjeżdżającym samochodem.

Leonard coś zrobił z bronią, jakby pociągnął jakiś tłoczek. Keyes nie patrzył mu na ręce; nie chciał widzieć prawdziwej broni, która zadawała prawdziwą śmierć. Przez długie lata udawało mu się unikać kontaktu z takimi realiami jego zawodu. Za

biurkiem wszystko sprowadzało się do intelektualnej zabawy, do układanki z klocków. Praca jak każda inna.

Za plecami Leonarda, obok domu, znajdowała się uliczka, na której stał samochód z włączonym silnikiem i zapalonymi światłami.

Nagle reflektory oślepiły Keyesa, silnik ryknął głośniejszym głosem i wóz przyspieszył. Nie było wątpliwości: kierowca zamierzał ich rozjechać.

Keyes chciał uskoczyć w lewo, ale nie bardzo miał się gdzie schować. Zresztą nie starczyłoby mu czasu: ogłaszający huk silnika wypełnił cały świat; wszystko utonęło w blasku reflektorów. Mimo to spróbował uniku. Będzie, co ma być.

Zatoczył się, kiedy błotnik uderzył go w lewe biodro. Usłyszał wyraźny, ostry trzask łamanej kości, upadł i przejechał twarzą po ziemi. W ustach poczuł smak krwi. Przetoczył się na plecy, żeby widzieć, czy samochód zawróci, żeby go dobić.

Auto jednak przyspieszyło i odjechało w dal. Leonard podbiegł, pochylił się nad nim, coś mówił. Keyes zamknął oczy. Łapał powietrze łapczywymi haustami. Coś potwornie uciskało go w biodro, jakby słoń mu na nim ukłęknał. Niech szlag to trafi!

Jednak wypadek miał też dobrą stronę: po raz pierwszy od niepamiętnych czasów Keyes nie był głodny. Ani trochę.

ROZDZIAŁ 15

– Zaczekaj, mam – powiedziała Daisy. – Mam telefon na drugiej linii.

Sprawdziła, skąd jest połączenie, i przełączyła się na linię numer 2.

– Biuro Jima Keyesa, słucham.

– Proszę poczekać, łączę z Dickiem Biermanem – usłyszała.

Daisy poczekała.

– Jim? – zgłosił się Bierman.

– Panie Bierman, mówi Daisy Gilbert Pana Keyesa niestety nie ma w biurze.

– A gdzie jest?

– Nie wiem dokładnie, ale przekażę mu, że pan...

– Będzie wieczorem?

– Nie jestem pewna, ale dopilnuję, żeby się dowiedział...

– Daisy, nie bądź taka tajemnicza, na litość boską! – Bierman miał wesoły południowy akcent – Wyszedł na lunch? Gra w golfa?

– Nie jestem w stanie tego panu powiedzieć. Jak tylko...

– Chciałbym do niego wpaść dziś wieczorem. Zastanę go?

– Nie mogę tego panu obiecać. Lepiej, gdyby porozmawiał pan z nim osobiście.

– Złapię go na komórkę. Możesz mi podać numer?

Zaświeciła się lampka na trzeciej linii. Daisy zaczynała wpadać w panikę.

Nową centralkę mieli już od czterech miesięcy, ale jeszcze nie opanowała jej obsługi.

– Proszę poczekać, panie Bierman. – Przełączyła się, nie czekając na odpowiedź. – Biuro Jima Keyesa, słucham.

– Daisy.

To był Keyes. Ledwie mówił. Daisy pochyliła się w napięciu nad biurkiem.

– Co się stało?

Usłyszała świszczący oddech.

– Nic wielkiego. Miałem mały wypadek, ale nic mi nie jest. Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła. Zadzwon do Rogera Forda i poproś o przesłanie dossier Francisa Dietza. Powiedz mu, że mamy problem, ale nie jesteśmy pewni, czy to Dietz jest tym

problemem.

Daisy zrobiła krótką notatkę.

– Mam na linii Dicka Biermana – powiedziała.

– Biermana?

– Chce wpaść z wizytą.

– Powiedz mu, że nie możesz mnie złapać.

– Powiedziałam, ale on jest uparty. Chce przylecieć dziś wieczorem. I pyta o twój numer na komórkę.

Przez długą chwilę Keyes nie odpowiadał.

– Powiedz mu... powiedz, że wypadła mi pilna sprawa rodzinna i że nie będzie mnie w biurze do... Zresztą, do diabła z nim. I tak przyleci, prawda?

– Na to się zanosi.

– Umów go jutro na kolację. Może przylecieć do mnie albo ja do niego, jak woli.

– Zrozumiałam.

– Nie zapomnij o Dietzu. Potrzebuję tych akt na wczoraj.

– Oczywiście.

– I jeszcze jedno. Poproś, żeby Casper sprawdził dla mnie nazwisko: Victoria Ludlow. Z Chicago. Interesuje mnie wszystko, co znajdzie. Długopis zaskrzypiał na kartce. – Zapisałam.

– Serdeczne dzięki, Daisy.

Rozłączyła się i wróciła do przerwanej rozmowy.

– Panie Bierman? Przepraszam, że musiał pan tyle...

– To ja – usłyszała głos matki.

– Przepraszam, mam. Poczekaj. – Daisy przełączyła się na trójkę. – Panie Bierman?

– Tak.

– Przepraszam, że musiał pan czekać. Przeglądam właśnie kalendarz pana Keyesa... Miałby pan czas jutro wieczorem, żeby spotkać się na kolacji?

– Chyba tak.

– Świetnie wpiszę pana na...

– Po kolacji chętnie obejrzę ośrodek. Chciałbym zobaczyć Jak się mają moje inwestycje, sama pani rozumie.

– Naturalnie – odparła bez zająknięcia Daisy. – Co pan powie na ósmą wieczór? Mam zrobić rezerwację w którymś hotelu? Mamy tu uroczy hotelik...

– Zajmie się tym moja sekretarka – powiedział Bierman i się rozłączył.

Daisy prychnęła. Spojrzała na centralkę: lampka linii numer 1 migiała miarowo. Przełączyła się na nią. – Mama?

– Tak, Daisy, naprawdę nie podoba mi się...

– Oddzwonię później.

Daisy przerwała połączenie.

Hannah obudziła się z bólem karku.

No to pięknie, pomyślała. Tego jeszcze brakowało. Kłopoty w pracy, z Frankiem, a teraz boli ją kark, czuje pulsowanie w skroni i kłucie w oczodole. Głowę miała ociężałą; jakby ktoś opróżnił ją całkowicie i napełnił piaskiem. Nigdy więcej nie będzie spała... Ale właściwie gdzie?

Dotarło do niej, że zasnęła w samochodzie. Padał deszcz. Otworzyła oczy i ujrzała szare niebo za oknem. Wiatr rozmazywał krople deszczu na szybie. Tylko one się poruszały, bo samochód stał nieruchomo.

Obok siedział mężczyzna. Na kolanach trzymał jej torebkę. Dobiegał

sześćdziesiątki, miał masywną czaszkę, szeroką pierś, świdrujące szare oczy i nieprzeniknioną twarz. Spojrzał na Hannah, która z wysiłkiem usiadła prosto.

Uśmiechnął się. Dziwny to był uśmiech: wszystkowiedzący i trochę smutny.

Wyjął coś z torebki i pokazał Hannah: książkę, którą pożyczyła od Epsteinów, *Kroniki wypraw krzyżowych*. Wydarzenia ostatnich paru dni wróciły wezbraną falą. Hannah jęknęła cicho. Za dużo tego było, za dużo, to nie mogło się zdarzyć naprawdę...

Mężczyzna otworzył książkę i pokazał jej jakieś gryzmoły na wewnętrznej stronie tylnej okładki. Rozróżniła fragment tekstu i jakieś równania matematyczne. Upewniwszy się, że Hannah zobaczyła to, co chciał jej pokazać, schował książkę z powrotem. Nie oddał jej torebki.

Hannah zdała sobie sprawę, że to jest ten sam człowiek, który ją zaatakował i który szeptem uspokoił filipińską rodzinę. Kiedy mu się dokładniej przyjrzała, znalazła ranę, którą mu zadała: na lewym barku, tam, gdzie trafiła go nożyczkami, widniała plamka krwi.

Spojrzał na drzwi samochodu. Wyglądało na to, że są otwarte, ale mężczyzna najwyraźniej nie obawiał się, że Hannah będzie próbowała uciec.

– Porozmawiajmy – zaproponował.

Hannah nie odpowiedziała. Deszcz się nasilił, kurtyna wody rozbijała się o przednią szybę. Przez jego szum przebijało się monotonne, niskie buczenie. Hannah pomyślała, że są na lotnisku albo gdzieś w pobliżu.

– Jeśli chcesz, możesz iść. Nie będę cię zatrzymywał. Mam to, czego szukałem.

Chyba spodziewał się jakiejś odpowiedzi, ale Hannah nie miała nawet pojęcia, o co mu chodzi. Czy ten mężczyzna na pewno jest z FBI? Jeśli przeleciał za nią pół świata, bo popełniła przestępstwo w Chicago, to dlaczego teraz chciał ją puścić wolno? To się nie trzymało kupy.

– Lepiej jednak zrobisz, jeśli przemyślisz sobie, z kim związałaś swój los. I dzięki komu możesz najwięcej zyskać.

Mijały kolejne sekundy. Hannah siedziała nieruchomo, bez słowa, mężczyzna przyglądał się jej badawczo.

– No dobrze – powiedział w końcu. – Spróbujmy inaczej. Ja będę mówił, ty słuchaj. – W lewej ręce trzymał jej paszport, który teraz otworzył. – Victoria Ludlow. Ale ty się tak nie nazywasz. Nie znalazłem w torebce dokumentów na twoje prawdziwe nazwisko. Nie wiem, czy w ogóle istnieją.

Gdzieś daleko zagrzmiało.

Zerknęła na drzwi. Czy pobiegłby za nią, gdyby zaczęła uciekać? Załóżmy, że mimo wszystko zdołałaby mu uciec. Zabrał jej torebkę. Została bez pieniędzy i bez paszportu. Pewnie udałoby się jej znaleźć amerykańską ambasadę – wyżebrać, pożyczyć albo wyprosić gdzieś pieniądze na taksówkę i dojechać do ambasady. Przygarnęliby ją, ale wtedy wszystko by się wydało. Mieliby ją w garści.

Jednak lepsze to niż siedzieć tutaj, w samochodzie, z tym szaleńcem. Jej ręka milimetr po milimetrze zaczęła przesuwając się ku klamce.

– Chcę ci złożyć propozycję – powiedział mężczyzna.

Zamierzała ostrożnie, żeby nic nie zauważył, pociągnąć za klamkę, pchnąć drzwi i jednym susem wydostać się z samochodu na deszcz.

– W zamian za wyjaśnienie znaczenia formuły w sposób, który będę mógł wykorzystać, aby podbić cenę...

Jeśli pokaże się w ambasadzie, trafi do więzienia – ale w tej chwili myśl o więzieniu wydawała się jej całkiem kusząca. W celi będzie mogła przynajmniej chwilę odpocząć.

– Podzielimy się po połowie – usłyszała. – Nie wiem, jaką ofertę złożył ci Frank, ale na pewno mogę ją przebić. Znam kilku potencjalnych kupców. W grę wchodzi suma...

Jeszcze dwa centymetry i złapie za klamkę.

– Hm... to będzie ostrożne oszacowanie, tym bardziej że nie wiem, co my tu naprawdę mamy... jednak znając Keyesa i jego budżet...

Palce Hannah dotknęły zimnego metalu. Spięła się, szykując do skoku.

– Myślę, że można mówić o dziesięciu milionach. Powtarzam: to ostrożna wycena.

Hannah znieruchomiała.

– Osobiście uważam, że byłbym w stanie podbić cenę do piętnastu milionów. Im więcej będę miał informacji, tym wyższa suma.

Schował paszport do torebki, z kieszeni na piersi wyjął paczkę papierosów, wsunął jednego do ust i wcisnął umieszczoną na desce rozdzielczej zapalniczkę.

– Masz wybór: możesz nacisnąć klamkę i uciec.

Błysnęło. Sekundę później zadudnił grzmot.

Hannah cofnęła rękę.

– Moim zdaniem to opis jakiejś bomby – ciągnął mężczyzna beznamiętnym tonem. – Tak to widzę.

Zapalniczka wyskoczyła z gniazdka. Zapalił papierosa.

Tylko bez głupich pomysłów, Puchatku, upomniała się Hannah.

Pójdzie do ambasady i odda się w ręce władz. Stawi czoło faktom. Zapłaci za grzechy. Jakie miała inne wyjście? Mogła wpakować się w tę nową aferę po uszy, nie wiedząc nawet, w czym bierze udział – ale nie; raz już dostała nauczkę. Źle zrobiła i nie było sensu temu zaprzeczać. Dwa błędy to zbyt dużo.

Jednak to Frank był prawdziwym przestępcą. Jej można zarzucić co najwyżej błąd w ocenie sytuacji. Dlaczego miałyby przez Franka zgnić w celi?

Dziesięć milionów. Po połowie.

Ostrożna wycena.

Co zrobiłyby, mając pięć milionów dolarów? W każdym razie zniknęłyby jej obecne rozterki. Mogłyby sobie kupić drugą szansę.

Tyle że nie miała nic na sprzedaż. Te gryzmoły w książce zobaczyła przed chwilą pierwszy raz w życiu. Jeżeli zgodzi się grać rolę, którą wyznaczył jej ten człowiek, prędzej czy później noga jej się powinie.

A może i nie. On też nie wie, co to jest.

Za to myśli, że ona wie.

Mężczyzna wydmuchnął kłęb dymu. Uchylił okno po swojej stronie i spojrzął pytająco na Hannah.

– Pysznic – powiedziała. – Świeże ubranie, coś do picia i możemy porozmawiać.

Keyes wziął do ręki szklanke whisky, otworzył teczkę i zaczął przeglądać jej zawartość.

Budzik na biurku pokazywał, że nie ma jeszcze piątej. W normalnej sytuacji Keyes nie zacząłby pić tak wcześnie, ale całkiem stracił poczucie czasu: lot do Turcji, lot z powrotem, bieg na spotkanie słońca i ucieczka przed nim. Jego wewnętrzny zegar wskazywał północ. Obandażowane biodro pulsowało bólem. Za trzy godziny miał się spotkać z Dickiem Bieimanem. Musiał go jakoś ugłaskać, wybłagać jeszcze trochę czasu. A teraz rozpaczliwie potrzebował tej odrobiny uniwersalnego lekarstwa.

Pociągnął łyk whisky, odstawił szklanke, przetarł oczy i skupił się na dokumentach.

Dotyczyły kobiety o nazwisku Victoria Ludlow. Na takie właśnie nazwisko

zarezerwowano miejsce na wycieczce statkiem; używała go kobieta, która była w zмовie z Epsteinem. Trzeba będzie zajrzeć do jej mieszkania w Chicago – o ile podany w papierach adres był prawdziwy. Agent zdejmie odciski palców i prześle je do Clarksburga, do IAFIS, czyli Zintegrowanego Automatycznego Systemu Identyfikacji Odcisków Palców. Zainstaluje też urządzenie do namierzania rozmów telefonicznych – urządzenie, które wzmacnia napięcie na linii i nawet przerwanie połączenia mu nie przeszkadza. Poza tym przydadzą się mikrofony i program kontrolujący pracę komputera.

Tylko że Keyes nie miał kogo posłać do Chicago. Zasoby, którymi dysponował w ramach ADS, były na wyczerpaniu, a nie chciał prosić Rogera Forda o kolejną przysługę. Zamiast podążać każdym tropem z osobna, musiał dokonać jakiejś syntezy, zrozumieć, co się naprawdę wydarzyło, kto maczał w tym palce i dlaczego.

Zamknął pierwszą teczkę, odłożył ją na bok i wziął do rąk drugą, zawierającą dossier Francisa Dietza. Nie wiedział, kto dokonał masakry w zachodnim Stambule – poszukiwana kobieta, Dietz czy może oboje razem. Bo przecież mogli współpracować. Może sprawa zatoczyła znacznie szersze kręgi, niż mu się zdawało, a Epstein wyprzedzał go nie krok, lecz o cały stadion...

Nie. W najgorszym razie w sprawę zamieszanych było parę osób, nie więcej. Kilka łyżek dziegiu w beczce miodu. Znajdzie ich, zajmie się nimi, weźmie wszystko w garść i tak się to skończy.

Biodro rwało go okrutnie. Łyknął szkockiej, którą potrzywał przez chwilę w ustach.

Z dokumentów trudno było wyciągnąć jednoznaczne wnioski.

Sześć lat w Nowym Jorku, współpraca z Rosjanami w ramach operacji „Zaloty”. Czy mógł wtedy przejść na drugą stronę? Całkiem możliwe. Chociaż trudno powiedzieć, żeby od tamtej pory prowadził szczególnie wystawny tryb życia: miał farmę w Pensylwanii i romans z mężatką Elizabeth Webster, dwa razy w roku załatwiał coś dla Rogera Forda. Jeżeli zdradził, to nie zarobił na tym kokosów.

Keyes napił się i drugi raz wczytał w papiery.

Może jednak nie było żadnego spisku? Dietz znalazł się sam na sam z poszukiwaną kobietą i zwięszył swoją życiową szansę. Doszedł do wniosku, że trafiła mu się okazja, żeby zbić fortunę i uciec z Elizabeth Webster – uroczą czterdziestolatką o miłym uśmiechu i blond włosach, sfotografowaną wraz z mężem na balu dobroczynnym w Waszyngtonie. Mogliby zacząć nowe życie i żyć jak bogacze. Jeśli Dietz miał gotowe fałszywe paszporty dla siebie i dla niej, mogli uciec w każdej chwili.

Istniała taka możliwość. W Nowym Jorku prowadził całą siatkę agentów i podwójnych agentów – dyplomatów i ambasadorów. Miał kontakty, wiedział, gdzie szukać kupców na obliczenia Epsteina.

Ale jaką rolę odgrywała ta kobieta?

Przerzucił kartkę i znalazł profil psychologiczny Dietza; kolejne wątpliwości i żadnych jednoznacznych odpowiedzi. Zdaniem autora raportu Dietz miał kłopoty z nawiązywaniem bliższych kontaktów międzyludzkich. Odmówił jednak leczenia, bo jego zdaniem nie było to istotne...

Zahuczał interkom. Nie przerywając lektury, Keyes wyciągnął rękę i wcisnął guzik.

– Słucham?

– Przyszedł Dick Bierman.

Keyes oderwał się od papierów. Bierman. Zjawił się przed czasem. Znowu te jego gierki, niech go szlag! Nie mógł gorzej trafić.

Keyes pociągnął solidny łyk ze szklanki. Na pusty żołądek whisky uderzała do głowy. Tym lepiej.

– Niech wejdzie – powiedział.

Pięć godzin później wrócił do biura. Światła były pogaszone.

Odłożył na biurko plik wiadomości, oparł łaskę o ścianę, opadł na krzesło i nalał sobie następnego drinka. Zapatrzył się w ciemność, nie podnosząc szklanki do ust. Bał się, że whisky już mu nie wystarczy. Przydałoby się coś mocniejszego, żeby uspokoić nerwy. Anielski pył. Albo heroina.

Bierman grał ostro.

Czyżby wiedział coś o Epsteinie? Wyczuł słabość Keyesa? A może po prostu tak szczęśliwie trafił?

Keyes skłamał, że Bierman nie mógł wybrać lepszej chwili na wizytę: w przyszłym tygodniu w laboratorium Gamma jest planowany eksperyment, który rozwieje wszelkie obawy co do niewydolności ADS – i nieskuteczności samego Keyesa. Twierdził, że zaproszeni na pokaz przedstawiciele DMFOSEC, DARPA i LANL będą zachwyceni. Wyniki przejdą ich najśmielsze oczekiwania, bo na ich oczach zostanie zrealizowany kluczowy Krok Trzeci.

Bierman musiał być rozczarowany, wydawało mu się, że dni Keyesa są policzone i szybko zajmie jego miejsce. Naturalnie nie dał niczego po sobie poznać. Może wiedział, że Keyes nie ma szans dotrzymać słowa; nie musiałby wtedy udawać zadowolenia.

Wychylił szklankę jednym haustem i sięgnął po butelkę.

Tydzień. Jakie były szanse, że Greenwich i jego superkomputery zdążą przez ten czas uzyskać wyniki, do których doszedł Epstein? Bliskie zera.

Miał przechłapanie.

Wszystko przez Epsteina. I Dietza. I przez tę babę, Victorię Ludlow. To nie mógł być przypadek. Zmówili się, sprzysięgli przeciw niemu. Wszyscy przeciw jednemu człowiekowi – przeciw połowie człowieka, który dawno spadł z najwyższej ligi.

Oczyma wyobraźni widział siły, które mu zagrażały: splątane, zasupłane w węzeł nie do rozwiązania. Nagle przypomniał sobie pracę domową, którą Jeremy przygotował na biologię mniej więcej rok przed śmiercią. Praca przeraziła Rachel, ale Jeremy był z niej zadowolony – podobała mu się okładka z przezroczystego plastiku, ozdobna strona tytułowa, a przede wszystkim makabryczny temat. Keyesowi też się podobała; między nim i Jeremym zawsze istniało porozumienie nieosiągalne dla Rachel.

Praca dotyczyła zjawiska znanego pod nazwą „szcurzy król”.

Keyes pamiętał, jak ją czytał. Jeremy siedział mu na kolanach – był już na to za duży, ale tym razem zrobił wyjątek, żeby razem z tatą nacieszyć się swoim dziełem. Od XIV wieku w Europie i Stanach opisano sześćdziesiąt przypadków występowania „szcurzych królów”; ostatni miał miejsce w 1963 roku. Nauka nie umie wyjaśnić natury zjawiska, w którym grupy szcurów – w jednym przypadku aż trzydzieści dwa osobniki – łączą się w jeden kłęb ciał. Ich splątane, z popękanyimi kręgami ogony tworzą niemożliwy do rozsupłania węzeł. Potem kości się goją i zwierzęta zaczynają tworzyć jeden wielki organizm, będący czymś więcej niż prostą sumą części składowych. Tak powstawał „szcurzy król”.

Czy z czymś takim miał do czynienia? Z tak ohydny – i groźny – przeciwnikiem?

„Szcurzy król”, napisał w podsumowaniu Jeremy, jest dla współczesnych naukowców nie mniejszą tajemnicą, niż był dla średniowiecznych alchemików.

Oczywiście. Nauka nie jest wszechmocna. Niektórych prawd nigdy nie będzie w stanie pojąć.

Nie miał ochoty podążać dalej tą drogą, doprowadzić tej myśli do końca. Oszukiwał się, twierdząc, że panuje nad sytuacją. Prawda była taka, że miał przechlapane. Dla niego gra się skończyła.

A jednak należy to jakoś uprościć, ogarnąć całość.

Przypuśćmy, że nie ma żadnego spisku. Załóżmy, że Dietz po prostu wykorzystał niespodziewaną okazję. Mogło się zdarzyć, że Epstein dostarczył tej kobiecie – mniejsza o to, kim była – egzemplarz formuły. To mogło skusić Dietza: konkretny, namacalny towar.

Keyes uczeplił się kurczowo tej myśli. Konkret – oto recepta na sukces.

Jemu też by się przydał jakiś konkret.

Przejrzał wiadomości. Rachel znowu dzwoniła, był też telefon od adwokata. Poza tym, zapisane ledwie czytelnym pismem Daisy, czekały na niego złe wieści: wyglądało na to, że Henry Chen miał nieszczęśliwy wypadek. Zawiodły hamulce w jego subaru, które wypadło z drogi i stoczyło się ze skarpy niespełna pięćdziesiąt kilometrów stąd. Chen trafił do szpitala w stanie krytycznym.

Odłożył wiadomości.

Miał tydzień na załatwienie tych spraw.

Zaczynał mu świtać pewien pomysł. Nie był wcale najgorszy.

Dietz ukraść wzór dla siebie; nieistotne, czy działał w zмовie z tą kobietą, czy sam. Keyes miał pretekst, żeby zadzwonić do DI A i włączyć ją – trochę zbyt późno – do gry. Mógłby zasugerować, że gdyby Dietz nie zdradził, wszystko poszłoby jak po maśle; teraz jednak DIA musiała przejąć i zakończyć sprawę. Dietz wróci zapewne do Nowego Jorku, żeby sprzedać swój sekret któremuś ze starych znajomych. W aktach, które Keyes miał na biurku, znajdowały się informacje o wszystkich kontaktach, jakie Dietz nawiązał w ramach operacji „Zaloty”. Brakowało mu jednak ludzi, żeby wszystkich wziąć pod obserwację.

DLA pomoże w śledztwie, A jemu wystarczy garstka agentów, którzy będą mieli na oku potencjalnych klientów Dietza. Resztę załatwi sam, z pomocą Leonarda, który pozostał w Stambule na wypadek, gdyby udało się tam podjąć zgubiony trop. Keyes osobiście przeszuka mieszkanie kobiety w Chicago.

Nie dasz rady, ostrzegł go wewnętrzny głos.

Nie dasz rady żonglować tyloma piłeczkami naraz. Uznaj się za pokonanego. Idź do Biermana. Powiedz mu prawdę.

Właśnie że nie. Znajdzie Dietza, odzyska formułę Epsteina i za tydzień będzie gotowy do kontynuowania prac.

Źle się stało, że Chen miał wypadek; zostawił żonę, rodzinę... Szkoda, że nie umiał współpracować.

„Epstein bał się, że go nie posłuchasz – powiedział Chen – jeśli doradzi ci wstrzymanie prac”.

Miał rację. Keyes nie bał się ryzyka.

Za tydzień wykonają Krok Trzeci. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Keyes zostanie oczyszczony z zarzutów.

A jeśli coś nie wypali, pewnie nie będzie musiał się tym długo martwić. Jeżeli obawy Epsteina okażą się uzasadnione, osobliwość grawitacyjna przebiję podłogę laboratorium, dostanie się do środka Ziemi i zacznie zasysać materię. Wkrótce potem na ziemskiej orbicie zostanie tylko mała czarna dziura.

Pomyślał z goryczą, że takie rozwiązanie też miałoby swoje dobre strony. Ból przestałby go dręczyć.

Spojrzał na stojące na biurku zdjęcie Jeremy'ego. Koniec bólu.

Podniósł szklanę, ale zaraz ją odstawił. Musiał lecieć do Chicago, a wcześniej powinien odwiedzić Caspera i zabrać odpowiedni sprzęt Da sobie radę. Wygra.

Odsunął szklanę i wyciągnął rękę do interkomu.

ROZDZIAŁ 16

Hannah wyszła z łazienki. Mężczyzny nie było nigdzie widać.

Jedną ręką przytrzymując ręcznik, rozejrzała się po eleganckim apartamencie. Jej towarzysz nie zostawił żadnej wiadomości; nie zabezpieczył też drzwi ani okien w sposób, który miałby jej uniemożliwić ucieczkę.

Za to zabrał jej torebkę.

Przez moment i tak miała ochotę wyjść. Wystarczyłoby znaleźć ambasadę amerykańską, oddać się w ręce urzędników i zapomnieć o drugiej szansie. Apartament znajdował się jednak za wysoko, żeby mogła marzyć o ucieczce przez okno. Gdyby zaś zjechała windą, prawdopodobnie natknęłaby się w holu na swojego prześladowcę.

Poza tym apartament w Four Seasons, przerobionym na hotel ottomańskim budynku tuż obok Błękitnego Meczetu, był całkiem przyjemny. Miał lekko orientalny wystrój – gustowne reprodukcje na ścianach, żłobkowane wazony na każdej półeczce, śliczny jasnoszary dywan; był czysty, cichy. Po ostatnich przeżyciach marzyła o takim luksusie.

Podeszła do barku. Zrobiła sobie wódkę z tonikiem i położyła się na jednym z dwóch tapczanów. Zamknęła oczy, wsłuchując się w szmer klimatyzacji i chłonąc zapach świeżych kwiatów. Lepsze to niż więzienie.

Ale pozostawanie tu graniczyło z szaleństwem.

Ten człowiek był niebezpieczny, a jej nigdy nie uda się go oszukać... Nie zdoła grać narzuconej sobie roli, jeśli nie ma pojęcia, o co chodzi w całej tej sprawie.

Zaraz zbierze się na odwagę, wstanie i zaryzykuje. Za chwileczkę...

Drzwi otworzyły się szeroko i mężczyzna wszedł do pokoju. Odłożył trzymane w rękach pakunki, spojrzał na Hannah i uniósł brwi, ale nic nie powiedział. Wszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi. Nie rozstawał się ze skórzaną torbą, w której, jak domyślała się Hannah, znajdowała się jej torebka.

Po chwili dobiegł ją szum prysznica.

Obrzuciła wzrokiem torby z zakupami, spojrzała na drzwi apartamentu. Teraz albo nigdy.

Jeszcze raz zerknęła na pakunki i zaczęła je otwierać.

– Zdam się na ciebie – powiedziała.

Sądząc po swobodzie, z jaką zachowywał się w restauracji, musiał już nieraz bywać w tej części świata. Kazał, żeby pokazano mu rybę przed jej przyrządzeniem, i kelner zgodził się bez szemrania.

– Na szczęście zdążyliśmy – powiedział mężczyzna, kiedy kelner się oddalił. – Za tydzień zaczyna się tarło, a wtedy nie wolno łapać turbotów. Jeśli tylko będzie świeży, czeka nas prawdziwa uczta.

Sprawił wrażenie, jakby świeżość ryby była jego jedynym zmartwieniem. Kiedy kelner przyniósł mu surową rybę na talerzu, obejrzał jej oczy i skrzel, po czym stwierdził, że jest do przyjęcia. Zamówił butelkę wina, drugą wódkę z tonikiem dla Hannah i rozparł się wygodnie na krześle, popijając podaną przed posiłkiem herbatę.

Jedną ręką przytrzymał torbę, leżącą obok, na pustym krześle.

– Ładnie ci w tej sukience – stwierdził.

Odruchowo odpowiedziała uroczym uśmiechem; matka ją nauczyła, że tak właśnie należy przyjmować komplementy.

Mężczyzna kontynuował niezobowiązujący monolog. Szpieg-dżentelmen, nie sądziła, że tacy ludzie naprawdę istnieją. Zachwycił się bukietem wina, zwrócił jej uwagę na bakławę na wózku z deserami. Chyba chciał, żeby się odprężyła – i całkiem nieźle mu to wychodziło.

Musiał być wszechstronnie utalentowany: z równą łatwością zamawiał rybę w restauracji w Stambule i atakował bezbronne kobiety. Nie zapomniała o napaści; nigdy nie zapomni. A w stosownej chwili...

Ale to nie była stosowna chwila.

Ciekawe, jak ma na imię.

Ciekawe, co robi, jeśli przyłapie ją na kłamstwie.

– Jeżeli nie jadłaś tureckiego deseru w Turcji, to nie wiesz, co tracisz. Tutaj nazywają go rachatlukum: „ulga dla gardła”.

Musiał często bywać na Bliskim Wschodzie, co, zdaniem Hannah, sugerowało przynależność do CIA. Kłopot w tym, że jej wiedza o szpiegach opierała się wyłącznie na hollywoodzkich filmach i książkach Toma Clancy'ego. W tej dziedzinie nie mogła sobie ufać.

Co ty właściwie chcesz osiągnąć, Hannah?

Kelner przyniósł zamówione danie. Zaczęła jeść, na wszystkie strony rozważając w myślach to pytanie.

Nie chodziło o pieniądze. Po początkowej reakcji na ofertę napastnika – pięć milionów dolarów! – realizm powoli brał górę nad chciwością. Nawet jeśli udałoby się jej przekonująco zablafować w kwestii gryzmołów w książce, sprawa i tak się wyda.

Niemniej jednak ten człowiek mógł się jej jeszcze przydać. Gdyby pomógł jej wrócić do Stanów – z pominięciem ambasady i zwykłej drogi urzędowej – skontaktowałyby się z ojcem. Poszłaby z sądem na ugodę i drzwi do nowego życia stanęłyby przed nią otworem.

Musiała więc wymyślić bajeczkę, która na jakiś czas zapewni jej bezpieczeństwo. Ciekawe, za kogo ją brał? Najwidoczniej szpiega. Czy Epsteinowie też byli szpiegami? To brzmiało sensownie – o ile w ogóle można było doszukiwać się w tym wszystkim jakiegoś sensu. Wpakowała się w grubszą aferę, w której najwyraźniej nikt nie znał wszystkich odpowiedzi.

Ten mężczyzna uważał, że *gryzmoły* opisują jakąś bombę. Próbowała sobie przypomnieć przeczytane artykuły z „Scientific American” i obejrzone programy popularnonaukowe – cokolwiek, co pomogłoby jej przekonująco kłamać. Ostatnio namnożyło się materiałów o terrorystach: o „brudnych” bombach radioaktywnych, o ładunkach jądrowych, które mieszczą się w walizkach, o wirusie ospy, zmodyfikowanym w szkolnym laboratorium. Te wszystkie technologie budziły oczywiście niepokój, ale głównie dlatego, że terroryści już mieli do nich dostęp; nie byłyby warte takiej fortuny. Tu powinno chodzić o coś poważniejszego, o całkiem nowy wynalazek – coś tak skomplikowanego, żeby uniknąć wnikania w szczegóły techniczne.

Przypomniała sobie wizytę z Frankiem u lekarza. Siedząc w poczekalni, przeglądała artykuł o naddźwiękowym silniku strumieniowym; większość szczegółów dobrze zapamiętała. W Australii przeprowadzono niedawno testy silnika na paliwo wodorowe. Zakończyły się tylko częściowym sukcesem, ale kiedy technologia zostanie dopracowana, konsekwencje odkrycia będą doniosłe. Naddźwiękowy silnik

strumieniowy może rozpędzać rakiety i samoloty do prędkości 8 machów, czyli ośmiokrotnie większej od prędkości dźwięku.

Dalej w artykule przedstawiono historię tego wynalazku. W 1986 roku, niespełna tydzień po katastrofie „Challenger”, prezydent Reagan zainicjował program badawczy Hyper-X. Od blisko dwudziestu lat NASA pracowała nad tą nową technologią, a teraz wyglądało na to, że Australia mogła wyprzedzić Amerykanów. Najprawdopodobniej podobne badania prowadzono równoległe w Rosji, Japonii, Chinach i Indiach. Naddźwiękowy silnik strumieniowy pozwoliłby konstruować nie tylko superszybkie samoloty, ale przede wszystkim rakiety i bombowce bezzałogowe, zbyt szybkie, żeby dało się je zestrzelić.

Hannah uznała, że spokojnie może tu chodzić o naddźwiękowy silnik strumieniowy.

– A właśnie... – powiedział mężczyzna.

Hannah podniosła wzrok znad talerza i zobaczyła, że wyciąga do niej rękę.

– Jestem James.

Uścisnęła podaną dłoń.

– Amy.

– Miło mi.

– Mhm.

– Daj znać, kiedy będziesz gotowa przejść do rzeczy.

Otarła kącik ust serwetką.

– Chciałabym się najpierw porządnie wyspać.

– Rozumiem.

Wróciła do jedzenia.

– I tak do rana nie zamierzałem się ruszać z miasta. Pomyślałem, że jutro trzeba złapać jakiś pociąg z Haydarpaca, pojechać kawałek na wschód, a potem zawrócić. Keyes mógł obstawić lotnisko.

Czuła na sobie jego spojrzenie; był ciekaw, jak zareaguje na nazwisko Keyesa. Chrząknęła niezobowiązująco.

– Jeżeli masz powody przypuszczać, że ktoś może obserwować dworce kolejowe, to powiedz.

Pokręciła przecząco głową.

Przyglądał się jej jeszcze chwilę z błyskiem w oku.

– Mniejsza z tym. Z rachathikum wiąże się ciekawa historia. Podobno w XVIII wieku niejaki Ali Muhiddin przybył do Stambułu z górskiego miasta Kastamonu...

Oboje udawali, że śpią.

Hannah leżała na tapczanie, starając się nie patrzeć na oświetlanego księżycową poświatą Jamesa. Słyszała jego spokojny, równy oddech, ale dobrze wiedziała, że udaje. Nie spał.

Pod głową zamiast poduszki miał swoją skórzaną torbę, a w niej książkę.

Hannah gapiła się w sufit. Nawet w tak luksusowym hotelu na suficie rysowała się siateczka pęknięć. Na jej oczach rysy zdawały się poruszać i układać w figury z testu Rorschacha. Miała zmęczone oczy; w ogóle była wykończona – i w żaden sposób nie mogła zasnąć.

Patrzyła w sufit, ale widziała leżących na ziemi Epsteinów, złączonych coraz większą kałużą krwi. Zobaczyła mężczyznę-dziecko: wchodził po drabinie, w jego makabrycznej, dziecinnej twarzy płonęły lodowate oczy.

Wiatr szeleścił liśćmi, z oddali – raz ciszej, raz głośniejsze – dobiegała orientalna muzyka. Gdzieś zawyła syrena, ale dźwięk był tak słaby, że mógł zrodzić się tylko w wyobraźni Hannah.

Pęknięcia przesunęły się i upodobniły do krat celi. To ją czeka, jeżeli odda się w ręce władz. Kiedy stawi czoło faktom.

Dlaczego jeszcze tego nie zrobiła?

Czekała na dogodną okazję. Rano, po rozmowie z nią, James skontaktuje się ze swoimi „potencjalnymi kupcami”. Umówią się na spotkanie, które przy odrobinie szczęścia odbędzie się w Stanach. James zabierze ją do domu. Ucieknie mu, dotrze do Baltimore i spotka się z ojcem, a on machnie swoją czarodziejską różdżką. Jest przecież świetnym adwokatem. Hannah wyda Franka i uniknie więzienia; może nawet dostanie nagrodę.

To się nie trzymało kupy.

Co będzie, jeżeli do spotkania dojdzie gdzieś, indziej, nie za oceanem? Wpadnie po uszy w kłopoty, głębiej niż teraz. Poza tym jakie miała szansę, że interwencja ojca naprawdę coś załatwi? Oczekiwała tego jak mała rozpieszczona dziewczynka, ukochana córeczka, która zawsze wierzyła, że tatuś wszystkim się zajmie. Prawda wyglądała inaczej: w jej sytuacji nawet tatuś będzie bezradny.

Najlepiej by zrobiła, wychodząc z pokoju od razu, w tej chwili, kiedy James udawał, że śpi. Pojechałaby prosto do ambasady. W ten sposób przynajmniej okazałaby dobrą wolę.

Nie ruszyła się z miejsca.

Podświadomie chciała dostać tę książkę i zatrzymać ją dla siebie.

James nie rozstawał się z książką ani na moment. Trzymał ją w tej cholerniej torbie, którą zawsze miał na kolanach, na ramieniu, pod ręką albo – tak jak w tej chwili – pod głową.

Czy o to właśnie chodziło? Może mając książkę, mogłaby liczyć na łagodniejsze potraktowanie przez sąd?

A może chciała dostać książkę z zupełnie innych powodów? Była cenna; wszyscy chcieli ją mieć. Ludzie dosłownie zabijali się o nią,

Bo to właśnie się stało. Nie mogła dłużej chować głowy w piasek i udawać, że nie dostrzega faktów. James na przedmieściu Stambułu zamordował całą rodzinę, w tym dwie małe dziewczynki, umalowane na podobieństwo Hannah. Ją samą też zaatakował. Potrafił być delikatny, uprzejmy i szarmancki, umiał zamówić dobre wino, ale nie wahał się użyć przemocy. Co taki człowiek robi z tajemnicą zapisaną w książce? Na pewno nic dobrego.

Stany Zjednoczone mają wielu wrogów, a ci chętnie położą łapę na sekrecie, który mógłby zachwiać równowagą sił na świecie. Czy naprawdę przesadą byłoby uznać, że właśnie dlatego nie uciekła? Że chciała zrobić coś dla dobra kraju? Jakkolwiek by na to patrzeć, ojczyzna dobrze ją traktowała – a Hannah odpłaciła jej egoizmem i, nie wnikając w szczegóły, przestępstwem.

Patriotka Hannah Gray.

Gdyby nie udawała, że śpi, zaśmiałyby się głośno. Jej ojciec powiedziałby, że to bzdet najwyższej próby. Jeżeli spróbuje zabrać Jamesowi książkę, robi to wyłącznie z egoistycznych pobudek. Odzyskanie bezcennego sekretu wojskowego może jej bardzo pomóc, kiedy poprosi sąd o łagodne potraktowanie.

Odruchowo podrapała się po bliznach na nadgarstku. Tak, nic dodać, nic ująć. Egoizm. Nie było sensu udawać, że jest inaczej. Jak to powiedział Samuel Johnson: „Patriotyzm to ostatnia wymówka łotra”.

Mniejsza o powody – w grę wchodziły egoizm, patriotyzm i głupota. Dlatego wciąż leżała na tapczanie.

Czy blef się uda? Wpatrzona w siateczkę pęknięć próbowała dobrać słowa, których użyje w porannej rozmowie.

Powie, że formuła opisuje konstrukcję płatowca napędzanego

naddźwiękowym silnikiem strumieniowym. Powietrze przepływa przez silnik z prędkością ponaddźwiękową...

Żadne z nich nie jest naukowcem, więc nie ma sensu wchodzić w szczegóły. Próbowwała odtworzyć w pamięci scenę w poczekalni, gdy przeglądała artykuł; miała wrażenie, że słyszy, jak Frank złorzeczy na recepcjonistkę. W skrócie chodziło o to, że nowy odrzutowiec będzie pobierał tlen prosto z atmosfery. Cały samolot jest jednym wielkim silnikiem; powietrze wpada przez wlot na dziobie, a rufa pełni funkcję dyszy...

No tak, ale nie mogła za dużo mu powiedzieć, bo jeśli dojdzie do wniosku, że nie jest mu już potrzebna... Kto wie, co wtedy zrobi.

A może w jakimś momencie uspi jego czujność, choćby na krótką chwilę, i będzie mogła wykraść książkę.

Hannah Gray, patriotka. Teraz już ta idea wydawała się jej nieco mniej idiotyczna.

Co jest w książce? Nie miała pojęcia, ale cokolwiek by to było, będzie należeć do niej.

ROZDZIAŁ 17

– Oj! – jęknął Henri Jansen.

– Nie bądź dzieckiem – prychnęła Madeleine, mocniej wciskając mu łokcie w plecy.

Henri zacisnął zęby. Masaż pasywno-aktywny; połączenie shiatsu i nadziewania na rożen. Znosił go bohatersko jeszcze przez trzydzieści sekund, a potem przetoczył się na plecy i przyciągnął Madeleine do siebie, żeby ją pocałować.

Musnęła wargami jego usta, wstała i poszła do łazienki.

Nie wiedział dlaczego, ale od wczoraj Madeleine była wyraźnie zła na niego. A może na siebie albo na męża? W każdym razie Henriemu wcale się to nie podobało. Niech żonaci znoszą kobiece humory – on nie musi. Właśnie dlatego się nie ożenił.

Maleńki skorpion – wielkości paznokcia kciuka – maszerował po łóżku. Henri rzucił go na podłogę i rozgniół bosą piętą.

Madeleine wróciła do sypialni, ale nawet nie raczyła na niego spojrzeć.

– Jestem głodna – powiedziała, stając przy oknie, odwrócona plecami do Henriego.

– Zjedzmy coś – zaproponował.

– W domu nie ma nic do jedzenia.

– Ależ jest, wczoraj zrobiłem zakupy.

– Mam ochotę popływać.

– No to popływajmy.

– Napiłabym się czegoś.

– Więc...

Odwróciła się od okna i spiorunowała go wzrokiem.

– Posuwasz Isabellę DiMeglio – powiedziała. – Mam rację?

Zapadło milczenie. Henri nie bez trudu wytrzymał jej spojrzenie.

– Madeleine... – zaczął ugodowo.

– Słucham.

– Nie zadawaj pytań, na które nie chcesz znać odpowiedzi.

– Nie cierpię, kiedy tak mówisz.

– Przykro mi, ale...

– Mniejsza z tym. – Znów wyjrzała przez okno. – Napijmy się.

Przyniósł z piwnicy jedną z ostatnich butelek merlota, otworzył ją srebrnym korkociągiem i zaniósł razem z dwoma kieliszkami na brzeg basenu. Madeleine stała nad basenem naga, patrząc na ciągnące się dalej pola.

Wciąż była nie w humorze, kiedy nalewał wina. Pomyślał, że teraz porozmawiają jak mąż z żoną. Madeleine miała odpowiedni nastrój; była zazdrosna i chciała, – żeby ją uspokoił. Henri nie miał na to najmniejszej ochoty.

Nalał wina i czekał na jej atak.

– Mój mąż wspomniał dziś o tobie – stwierdziła niezobowiązująco Madeleine.

Nie odwróciła się do niego. Na wschód od domu ciągnęły się liliowe pola lawendy, dalej wznosiły się skaliste wzgórza, porośnięte złocistymi krzewami. Za plecami Henriego i Madeleine w wysokich oknach odbijał się blask zachodzącego słońca.

– Tak?

– Chciał, żebyś mu załatwił trochę koki. Powiedziałam, że już się tym nie zajmujesz, ale kazał, żebym cię poprosiła.

– Nie zajmuję się tym – potwierdził Henri.

– Tak mu powiedziałam, ale nie chciał tego słuchać. Prosił, żebyś do niego zajrzał.

– To strata czasu.

– Lepiej wpadnij. Przyjaźni się z różnymi ważniakami; jego znajomości mogą ci się przydać. Może i ty kogoś poznasz.

Henri napił się wina i usiadł w fotelu.

– Jak chcesz – powiedział bez przekonania.

Usiadła obok niego, wzięła do ręki swój kieliszek i uśmiechnęła się czule. Kompletnie go zmyliła tym uśmiechem: przed chwilą chodziła wściekła jak osa – i to właściwie bez powodu, bo co jej do tego, czy on się spotyka z innymi kobietami, czy nie? – a teraz zrobiła się słodka jak miód. Henri Jansen doszedł do wniosku, że do końca życia nie zrozumie kobiet, ich sposobu myślenia i zachowania.

Chwilę później wątpliwości się rozwiały. Madeleine zakochała się w nim, to było jasne jak słońce. Właściwie dlatego nagle przestała się złościć.

Ta myśl go zaniepokoiła. Źle by było mieć jej męża za wroga. Ludzie, których Ismaïłow nie lubił, znikali.

Henri był jednak pewien, że Sęp nie wie, co ich naprawdę łączy – i nie powinien się dowiedzieć, chyba że Madeleine zrobi coś głupiego. Do tej pory nie musiał się tego obawiać; Madeleine nie jest idiotką. Skoro się jednak zakochała...

– Kocham cię – powiedziała nagle.

Henri nie dał nic po sobie poznać, ale miał ochotę zacisnąć zęby.

– Wiesz o tym, prawda? Zakochałam się w tobie.

– Madeleine...

– Tak?

– Nie dajmy się ponieść emocjom.

– Słusznie.

– Jesteś mężatką, a ja...

Zawiesił głos. Madeleine parsknęła śmiechem.

– Upijmy się – zaproponowała.

– Dobrze.

– Chcesz usłyszeć o mojej dzisiejszej wycieczce? O spotkaniu ze słynnym amerykańskim bandziorem i saudyjskim księciem?

– Chętnie.

– Tylko najpierw mnie spij, bo inaczej będzie mi smutno, kiedy pomyślę, jak

spędziłam dzień, podczas gdy ty...

- Byłem na spacerze.
- I przeleciałeś Isabelle DiMeglio?
- Byłem na spacerze. Sam.
- Kiedy ostatnio się z nią widziałeś?

Henri nie odpowiedział.

- Nieważne. – Madeleine otarła łzę z kącika oka i podniosła kieliszek. –

Wiesz, tak naprawdę nic a nic mnie to nie obchodzi.

Madeleine była bardzo pijana.

– Żałuj, że nie widziałeś jego nosa – zachichotała. – Ma taki wielki żydowski nochal. Arab z żydowskim kinolem.

Henri się uśmiechnął.

– Oni są wszyscy tacy sami, wiesz? Arabowie, Żydzi... To jest właśnie najśmieszniejsze.

- Rzeczywiście, to zabawne.

- Aten książę...

Madeleine drżącą ręką dołała sobie wina z drugiej butelki; pierwsza leżała na betonie przy brzegu basenu.

- Ten saudyjski książę jest podejrzanym.

- Podejrzanym?

- No wiesz, Ben Laden. – Aha.

– Mój mąż mówi, że on pierze pieniądze dla Ben Ladena. Wszystko mi wytłumaczył. Raje podatkowe... Na jakiejś małej karaibskiej wysepce zakłada się firmę, która jest przykrywką... Tak je nazywają: przykrywki...

Henri sięgnął po butelkę.

– Albo na Nauru. To na Pacyfiku. Nauru ma dwunastu obywateli i czterysta banków.

- Mąż ci tak powiedział?

– Ale naprawdę duże pieniądze przechodzą przez duże miasta: Londyn, Nowy Jork, Paryż, Tokio. No i oczywiście przez Szwajcarię. W dużym mieście łatwiej zatrzeć ślady. Forsa z diamentów i innych skarbów płynie prosto do Al Kaidy...

Madeleine umilkła, jakby jakaś myśl szczególnie ją zafrapowała.

- Jestem głodna – stwierdziła.

Henri wstał z fotela, zachwiał się na nogach, złapał równowagę i poszedł w stronę domu. Potknął się jeszcze na wykładanym kamieniami patio i wszedł do pogrążonej w mroku kuchni. Pachniało w niej dojrzałym serem i owocami. Położył na tacy pieczywo, brie i kielbasę i wrócił nad basen.

Madeleine zniknęła.

Henri zatrzymał się i rozejrzał: basen, winnica, pola lawendy, domki dla gości, zachodzące słońce. Madeleine nie było nigdzie widać.

Spojrzał w stronę basenu – i nagle wszystko stało się jasne. Utopiła się.

Natychmiast wytrzeźwiał.

Utopiła się po części celowo – pomyślała o samobójstwie, kiedy spotkał ją zawód miłosny – a po części przypadkiem, po pijanemu. Kiedy podejdzie bliżej, zobaczy na dnie jej zwłoki, zatopione jak jakiś niezwykły podwodny skarb.

Co wtedy?

Zgłosi jej śmierć policji, to oczywiste. Przyjedzie policja, a mąż Madeleine dopilnuje, żeby Henri nigdy więcej nie otrzymał propozycji pilnowania niczyjego domu. A jeśli nawet nie, to Księżniczka weźmie sprawę w swoje ręce. Przecież Henri zepsuł jej reputację.

Może się nie skończyć na ostracyzmie. Władimir Ismaïłow był przecież groźnym człowiekiem. Może za rok, dwa lata znajdą gdzieś w jakimś basenie nabrzmiałe ciało Henriego ze zmiążdżoną czaszką...

Woda bryznięła na wszystkie strony. Madeleine wynurzyła się i bokiem, niezdarnie podpłynęła do brzegu. Henri odetchnął z ulgą.

Staął nad basenem i postawił tacę na ziemi. Miał trzydzieści cztery lata, a przed chwilą czuł się jak siedemdziesięcioletek. Omal nie zemdleł.

– Chodź! – zawołała Madeleine. – Tu jest cudownie.

– „wyjdź z wody. Jesteś pijana.

Wyszła z basenu i przytuliła się naga do niego. Pocałowali się.

– Kocham cię – powiedziała, wtulając twarz w jego szyję. – Kocham cię, Henri.

Nie, jednak nie zemdleje. Uspokoił się. Niewiele brakowało, ale teraz już sytuacja została już opanowana.

Mój Boże, naprawdę powinien z tym skończyć.

ROZDZIAŁ 18

Ledwie Keyes zamknął za sobą drzwi, poczuł, że coś tu śmierdzi.

Nie w sensie dosłownym – mieszkanie było utrzymane w idealnej czystości, a w powietrzu unosiła się jodynie słaba woń olejku lawendowego. A jednak coś było nie tak.

Westchnął ciężko, zmęczony po locie do Chicago. Noga bolała go jak diabli. Powinien odpocząć i coś zjeść, ale skoro już tu był... Odłożył torbę, z którą przyszedł, oparł się mocniej na lasce i zaczął rewizję.

Całe wnętrze sprawiało wrażenie, jakby czas się tu zatrzymał: jedzenie i picie czekało w miseczkach na koty światła były podłączone do timera, na podłodze pod drzwiami zebrał się pięciodniowy stosik gazet A zatem, pomyślał Keyes, właścicielka wyjechała na wycieczkę. Na blacie w kuchni znalazł olejek do opalania, czapkę z daszkiem i klapki. Jeżeli wyjechała do Grecji, to dlaczego ich nie zabrała?

Wystarczyło pobieżnie rozejrzeć się po mieszkaniu, żeby dojść do wniosku, iż należy ono bynajmniej nie do samotnej kobiety. W sypialni Keyes znalazł olbrzymie łóżko i inne stare meble z drewna orzechowego. Obok znajdował się pokój dziecienny, a w nim mak łóżeczko, sterta pluszowych zwierzaków i szafka pełna zabawek. W jadalni przy stole ze szklanym blatem stały cztery krzesła. Na jednym z nich ustawiono różowy plastikowy stołeczek. W ostatnim pokoju mieścił się gabinet – pod ścianami stały regały pełne książek, a na środku masywne mahoniowe biurko z komputerem. Z okna roztaczał się godny pozazdrosczenia widok na jezioro Michigan.

W dolnej szufladzie biurka znalazł ogniotrwałą skrzyneczkę, a w niej trzy akty urodzenia: Orega Gordona, Victorii Ludlow i Margaret Ludlow Gordon. W środku nie było paszportów, co zdawało się potwierdzać jego teorię: właściciele mieszkania faktycznie gdzieś wyjechali.

Ale raczej nie do Grecji. Nie zostawiliby olejku do opalania, czapki z daszkiem i kłapek.

Keyes oparł łaskę o ścianę, usiadł przy biurku i włączył komputer. Znalazł służbowe e-maile Grega Gordona, adresowane do kancelarii prawniczej w centrum Chicago. Większość z nich dotyczyła spodziewanej fuzji dwóch brytyjskich

wydawnictw. W komputerze były też listy Victorii Ludlow – wyglądało na to, że prowadzi firmę obsługującą przyjęcia – do przyjaciół. A miała wielu przyjaciół. Keyes przejrzał ich listę, ale nie znalazł nic ciekawego.

Jego uwagę przyciągnął kalendarz stojący obok komputera. Wyglądało na to, że kobieta (mimo że musiała się opiekować dzieckiem) prawie codziennie umawiała się z kimś na lunch: spotkania zajmowały jej większość popołudni” od pierwszej do czwartej. W porównaniu z nią Rachel była jak święta: bez słowa skargi porzuciła karierę, kiedy urodził się Jeremy. Przez pierwszy rok ani na chwilę nie spuszczała go z oka.

Odsunął od siebie tę myśl i wrócił do przeglądania kalendarza.

Kilka kolejnych pól było połączonych ciągłą linią, która zaczynała się pięć dni temu, a kończyła w następnym tygodniu. W terminie rejsu. Czyli naprawdę zamierzali lecieć do Grecji, co potwierdzały porzucone na blacie drobiazgi. Potem jednak zmienili plany. Dokąd się wybrali? I kim była kobieta na statku, jeśli nie Victorią Ludlow?

W komputerze ani w kalendarzu nie było najmniejszej wzmianki o Stevenie Epsteinie, Francisie Dietzu ani ADS; nic, co by wskazywało na związki z fizykami z zagranicy. Poza dokumentami dotyczącymi dwóch brytyjskich wydawnictw nie było w ogóle żadnych śladów kontaktów międzynarodowych.

Mimo wszystko postanowił zainstalować program monitorujący, który miał ponad sto razy na minutę kopiować zawartość ekranu i – przy każdym połączeniu z Internetem – dyskretnie przesyłać dane do ADS. Będzie można na bieżąco kontrolować, co się dzieje na tym komputerze.

Przez chwilę patrzył, jak postępuje instalacja, a potem sięgnął po laskę i wrócił do poszukiwań.

Doszedł do wniosku, że mieszkanie nie było wcale przykrywką; naprawdę mieszkali w nim ludzie – najprawdopodobniej mąż i żona, których akty urodzenia znalazł w skrytce. Na półce w gabinecie stał album ze zdjęciami ze ślubu i pierwszych dni życia dziecka. W lodówce Keyes znalazł tofu, wodę mineralną, sałatkę z ryżu, mleko i jajka, krojone owoce w pojemnikach i puszki z najlepszym jedzeniem dla kotów.

Obejrzał to wszystko i skrzywił się ironicznie. Ci ludzie nie mieli pojęcia, co to znaczy ciężkie życie. Wydawało im się, że dopóki zachowują się przyzwoicie, dopóty los będzie im sprzyjał. Nie rozumieli, w jak kruchym domu przyszło im żyć. W domku z kart.

Zamknął lodówkę.

Zadzwoił do Daisy, do Vermont i poprosił o wykaz rozmów telefonicznych z tego mieszkania. Kazała mu chwilę zaczekać.

Wrócił po zostawioną przy drzwiach torbę i wyjął z niej zestaw do zdejmowania odcisków palców. W nieskazitelnie czystym mieszkaniu musiał poszukać odcisków niewidocznych na pierwszy rzut oka. Na kranie w łazience znalazł bardzo ładne okazy, z wyrazistymi liniami. Spryskał je ninhydryną i zdjął na taśmę.

Daisy oddzwoniła i podała mu sześć nazwisk odbiorców ostatnich dziesięciu telefonów. Dwie osoby były z Chicago, pozostałe z San Francisco, Atlanty i Londynu. Keyes zapisał je w notesie leżącym obok telefonu, po czym wyrwał z niego dwie kartki: tę, na której pisał, i tę spod spodu.

Zakończyła się instalacja programu monitorującego, Wyjął dyskietkę z komputera i jeszcze raz przejrzał spis adresatów poczty elektronicznej w poszukiwaniu nazwisk z Chicago. Znalazł małżeństwo Fielding oraz niejaką Hannah Gray.

Szybko ustalili, że pani Fielding jest siostrą, a pan Fielding – szwagrem

Victorii Ludlow; Hannah Gray była jej przyjaciółką. Opisywała w e-mailach zerwanie z mężczyzną imieniem Frank. Sądząc po odpowiedziach Victorii – stylu „na świecie jest mnóstwo facetów, a ty masz jeszcze czas” – Hannah Gray musiała być dość młoda.

Młoda kobieta.

Samotna młoda kobieta.

Wrócił do e-maila, na który za pierwszym razem tylko pobieżnie rzucił okiem. Z listu z kancelarii, adresowanego do Grega Gordona, wynikało, że będzie on musiał polecieć do Londynu, żeby na miejscu nadzorować fuzję wydawnictw.

Może tak właśnie się stało? Bilety na rejs nagle stały się niepotrzebne. Być może Victoria Ludlow zaproponowała je swojej młodej, nieoczekiwanej osamotnionej przyjaciółce, żeby doszła do siebie po rozstaniu z Frankiem.

Hannah Gray mieszkała niespełna kilometr stąd.

Keyes wyłączył komputer, sprawdził, czy nie zostawił śladów, i wyszedł.

Poszedł pieszo.

Nie on jeden wybrał się na popołudniowy spacer nad jeziorem – i nie on jeden szedł o lasce. W okolicy mieszkało tyle samo starszków, co młodych, zamożnych ludzi. Keyes pasował idealnie.

Począł pod domem Hannah Gray na większą grupę ludzi i wszedł do środka z sześcioma innymi osobami. Portier w płaszczu z mosiężnymi guzikami siedział za biurkiem zawalonym książkami. Skinął mieszkańcom głową i wrócił do rozłożonej na kolanach krzyżówki.

Mieszkanie Hannah Gray mieściło się na czwartym piętrze. Nikt nie zadbał o to, żeby na czas jej nieobecności wstrzymać dostarczanie gazet, które piętrzyły się wysoką stertą pod drzwiami. Keyes nacisnął klamkę. Zamknięte. Odstawił laskę i sięgnął do swojej czarodziejskiej torby.

Elektromechaniczny wytrych przypominał miniaturową wiertarkę. Keyes zamontował w nim stalową igłę i wsunął ją do zamka. Nacisnął spust. Zawibrował silniczek wytrychu, bolce wskoczyły na swoje miejsca i zamek otworzył się z cichym szcęknięciem.

Keyes wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Znalazł się w kolejnym pustym mieszkaniu, którego właścicielka wyjechała na urlop. Zaczął od pobieżnych oględzin. W garderobie dominowały buty Prądy i torebki od Hermesa. W łazience znalazł chińskie mydło różane, słoiczki z potpourri, propolis i pastę do zębów z dodatkiem mirry. Następni ludzie, którym się wydaje, że jeśli będą kupować właściwe towary i żyć w przepisowy sposób, czeka ich nagroda.

Zdjął odciski palców. Wrócił do salonu i obejrzał fotografie stojące w rzędzie na etażerze. Rozpoznał kobietę z bazaru: na jednym zdjęciu błaznowała z inną kobietą, na innym z uśmiechem odbierała dyplom ukończenia studiów, dalej stała obok starszego mężczyzny, który mógłby być jej ojcem. Kiedy się jej przyglądał, jego twarz przybrała na chwilę ten sam beznamiętny wyraz, co na widok tablicy w windzie w ADS.

Wziął zdjęcie z rozdania dyplomów, wyjął je z ramki i ruszył dalej.

W sypialni, obok łóżka nakrytego różową koronkową narzutą, stało biurko z komputerem. Włączył go. Zaszumiał wentylator i na ekranie wyświetlił się komunikat o błędzie. Twardy dysk został na nowo sformatowany. Ktoś próbował zatrzeć ślady.

Keyes wyłączył komputer. Pomyślał, że warto byłoby zabrać komputer do Vermont, żeby spece z ADS spróbowali z niego coś wyciągnąć.

Stał nad automatyczną sekretarką. Na wyświetlaczu migąca cyferka. Odsłuchiwał wiadomości. Pierwszą nagrał automat telemarketingowy: proponował

nowy plan taryfowy. Druga pochodziła od Franka, byłego faceta Hannah; skarżył się, że Hannah się nie odzywa, więc dzwoni, żeby sprawdzić, co się dzieje. Czy to złudzenie, czy też w tonie Franka zabrzmiała jakaś niepewna, nerwowa nuta? Chyba coś było nie tak, ale do niedawna byli przecież razem. Na pewno nadal sporo ich łączyło. Nie było sensu szukać dziury w całym.

Kiedy usłyszał trzecie nagranie, serce żywiej mu zabiło.

– Cześć, Hannah, kochana. To ja. Mieszkamy w Savoyu. Jest kapitalnie. Greg sobie świetnie radzi; jesteśmy z niego bardzo dumne. A Maggie bawi się jak nigdy w życiu. Wiem, że rejs jeszcze trwa, ale chciałam mieć pewność, że zadzwonisz zaraz po powrocie. Nie mogę się już doczekać, kiedy mi wszystko opowiesz. Wracam z Maggie piętnastego. Do usłyszenia. Trzymaj się.

Dwa razy odsłuchiwał wiadomość. Wyjął kasetę, obrócił ją w zadumie w palcach i schował do kieszeni, w której miał już zdjęcie.

Sześć godzin później siedział u siebie w biurze i wpatrywał się w telefon, próbując siłą woli zmusić go, żeby zadzwonił.

Na razie nie mógł nic więcej zrobić. Czterech agentów DIA miało na oku znajomych Dietza w Nowym Jorku; więcej ludzi nie mógł ściągnąć, nie budząc podejrzeń. Casper sprawdzał tę Hannah Gray, szukając jakiegoś punktu zaczepienia. Leonard czekał na rozkazy w Stambule. W tej chwili Keyes mógł tylko czekać.

Co chwila łapał się na tym, że sięga po słuchawkę, żeby zadzwonić do Rachel. Chciałby... Co by chciał? Błagać, żeby dała mu drugą szansę? To żałosne. Tonący brzytwy się chwyta, ale Keyes jeszcze nie zamierzał tonąć. Chociaż był wrakiem człowieka. Oparta o ścianę laska dobitnie to ilustrowała. Miał nadzieję, że jeśli osiągną jakieś wyniki, laska przestanie go tak kłuć w oczy.

Jeżeli czegoś się dowie, to może – mimo chwilowego kalectwa – odnajdzie w sobie ukryte pokłady siły. Kulawy nie znaczy słaby. Hefajstos, bóg kowalstwa, też był kulawy – przez Zeusa, który strącił go z Olimpu na ziemię. Hefajstos nigdy już nie mógł normalnie chodzić, a mimo to stał się potężnym bogiem. W swojej olbrzymiej kuźni robił okowy, które opierały się nawet mocy nieśmiertelnych; wykuwał pioruny dla samego Zeusa. Był bóstwem niszycielskiego ognia. Przewyciężył kalectwo.

Ciekawe, co by wykuł, żeby zniszczyć szczerzego króla. Ostry jak brzytwa miecz? Olbrzymi młot? Na pewno nie siedziałby z założonymi rękami w obliczu ohydneho przeciwnika. Jednym ciosem przeciąłby ten makabryczny węzeł gordyjski...

Zaczynał tracić rozum.

Dlaczego ten cholerny telefon nie dzwoni?

Wpatrywał się w aparat, który milczał jak zaklęty.

Czekanie było najgorsze.

Zaczął się bawić ołówkiem. Znowu naszła go ochota, żeby zadzwonić do Rachel. Jeżeli w najbliższej przyszłości nie będzie miał się na kim oprzeć, pęknie. Przekroczy punkt, za którym nie ma odwrotu. Żaden człowiek nie może poradzić sobie z takim stresem w pojedynkę.

Jeżeli w ciągu doby nie będzie żadnych rezultatów, podda się. Odwoła robotę i opowie o wszystkim Dickowi Biermanowi. A potem... Telefon zadzwonił.

Dzwonił David Brown, jeden z agentów DIA, obserwujących znajomych Dietza z czasów operacji „Zaloty”. Był w dwuosobowym zespole, przydzielonym do inwigilacji Andrieja Jurczenki. A Jurczenko właśnie odbył bardzo ciekawą rozmowę telefoniczną...

Keyes pochylił się nad aparatem.

– Słucham?

– Mamy coś – powiedział Brown.
Ołówek w rękach Keyesa z trzaskiem pękł na pół.

CZEŚĆ 3

ROZDZIAŁ 19

Ruch panujący na dworcu Haydarpasa oszołomił Leonarda.

Tłum roił się pod witrażowymi oknami, kartuszami z motywami roślinnymi i na podestach schodów. W powietrzu wyczuwało się niemal namacalne napięcie – Zapewne dzięki aktualnej sytuacji na Bliskim Wschodzie, jak przypuszczał Leonard. Haydarpasa to wschodnie wrota Stambułu; podróżni wyjeżdżający z miasta na zachód udawali się na dworzec Sirkeci, po drugiej stronie Bosforu. Ludzie, którzy otaczali Leonarda, jechali więc wprost do gniazda szerszeni. Nie dziwnego, że byli podenerwowani.

Przecisnął się pod ścianę i oparty o nią plecami obserwował tłum.

Dietz z kobietą mogli być na dworcu, ale nigdzie ich nie widział.

Na pewno tu byli. Zauważył, jak wsiadali na prom łączący Besiktas z Haydarpasa. Może powinien działać od razu: wsiąść z nimi na prom i zaatakować. Wątpliwe jednak, czy coś by to dało. *Gdyby* zrobiło się zamieszanie, nie miałby dokąd uciec. Jeśli nawet poradziłby sobie z Dietzem – w co też wątpił – znalazłby się na promie jak w pułapce, otoczony tubylcami, z krwią na rękach.

Począł więc piętnaście minut i wsiadł na następny prom. Teraz wyrzucał sobie tę decyzję. Jeśli wierzyć Keyesowi, który musiał zadzwonić akurat w momencie, kiedy Leonard się golił (zwykła ironia losu, biorąc pod uwagę, że wystarczyło mu się golić raz w tygodniu; na dźwięk dzwonka drgnęła mu ręka i zaciął się w szyję), w Stambule mieli ostatnią szansę, by wpaść na trop Dietza. Może czekając na prom, Leonard właśnie ją przegapił.

Keyes przez telefon sprawiał wrażenie bardzo zdenerwowanego. Właściwie trudno mu się dziwić – siedział w biurze w Vermont przy trzech telefonach i patrzył, jak uciekają bezcenne sekundy. Zgodnie z przewidywaniami Dietz skontaktował się z jednym ze swoich dawnych nowojorskich znajomych. Ten z kolei – niejaki Jurczenko – wskazał mu potencjalnego kupca wykradzonego sekretu, nie podał jednak nazwiska, tylko pseudonim: Sęp. Keyes został z pustymi rękami, jeśli nie liczyć zamiaru na Dietza, do którego udało się dotrzeć dzięki tej rozmowie.

Wiedzieli już, z którego hotelu dzwonił Dietz. Keyes natychmiast skontaktował się z Leonardem: kazał mu się tam przenieść i mieć Dietza na oku.

Ostatnia okazja. Jeżeli teraz Dietz im się wymknie, zniknie w jakimś ogarniętym wojną zakątku świata, gdzie nie sposób będzie go śledzić.

Nie, Leonard nie pozwoli mu tak łatwo uciec.

Delikatnie dotknął skaleczenia na szyi.

Obserwował tłum wygłodniałymi oczami, zerkając spod daszka baseballom ki.

Najważniejsze było wycucie czasu.

Dietz zdawał sobie z tego sprawę. Po rozmowie z Jurczenką zeszli do czekającej na dole taksówki, ale wyglądało na to, że Keyes się spóźnił. Nikt na nich nie czekał pod hotelem. Pod zmyślnym pretekstem Dietz wrócił do holu i wyglądał przez okno, czekając na odpowiednią chwilę. W końcu zauważył Leonarda. Wybiegł

i wskoczył do taksówki. Nie miał chwili do stracenia... Pewien już, że Keyes kazał go śledzić, kazał się wieźć na dworzec Haydarpasa.

Teraz znów czas zaczął się liczyć. Jeżeli powinie mu się noga i ktoś zauważy, jak likwiduje Leonarda, będzie miał do czynienia z policją. Tego by tylko brakowało.

Stali z kobietą w okrągłym pomieszczeniu w południowo-wschodniej baszcie budynku dworcowego. Dietz przyglądał się tłumowi. W ciżbie ubranych na zachodnią modłę podróżnych jeden amerykański chłopiec nie mógł się specjalnie wyróżniać, ale Leonard na pewno też ich szukał. Musiał być w ruchu; w końcu się pojawił.

Cierpliwości.

Trzymając rękę w torbie, ścisnął „usypiacza psów”.

Najważniejsze jest wycucie czasu.

Spiker zapowiedział odjazd pociągu.

Tłum zafalował i rozwarstwił się. Leonard odsunął się od ściany, wodząc wzrokiem po ludziach. Czy gdzieś wśród nich był Dietz z kobietą?

Pociąg jechał na południe; Leonard spodziewał się, że Dietz pojedzie raczej na wschód, bo nie ulegało wątpliwości, że jego kupiec jest Arabem. Rosjanie byli ostatnio za słabi i zbyt rozproszeni, mogli tylko pośredniczyć w transakcji z tym, *kto* zapłaci najwięcej. A najwięcej płacili Arabowie.

Dietz był jednak mistrzem podstępu. Mógł z początku pojechać na południe, zmylić pogoń i dopiero później skrócić na wschód. Wystarczyło sobie przypomnieć, jak oszukał Leonarda, jak udawał, że łączy ich jakaś wyjątkowa więź.

Może Leonard po prostu zbyt dużo oczekiwał od Dietza. Po raz pierwszy odkąd pamiętał – może w ogóle po raz pierwszy w życiu – znalazł człowieka, który nadawał na tych samych falach. Nawet inne dziwadła cyrkowe nie przepadały za Leonardem. Dziewczyna-krokodyl i chłopiec-żaba – ona chora na ichtioz, on z zespołem Ehlersa-Danlosa – zmówili się przeciwko niemu. Czarne owce też potrzebują własnych czarnych owiec. Każdy pogardzany człowiek znajdował kogoś, kto stał na społecznej drabinie niżej od niego, żeby mieć kim pomiatać.

Wydawało mu się, że Dietz jest inny.

Mylił się.

Zagłębił się w tłum. Dotknął zatkniętej za pasek rurki z garotą. Przy odrobinie szczęścia znajdzie Dietza. Będzie go śledził i zamelduje o wszystkim Keyesowi. Jeśli jednak Dietz też go zobaczy, będzie musiał się bronić. Nawet ucieszył się na myśl o tym – mógłby się zemścić za niedawną zdradę.

Tłum się rozpierchnął. Leonard został sam na środku sali. Na widoku. Natychmiast się wycofał i stanął pod ścianą.

Dotknął skaleczenia na szyi. Po telefonie od Keyesa tak się spieszył, że nie zdążył nawet przykleić do ranki kawałka papieru toaletowego.

Krwawiła.

Dietz go zobaczył – a właściwie zobaczył daszek jego czapki.

Leonard zaraz zniknął w tłumie, ale kiedy już się raz pokazał, Dietz wiedział, gdzie go szukać. Teraz musiał tylko wykonać wyrok.

Należało jednak uważać, żeby nie ściągnąć na siebie uwagi miejscowych.

Odwrócił się do stojącej przy nim kobiety.

– Wyjdź na środek sali – powiedział. – Pokaż się, a potem wróć tutaj. Idź powoli, nie spiesz się.

Nie była głupia. Rozumiała, że chce jej użyć jako przynęty, ale zdawała sobie sprawę, że jadana jednym wózku. Po chwili wahania skinęła głową i wyszła niespiesznie na środek hali dworcowej.

Dietz odprowadził ją wzrokiem i zaczął się przemieszczać w przeciwnym kierunku, żeby zejść Leonarda od tyłu.

Leonard nie powinien mu sprawić kłopotu, gdy kobieta odwróci jego uwagę. Długie lata w szpiegowskim fachu nauczyły jednak Dietza nie lekceważyć przeciwnika, a Leonard wbrew pozorom mógł być groźny. Szkoda, że spotkali się w takich okolicznościach. Sporo ich łączyło. Może gdyby sprawy potoczyły się inaczej...

Ale nie potoczyły się i każdy mógł liczyć tylko na siebie. Martwy Leonard będzie swego rodzaju sygnałem dla Keyesa. Zwodniczym sygnałem, bo kiedy Keyes dowie się, że zwłoki Leonarda znaleziono na Haydarpasa, pomyśli, że pojechali na wschód.

Oni zaś pojadana zachód, na spotkanie z Sępem.

Znów mignął mu Leonard: stał oparty o ścianę i wodził wzrokiem po sali.

Tak, nie można lekceważyć tego człowieka. Dopóki stał pod ścianą, dopóty nie da się zejść go od tyłu – ale Dietz też miał w zanadru pewną sztuczkę.

Stanął za kolumną pięć metrów od Leonarda i czekał.

Lada chwila Leonard zauważy kobietę. Zawaha się, bo wolałby się nie oddalać od ściany, ale w końcu pójdzie za nią. Nie będzie miał wyboru. Musi podjąć trop. Nie oprze się przynęcie.

Dietz odbezpieczył pistolet.

Lada moment...

Leonard ją zobaczył.

I przez chwilę – tak jak przewidywał Dietz – nie wiedział, co robić.

Ruszył do przodu.

Szkoda, wielka szkoda. W innych okolicznościach dobrze by się im współpracowało. Ale takie już jest życie.

Przez głośniki zapowiedziano przyjazd pociągu. Na dworcu znowu się zakotłowało.

Leonard, który miał ledwie metr dwadzieścia wzrostu, zginął w tłumie.

Dietz wyszedł zza kolumny.

Leonard zobaczył kobietę.

Widział ją wcześniej dwukrotnie – w wieży w Sapienza i przy wyjściu z Four Seasons, z Dietzem. Teraz wyglądało na to, że jest sama. Szła powoli przez salę, rozglądając się na boki. Czyżby rozdzielili się z Dietzem? Czy też wystawił ją na przynętę?

Przynęta. Oczywiście że przynęta. Dietz nie był durniem.

Ale Leonard musiał jej pilnować. Nie miał wyboru.

Odsunął się od ściany, chociaż instynkt stanowczo go przed tym ostrzegwał. Z głośników popłynął jakiś komunikat i w hali zaroilo się od podróżnych. Leonard miał wrażenie, że znalazł się w samym środku rozdzielonego Morza Czerwonego, którego wody właśnie na powrót się łączą. Stracił kobietę z oczu.

Tuż przed nim dwoje ludzi witało się radośnie: kobieta, śmiejąc się, rzuciła się mężczyźnie na szyję, a on ją przytulił. Z lewej strony matka próbowała upilnować dzieci, żeby się nie rozchodziły. Leonard przepchnął się do przodu – i znów ją zobaczył: stała nieruchomo, oszołomiona nagłym zamieszaniem. Zawahał się. Jeżeli podejdzie bliżej, kobieta go zobaczy; jeśli nie ruszy się z miejsca, znów może ją zgubić.

Nagle zdał sobie sprawę, że ktoś zachodzi go od tyłu. Dziwnie się z tym czuł, bo za jego plecami przewalał się tłum podróżnych, ale ten ktoś do nich nie należał. To był ktoś inny.

Leonard sięgnął za pasek po garotę, ale już wiedział, że jest za późno. Coś chłodnego dotknęło go u nasady karku. Uczucie było całkiem miłe – jakby w gorący dzień ktoś przyłożył mu do skóry owiniętą w szmatkę kostkę lodu. Naprawdę nie było źle, jeśli miało to być jego ostatnie wrażenie zmysłowe w tym przeklętym życiu: mokra szmatka w gorący dzień.

Szarpał się z garotą, ale zaczepiła o pasek od szortów. Leonard omal się nie uśmiechnął. Takie już moje pieskie szczęście, pomyślał.

Pieskie od początku do końca.

Dietz strzelił.

ROZDZIAŁ 20

Z niewiadomych powodów włoski detektyw polubił Keyesa.

Kiedy Keyes wspomniał, że szuka zaginionego człowieka – trzydziestoletniego mężczyzny, które na skutek niedoczynności przysadki wygląda jak dwunastoletnie dziecko – Włoch chrząknął współczująco. Nie pytał, po co Keyesowi informacje o zaginionym ani czy wiążą się z poprzednim śledztwem.

– Sprawdzę to – powiedział tylko. – I oddzwonię do pana.

Keyes się zawahał. Kierunkowy 802 zdradziłby, że nie jest z Nowego Jorku, gdzie miejscowa policja miała numery zaczynające się od 212.

– Teraz wychodzę – powiedział. – Ale odezwę się do pana, powiedzmy... za godzinę.

Rozłączył się. Dlaczego ten Włoch tak bardzo idzie mu na rękę? To pewnie przez 11 września. W niektórych częściach świata nowojorscy gliniarze cieszyli się ogromnym szacunkiem. A może wszyscy Włosi są takim i dobrodusznymi ludźmi? Oczyma wyobraźni widział Jak detektyw popijając wino, przegląda dokumenty związane ze sprawą, przerywając co chwila, żeby gwizdnąć z podziwem na widok urodziwej Włoszki za oknem.

Mniejsza z tym. Wrócił do komputera, gdzie wcześniej uruchomił wyszukiwanie wszelkich wzmianek na temat człowieka o pseudonimie Sęp. Na razie nic z tego nie wynikło, ale to jeszcze nie powód do niepokoju. Lada moment powinien zadzwonić Brown z wiadomością, że Jurczenko został aresztowany. Rosjanin z pewnością pomoże im odkryć tożsamość Sępa.

Zadzwoił telefon.

– Keyes.

– Ptaszek uciekł z klatki – powiedział Brown.

Keyes ukrył głowę w dłoniach.

– Dwie minuty po telefonie wyszedł tylnym wyjściem – tłumaczył Brown. – Wygląda na to, że miał plan awaryjny.

– Plan awaryjny.

– Złapiemy go. Jest jeszcze...

Keyes przerwał połączenie.

Długą chwilę siedział nieruchomo. Więc do tego już doszło, że nie umieli nawet zatrzymać człowieka, którego – przynajmniej teoretycznie – wyprzedzali nie o krok, ale o dwa.

Czuł, jak wzbiera w nim złość. Żaden człowiek nie zniósłby takiej presji; był za słaby, żeby dźwigać takie brzemie. Wstrząsały nim wewnętrzne dreszcze. Czy w ogóle kiedyś kontrolował sytuację? Teraz widział, że nie. W ciągu całej swojej

pracy, w życiu rodzinnym; w obecnej sytuacji był tylko obserwatorem. Autostopowiczem. Czasem wydawało mu się, że trzyma wodze w rękach, ale ten koń nigdy naprawdę go nie słuchał.

Strach przeistoczył się w koszmarne potwora, którego nie mógł dłużej ignorować. Potwór chciał, żeby się poddał, dał sobie spokój...

Postanowił skoncentrować się na drobiazgach, żeby przestać o nim myśleć.

Przeszukał do końca bazę danych. Na próżno. Czy Sęp też był Rosjaninem? Czy po prostu człowiekiem, z którym Jurczenko zetknął się w swojej szpiegowskiej karierze?

Po godzinie sięgnął po telefon i zadzwonił do swojego włoskiego kolegi.

– Znalazłem pańskiego chłopca – oznajmił Włoch.

Keyes przygotował się na najgorsze.

Przed godziną znaleziono jego zwłoki na dworcu kolejowym Haydarpassa. Na środku głównej hali. Ktoś strzelił mu w głowę na oczach tłumy pasażerów. Nie wiem, czy powinienem powiedzieć moim przełożonym, że wy już prowadzicie tę sprawę...

Keyes odłożył słuchawkę i zapatrzył się na telefon. Włoch nie miał szans namierzyć rozmowy – system zabezpieczeń ADS działał bez zarzutu. Mogą zrobić co chcą z ciałem Leonarda; nikt nie połączy go z Keyesem.

A jednak znów przebiegł go dreszcz. Haydarpassa. A więc Dietz jechał na wschód. Do Arabów.

Było gorzej, niż się spodziewał.

Mając w ręku wyniki Epsteina, grupka fanatyków mogła włamać się do akceleratora i narobić niewyobrażalnych szkód. Nie będą sobie zawracać głowy tworzeniem czarnych dziur, bo myślami będą przy siedemdziesięciu dziewicach, które czekają na nich po drugiej stronie... piękne jak rubiny, o cerze jak perły i diamenty...

Zrobiło mu się niedobrze.

Przełknął z wysiłkiem ślinę i po chwili opanował mdłości.

Odchylił się na oparcie fotela, ze wzrokiem utkwionym tępo w telefon. Takie małe urządzenie, a tyle złych wiadomości przez nie dociera do niego. Powinien je zniszczyć, wyrwać kabel ze ściany i wyrzucić aparat przez okno.

Tak jakby mogło to coś zmienić.

Patrzył, jak jego palce same wybierają numer. Rozbawiony przyglądał się, jak druga ręka podnosi słuchawkę do ucha.

Telefon zadzwonił dwa razy.

– Słucham? – zabrzmiał głos w słuchawce.

Keyes odchrząknął.

– Alice?

– Tak, słucham?

– Tu Jim. Jim Keyes. Zostałem Rachel?

Usłyszał stęknienie matki Rachel i stuk odkładanej na bok słuchawki. Po chwili ktoś inny podniósł telefon.

– Słucham?

– To ja.

Cisza.

– Co u ciebie?

Cisza. Keyes słuchał własnych słów, płynących niezależnie od niego:

– Posłuchaj, ja... Jestem w Bostonie. Pomyślałem sobie, że może...

– Przyleciałeś tutaj?

– Tak, i tak się zastanawiałem... może... może byś coś przekąsiła?

Znowu cisza.

– Rachel?

- Słucham?
 - Co ty na to?
 - To nie najlepszy moment.
 - A co powiesz na kolację?
- Nie odpowiedziała.
- Moglibyśmy pójść na naleśniki, jak za dawnych czasów. Wiesz, tam, gdzie...
 - Jim, czy ty się dobrze czujesz?
- Keyes roześmiał się – czym sam siebie zaskoczył.
- Nie – odparł. – Nie czuję się dobrze.

Cztery godziny później wyładował w Bostonie.

To było szaleństwo wychodzić teraz z biura; sprawa nie została zamknięta – ba, dużo brakowało do jej zamknięcia. Ale Keyes był wykończony. Dłużej nie mógł nad tym siedzieć.

Pojechał taksówką do International House of Pancakes, gdzie umawiali się z Rachel na pierwsze randki, kiedy mieszkała jeszcze z rodzicami. Dwoje dzieciaków, które bawią się w dorosłych. Potrafił wtedy przejechać sześć godzin w jedną stronę, żeby spędzić z nią weekend. I wcale nie szli do łóżka.

Od jego ostatniej wizyty w tym lokalu minęło prawie dwadzieścia lat, ale nic się tu nie zmieniło. Stary kosz na śmieci, z którego dochodziły różne, nie zawsze miłe zapachy, stał jak dawniej przy samym wejściu. Stojak na rowery jak zwykle świecił pustkami.

Keyes wszedł do środka. Zadzwończy dzwoneczki nad drzwiami, zimne powietrze z klimatyzacji uderzyło jak obuchem. Żująca gumę hostessa podała mu menu.

- Pan sam?
- Jestem umówiony – odparł Keyes i spojrzał w stronę ich starego boksu.

Rachel patrzyła na niego.

Podszedł bliżej, podpierając się laską, zajął swoje miejsce, wziął od kelnerki laminowaną kartę dań. Otworzył ją.

- Cześć – powiedział, wodząc palcem po liście naleśników.
- Cześć.
- Dziękuję, że przyszedłeś.

Rachel nie odpowiedziała.

– Menu też się nie zmieniło – Keyes parsknął wymuszonym śmiechem.

– Ale czy mieli tu przedtem gołąbki? – Podniósł wzrok. – Chyba nie...

Rachel wyglądała zjawiskowo.

Można by pomyśleć, że od wesela ich córki odmłodziła o dziesięć lat – była szczupła, zrelaksowana, w świetnej formie. Miała na sobie krotki biały top, wiązany na szyi, naszyjnik z turkusów i małe srebrne kolczyki z bursztynami. Jej włosy nabrały naturalnego kasztanowego odcienia, skórę miała jędrną i delikatną.

– Mój Boże... Pięknie wyglądasz.

Skromnie spuściła wzrok. Napiła się wody ze szklanki i starannie wytarła szminkę ze szkła. Zaczęli mówić jednocześnie: – Co ci się stało w... – Jak twój...

- Najpierw ty.
- Nie, ty pierwsza.
- Co ci się stało w nogę?

Keyes otworzył usta i zamknął je... Nie wiedział, czy może jej teraz o wszystkim powiedzieć: o Projekcie, zdradzie i wypadku.

– Tęsknię za tobą – rzekł.

Uśmiechnęła się.

– Chciałbym... Powinniśmy spróbować jeszcze raz.
Ścisnęła lekko jego rękę.

– Jim...

– Takie jest życie. To tylko jeden z jego elementów, Rachel. Wiem, że to smutne, ale przecież możemy być sobie...

– Jim.

– Nie twierdzę, że jestem bez winy. Chociaż właściwie nie wiem, dlaczego musimy się o coś obwiniać. No bo zastanów się, tylko pomyśl...

– Jim.

– Tak?

Pokręciła wolno głową i cofnęła rękę. Obliznął wargi.

– Przepraszam na chwilę – wymamrotał i wstał, sięgając po laskę. Toalety były tuż obok rzędu automatów telefonicznych. Wszedł do środka i odetchnął z ulgą, kiedy nikogo nie zastał w łazience. Puścił zimną wodę i oparł się o umywalkę, Zbierało mu się na płacz. Spojrzał w lustro; twarz miał skrzywioną jak dziecko, wargi mu drżały... Zaraz się rozryczy. Dwa razy chlusnął sobie wodą w twarz. Poczucił się lepiej. Zakręcił kran, oderwał kawałek papierowego ręcznika i ze złością osuszył policzki.

Przed wyjściem jeszcze raz spojrział w lustro. Miał wypieki, przekrwione oczy i zapadnięte policzki. Wyglądał jak żywy trup. Jak to możliwe, że tak bardzo schudł i niczego nie zauważył?

Wrócił do Rachel.

– Przepraszam – powiedział, pakując się do boksu z nieco mniejszą gracją niż za pierwszym razem.

Rachel posłała mu smutne spojrzenie.

– Więc tak... Nie uważasz, że...

– Uważam, że nic nie dzieje się bez powodu – przerwała mu cichym głosem.

– Beż powodu?

Kelnerka podeszła do ich stolika.

– Mogę przyjąć zamówienie?

– Dla mnie kawa – odparł Keyes.

– Dla mnie też – dodała Rachel.

Kelnerka przewróciła oczami, zabrała karty dań i odeszła.

– Co to znaczy: nic nie dzieje się bez powodu?

Rachel wyjęła chusteczkę higieniczną. Położyła ją na stole.

– Moim zdaniem, Bóg miał swoje powody, żeby zrobić to, co zrobił, Jim.

Keyes nic nie rozumiał.

– Miał powód, żeby wezwać do siebie Jeremy'ego. Gdybyśmy mieli być razem, to byśmy byli. Ale rozeszliśmy się. Bóg ma swoje plany, a nam nie pozostaje nic innego, jak Mu zaufać.

Przez chwilę oboje milczeli.

– Do kurwy nędzy, ty chyba żartujesz!

Kelnerka podała im kawę. Strzeliła balonem z gumy do żucia.

– Rachel... – podjął Keyes, kiedy dziewczyna się oddaliła.

– Tak?

– Ja... Proszę, wysłuchaj mnie.

– Przecież słucham.

– Jesteś mi potrzebna. Jesteśmy sobie nawzajem potrzebni. Razem w tym tkwimy, prawda?

Rachel odgarnęła za ucho niesforny kosmyk włosów.

– Razem w tym tkwimy – powtórzył. Słyszał swój głos, wiedział, że się łamie,

że brzmi rozpaczliwie, ale nic nie mógł na to poradzić. – Widzisz... Pamiętasz pracę domową Jeremy'ego? Myślałem... Właściwie nie wiedziałem, co mam myśleć. Nic nie myślałem. Ale teraz już rozumiem, tak mi się w każdym razie wydaje. To nie tylko... Są rzeczy, które nas przerastają, których nie jesteśmy w stanie zrozumieć. Kiedy Jeremy pisał o tych splatanych ogonach, miał...

– O ogonach?

– O szczurzym królu. Pamiętasz? Praca domowa?

Rachel niepewnie pokręciła głową.

– Przestraszył cię. Ale mniejsza z tym.

Łzy znów napływały mu do oczu. Wylał nos.

– Czy to przeze mnie? Bo powinienem był oddać samochód do przeglądu?

Tak uważasz? Oddałem! Co siedem tysięcy kilometrów robiłem dokładny przegląd, z wymianą oleju i wszystkim, co potrzeba. Regularnie, jak w zegarku. Byłem na przeglądzie dwa tygodnie przed wypadkiem. Nie mówiłem ci o tym. Ten kierunkowskaz powinien był działać. I działał. To nie była moja wina.

– Wiem.

– Nie była.

– Wiem.

Podniósł filiżankę, spojrzął z bliska na oleistą powierzchnię kawy i odstawił ją z powrotem.

– Skarbie, jeśli nie... jeśli nie wrócisz, to... Nie wiem, co zrobię. Nie wiem, ale boję się.

– Boisz się?

Pokiwał głową,

– Co masz na myśli?

– Sam nie wiem.

Siedząca w sąsiednim boksie rodzina podsłuchiwała ich rozmowę. Wszystko przez to, że się rozplakał. Przełknął łzy i pochylił się nad stołem. Zniżył głos..

– Boję się – powtórzył. – To wszystko.

– Muszę iść. Nie mogę tego dłużej ciągnąć. Wybacz mi.

– Wyjedźmy gdzieś. Pamiętasz nasz miesiąc miodowy? Ten skrawek plaży?

Pojedźmy tam, teraz, zaraz.

– Jim...

– Proszę cię, Rachel, tak się boję...

– Ja już kogoś mam, Jim.

Cmoknęła go w policzek.

– Wybacz mi.

Usiadła za kierownicą i włączyła silnik.

Patrzył, jak samochód zmierza w stronę wyjazdu z parkingu. Oparł się o śmietnik, z którego powiało zgnilizną. Miał ochotę znów się rozplakać. Może gdyby mu się udało, wyrzuciłby część tkwiącej w nim złości – ale nie mógł. Stracił swoją szansę. Złość musiała zostać w nim na dobre.

Złapał się na tym, że wpatruje się w szyld restauracji. IHOP. Skrót jakich wiele. Nienawidził skrótów, nic nie znaczyły. IHOP. Co to miało być? International House of Pancakes – Międzynarodowy Dom Naleśników. No dobrze, ale co to z kolei miało znaczyć? Totalna bzdura. International House of Pancakes. Co w nim było międzynarodowego? A może to dom był zrobiony z naleśników? Nie. To idiotyczne.

Wszystko było idiotyczne.

Samochód Rachel stał przy wyjeździe. Próbowwała skrócić w lewo, przecinając pas do ruchu w prawo. Teraz, w godzinach szczytu.

„Ja już kogoś mam”.

Oparł się na lasce i podszedł do samochodu. Zastukał w okno po stronie pasażera. Rachel spojrzała na niego zaskoczona. Otworzył drzwi i usiadł w fotelu.

– Jim...

Zauważył, że tym razem to ona płacze. Szczęściara. Ona sobie mogła popłakać, mogła wyrzucić to, co jej leży na sercu. Mogła być słaba – to on zawsze musiał być silny.

– Rachel.

– Tak mi przykro.

Wyciągnął rękę i zaczął delikatnie masować jej kark.

– Tęsknię za tobą – powiedziała. – I za Jeremym. Ale już dłużej nie mogę.

Samochody śmigały obok nich. Za nic w świecie nie uda się jej teraz skrócić w lewo.

– Kiedy... Na początku myślałam... O, Boże! – Zaciągnęła ręczny hamulec i zaczęła szukać chusteczek po kieszeniach. – Na początku myślałam, że jeszcze będziemy mieli szansę, ale teraz... Ja po prostu dłużej tak nie mogę!

Otworzyła torebkę, szukając chusteczek. Jego ręka cały czas delikatnie spoczywała na jej karku.

Kiedy uderzył jej głową o kierownicę, klakson zabecztał rozpaczliwie.

Pociągnął ją do tyłu i uderzył drugi raz. Od kierownicy odpadł kawałek okładziny. Imitacja drewna, odłaził przy byle okazji! Co za gówniany samochód!

Wyrzwał jej głową o szybę. Szkło pękło. Uderzył jeszcze raz. Szyba pokryła się siateczką drobniotkich pęknięć, ale nie wypadła z ramy.

Złapał Rachel obiema rękami za szyję i zaczął zaciskać uchwyt.

Jej twarz robiła się powoli fioletowa. Już nie wyglądała na dziesięć lat młodszą niż w rzeczywistości – wyglądała na swój wiek, może nawet na więcej. Dusił ją, potrząsając jej głową na wszystkie strony. Z rozciętej o szkło skroni spływała strużka krwi. Samochody śmigały obok, obojętne na wszystko.

Z jej ust dobywał się charkot. Machała rękami, próbowała dosięgnąć jego twarzy, rozorać ją paznokciami. Wyszczrzył zęby i ścisnął mocniej.

Zaczęła wierzgać. Kopnęła od spodu w deskę rozdzielczą – raz, drugi, trzeci. Zastanawiał się, czy odpadnie więcej okładziny.

Powoli jej ruchy stawały się mniej gwałtowne, aż w końcu znieruchomiała. Spojrzał na nią, dyszał ciężko.

Rachel zmieniła się w bezwładną szmacianą lalkę.

– Ja kogoś mam! Ja kogoś mam! – przedrzeźniał ją łamiącym się falsetem. – Ja kogoś mam!

Rachel nie odpowiedziała.

Samochody cały czas jechały obok nich.

Keyes siedział nieruchomo przez – jak mu się wydawało – całą wieczność. Potem otworzył drzwi i wysiadł, opierając się na lasce. Wciąż nie mógł złapać tchu.

Ale w końcu go złapał. Przekuśtykał na drugą stronę wozu, zepchnął Rachel na fotel pasażera, usiadł za kierownicą i zwolnił ręczny hamulec.

Skreślił w prawo, wtapiając się w strumień aut, zamiast próbować jechać pod prąd. Tak samo zrobiłby każdy normalny człowiek.

ROZDZIAŁ 21

W czyściutkim przedziale sypialnym znajdowały się dwa łóżka, dywan na podłodze i umywalka. Za dnia łóżka można było złożyć, przekształcając sypialnię

w mały salonik.

Z nocnego przejazdu ze Stambułu do Bukaresztu nic nie zostało Hannah w pamięci. Gdy tuż po jedenastej pociąg odjechał z dworca Sirkeci, położyła się na dolnym łóżku i natychmiast zasnęła kamiennym snem. Kiedy obudziła się rano następnego dnia, ekspres przemierzał słoneczne bułgarskie doliny. James zdążył już odwiedzić wagon restauracyjny. Przyniósł Hannah śniadanie – chleb, dżem i gorącą herbatę. Sam siedział zaś przy oknie, zapatrzony w łagodnie pofalowane wzgórza. Na kolanach trzymał gazetę, ale jej nie czytał.

Hannah siadła do śniadania, ciągle jeszcze dziwiąc się, że tak łatwo zasnęła. Gdyby nie czuła się bezpiecznie z tym człowiekiem, na pewno nie zmrużyłaby oka. Oddała jej torebkę, w której miała pigułki pobudzające. Nie sądziła jednak, żeby odrobina snu mogła jej zaszkodzić: ten człowiek jej potrzebował, potrzebował wiedzy, którą – jego zdaniem – posiadała. Kiedy dojdzie do spotkania z kupcem (o ile w ogóle dojdzie), okaże się, czy uda jej się do końca grać rolę eksperta. Wtedy będzie musiała mieć się na baczności.

Jeśli jednak wszystko dobrze się ułoży, wcześniej odzyska książkę i ucieknie.

Przy jedzeniu co chwila zerką na tępy nóż do smarowania dżemu. Czy miała dość odwagi, żeby, korzystając z nieuwagi mężczyzny, wziąć nóż do ręki i...

I co?

Skoczyć na niego i pchnąć go w gardło?

Nie, nic z tego.

Przesiedzieli cały dzień w przedziale, zamieniając przy tym może z dziesięć słów. Mężczyzna się zdrzemnął – jak zwykle z torbą pod głową. Hannah patrzyła na niego i zastanawiała się, czy mogłaby teraz rzucić się na niego z nożem. Nadal rozważała tę kwestię, kiedy on nagle usiadł na łóżku, przetarł kułakiem oczy i sięgnął po gazetę.

Późnym popołudniem poszedł do wagonu restauracyjnego, skąd przyniósł kanapki i termos z herbatą. Zjedli w milczeniu. Słońce zachodziło powoli za rysującymi się na horyzoncie wzgórzami.

Tej nocy nie spało jej się tak dobrze. Przyzwyczała się do ruchu statku – do łagodnego kołysania i falowania zgodnego z kierunkiem ruchu. Pociąg podskakiwał i rzucał nią na wszystkie strony. Kiedy wreszcie zdołała zasnąć, spała nerwowo i czujnie. Zbyt wyraźnie czuła ruch: szarpnięcia pociągu, który pędził przed siebie; pęd planety, wirującej wokół własnej osi i okrążającej Słońce, które z kolei krąży wokół środka galaktyki, podążającej własnym torem.

Minęła już północ, kiedy pociąg niespodziewanie się zatrzymał. Mężczyzna zszedł z łóżka i wyjrzał przez okno. Ktoś zapukał do drzwi. Serce podeszło Hannah do gardła. Spojrzeli po sobie. James skinął głową, ale nie miała pojęcia, o co mu chodzi.

W ślad za innymi pasażerami wysiedli z pociągu i ustawili się w kolejce, dygocąc z zimna. Żołnierze sprawdzili ich paszporty. I tym razem podrobiony przez Hannah dokument nie zwrócił niczyjej uwagi. Nie wiedziała, jakim paszportem posługuje się jej współnik, ale i on nie wzbudził podejrzeń. Krótco przed świtem wrócili do przedziału i pociąg wkrótce ruszył.

Hannah zdrzemnęła się.

Trzeciego dnia rano krajobraz się zmienił: lasy zgęstniały, zieleń stała się bardziej intensywna – byli coraz bliżej zachodniej części Europy.

Złożyli łóżka i zasiedli do śniadania. Obserwując widoki za oknem, Hannah doszła do wniosku, że zbliżają się do celu podróży. Spodziewała się więc, że mężczyzna w każdej chwili może zacząć ją wypytywać. Do tej pory przedstawiła mu

tylko najbardziej ogólne zarysy blefu – w sam raz, żeby przykuć jego uwagę, nie dość jednak, by opłacało mu się jej pozbyć.

I rzeczywiście, ledwie skończyli jeść, James odezwał się:

– Tak się zastanawiam...

Hannah podniosła na niego wzrok. Włożyła do ust trzymaną w ręce skórkę od chleba.

– Te wzory... – ciągnął – opisują sam silnik? Czy tylko metodę napędu, która została w nim zastosowana?

Hannah przeżuła i przełknęła spokojnie ostatni kęs, żeby zyskać na czasie, otarła usta serwetką. Czuła, jak krew pulsuje jej w tętnicy na szyi.

– Tak naprawdę to bez różnicy.

– Cały samolot jest silnikiem?

– Właśnie.

– Chyba nie rozumiem...

Pomyślała, że mogłaby poszerzyć wiedzę Jamesa: poopowiadać o tym, jak silnik strumieniowy zasysa tlen, wykorzystuje go jako paliwo, spala, rozpędza się, zasysa więcej tlenu – i tak w kółko, coraz szybciej i szybciej. Zamiast tego zebrała się na odwagę i odparła:

– Mnie to nie przeszkadza.

Zmarszczył brwi.

– Podoba mi się to, że jestem ci potrzebna – powiedziała wprost. – Tak jak ty mnie. To uczciwy układ.

Przez chwilę bała się, że nacisnęła niewłaściwy guzik. Pamiętała, jak ją uderzył w Stambule. Gdyby znów się na nią rzucił, jak mogłaby się bronić?

Przesunęła dłoń nieco bliżej tępego noża; w razie konieczności użyje go, choć James był od niej o czterdzieści kilo cięższy...

Ale on nagle się odprężył i znów przypominał podstarzałego, nieszkodliwego człowieka.

– Chyba powinnaś się nauczyć mi ufać – zauważył.

– Nie powiedziałam ci wszystkiego. Brakuje ci w tej chwili jakichś dziesięciu procent wiedzy, żeby móc zbudować prototyp.

Zapadła cisza. Mężczyzna zapalił papierosa, strząsając popiół na swój talerz.

Popiół drżał w rytmie kołysania pociągu.

– Nie ty jedna masz wątpliwości. Z tego, co wiem, pracujesz dla Keyesa.

– Nie pracuję.

– Skąd mam o tym wiedzieć?

– Działam na własną rękę.

– A Frank? – spytał mężczyzna. Jego oczy błysnęły złowrogo. – Nie wiem kto to, ale mówiłaś o nim.

Hannah westchnęła, udając zniecierpliwienie.

– Frank to mój eks. Pracuje w NASA nad dopalaczem Pegasus. Pegasus wykorzystuje się przy odpalaniu X-43.

– Czego?

– Widzisz? Za mało wiesz.

– NASA współpracuje z ADS? – zapytał James po chwili namysłu.

Hannah skinęła głową, chociaż nie miała pojęcia, co to jest ADS. Nagle przyszło jej do głowy, że rozmówca ją sprawdza, ona zaś – próbując za wszelką cenę udowodnić mu, że jest mu potrzebna – właśnie oblała egzamin.

Przyglądała mu się bacznie, próbując go przejrzeć.

Zastanawiał się.

Znów spojrzała na nóż. Jeśli coś się stanie, wydarzenia potoczą się

błyskawicznie.

Minęło pół minuty. Pociąg kolebał się na wszystkie strony, łyżeczki dzwoniły w filiżankach, popiół podrygiwał na talerzu.

– Zaufanie to podstawa – powiedział w końcu. – Nie mamy powodów do podejrzeń. Dopóki nie jesteśmy zbyt pazerni...

Wyciągnął do niej rękę. Po chwili Hannah uściśnęła podaną jej dłoń.

Wyrzała przez okno. Mężczyzna zaciągnął się papierosem. Pociąg dudnił rytmicznie, ścigając się ze słońcem.

ROZDZIAŁ 22

Jeremy był dziś w doskonałej formie.

Keyes bawił się myślą, że ma coś wspólnego ze świetnym występem syna: dwa razy obiegił wszystkie bazy w samej tylko trzeciej partii, a to przecież jeszcze nie koniec. Nie na darmo Keyes go uczył, jak trzymać kij – nie przy samym końcu, tylko dalej, bliżej środka. To właśnie odpowiedni uchwyt był główną przyczyną dzisiejszych sukcesów Jeremy'ego. Chłopak świetnie bił, raz za razem posyłał piłki w głąb pola, w lewo...

Uchwyt. Kij.

Zadzwoił telefon.

Linia bezpośrednia. Keyes miał dość złych wiadomości, bał się, że zaraz pęknie, rozpuści się, imploduje. Mimo to podniósł słuchawkę.

– Słucham – burknął.

Dzwonił Brown, agent DIA.

– Mamy go – wydyszał.

Keyes słyszał w tle warkot samochodów. Brown dzwonił z automatu gdzieś przy autostradzie.

– Pojechał do domu byłego szwagra w New Jersey. Aresztowaliśmy go pięć minut temu.

– Przywieźcie go.

– Dobrze, ale on się dopytuje, o co jest oskarżony. Chce dostać adwokata.

– Przepaska na oczy, knebel w gardło i przywieźcie mi go tutaj!

Zapadło niezręczne milczenie.

– Migiem!

– W porządku – zgodził się bez przekonania Brown. – Ale...

Keyes odłożył słuchawkę.

– Jeszcze jedno – powiedział, wchodząc w zakręt.

Hannah zerknęła na niego z ukosa. Wyglądał komicznie, wciśnięty w fotel kierowcy maleńkiego wypożyczonego samochodziku. Kolana sterczały mu po bokach kierownicy.

– Ismaïłow to podobno ostry zawodnik. Jeśli dojdzie do wniosku, że może nas wykasować i przejąć książkę, nie będzie się zastanawiał.

Co znaczyło, że mogła przekazać tylko tyle informacji o formule, żeby do końca byli Ismaïłowowi niezbędni. Nie ma obawy.

– Nie chcę mu za bardzo mącić w głowie, ale nie możemy od razu powiedzieć wszystkiego. Musi zrozumieć, że transakcja dojdzie do skutku tylko przy naszym udziale. Zostaw mi targowanie się o cenę.

– W porządku.

Hannah odwróciła się do okna.

Zajechali pod ocieniony eukaliptusami dworek w stylu kolonialnym. Stał dość daleko od drogi. Po błękitnym niebie snuły się małe białe obłoczki. Z bliska Hannah dostrzegła kobietę, pracującą w ogrodzie. Kobieta wyprostowała się, zdjęła rękawiczki i wyszła mu na spotkanie. Była ładną brunetką po trzydziestce. Na jej opalonej twarzy pojawił się niewesoły uśmiech.

W drzwiach domu stanął mężczyzna – był dwa razy starszy, miał orli nos i skrzywione w ponurym grymasie usta.

– Madeleine! – zawołał. – Przynieś nam coś do picia.

Kobieta skinęła głową i weszła do środka. Mężczyzna przyglądał się gościom z niekłamany zainteresowaniem.

– Szybko się uwinęliście – stwierdził.

– Dzwoniłem z drogi.

– Wejdźcie. Chętnie posłucham, co u Andrieja.

Serdecznym gestem zaprosił ich do dworku. Hannah weszła pierwsza.

Drzwi windy otworzyły się na trzecim poziomie piwnic.

Keyes wyszedł na korytarz, starając się niczego nie upuścić: w jednej ręce miał laskę, w drugiej neseser, a pod pachą grubą szarą teczkę. Szedł powoli, kierując się wymalowaną na betonowej posadzce żółtą, linią. Zawieszony pod sufitem jarzeniówki buczały i migały nieregularnie.

David Brown stał przy drzwiach pokoju zatrzymań numer B-14: wysoki, niedźwiedziowaty, o szerokich barach i włosach tworzących grzywkę na czole. Na widok Keyesa podbiegł i wziął od niego neseser. Keyes poprawił sobie teczkę pod pachą i skinął na Browna, który otworzył drzwi.

Przy białym stole siedział ubrany w płócienny garnitur Andriej Jurczenko: wysoki, pięćdziesięciokilkuletni mężczyzna, o szyi chropowatej od zbyt częstego golenia. Trzymał ręce nieruchomo na blacie. Oczy miał zasłonięte opaską. Wyglądał jak kierowca, któremu policjant kazał zjechać na pobocze: niewinny, gotów przejść skomplikowaną procedurę związaną z zatrzymaniem, pewien, że nie ma sobie nic do zarzucenia.

Keyes i Brown spojrzeli po sobie i podeszli do stołu. Keyes odłożył teczkę i stanął za Jurczenką, żeby zdjąć mu opaskę. Brown odstawił neseser i usiadł.

W neseserze znajdował się MSP, miernik stresu psychologicznego, czyli wykrywacz kłamstw – poligraf, który za pomocą pneumografu podłączonego do klatki piersiowej i ciśnieniomierza na ręce sprawdzał reakcję badanego na zadawane pytania. Igła poligrafii kreśliła przetworzone impulsy na przesuwającej się pod nią papierowej wstędze. MSP nie był najlepszym poligrafem na wyposażeniu ADS. ANG, czyli analizator napięcia głosu, wyczulony na mikrozmiany w głosie podejrzanego, spisywał się znacznie lepiej. Niestety ANG wyświetlał wyniki na diodowej skali, a zdaniem Keyesa staromodny wykres robił jednak większe wrażenie na badanych. W tej chwili zaś zależało mu przede wszystkim na zrobieniu wrażenia – nie miał czasu na gierki i półprawdy. Albo złamie Jurczenkę i zmusi go do bezwarunkowej współpracy, albo nie. Wóz albo przewóz.

Gruba teczka akt z nadrukowanym na okładce nazwiskiem Jurczenki składała się w większości z niezadrukowanych kartek. Zebrane przez FBI dossier liczyło zaledwie osiem stron. Keyes dorzucił do niej kilkadziesiąt arkuszy papieru, żeby przekaz była jednoznaczny: wiemy o tobie wszystko, Jurczenko, opór jest bezcelowy.

Teatralnym gestem zdjął zatrzymanemu opaskę.

Obszedł stół i usiadł po drugiej stronie. Jurczenko przetarł oczy. Powiódł wzrokiem po pomieszczeniu: gołe ściany z betonowo-żużlowych bloków, cementowa

podłoga, plastikowy stół, lite drzwi. Prześliznął się spojrzeniem po teczce i neseserze, zerknął na Keyesa i Browna, spuścił wzrok.

Brown wyjął z kieszeni dyktafon, włączył go i postawił na stole.

– Czwarty sierpnia – powiedział. – Przesłuchiwany Andriej Jurczenko. Obecni przy przesłuchaniu: David Brown i James...

Keyes wyłączył dyktafon.

– To rozmowa nieoficjalna – stwierdził półgłosem.

Jurczenko parsknął śmiechem, ale kiedy Keyes spiorunował go wzrokiem, rozłożył bezradnie ręce. – Przepraszam.

– Powiedziałem coś zabawnego?

– Nie, ja tylko...

Keyes milczał.

– Dobry i zły gliniarz – wyjaśnił Jurczenko. – Wie pan: on wyjmuje dyktafon, pan go wyłącza...

– Aha.

– On przypomina o moich prawach, pan je depcze...

– Rozumiem.

– „Wiemy, jak zmusić cię do mówienia” – uśmiechnął się Jurczenko. Mówił z ledwie zauważalnym rosyjskim akcentem. – A pan na to: „Zaraz, spokojnie”.

– Ale nas pan rozpracował – mruknął Keyes.

Jurczenko wzruszył skromnie ramionami. Cały czas się uśmiechał.

Brown schował dyktafon do kieszeni. Keyes otworzył teczkę, przerzucił kilka stron. Sponad papierów spojrzął znacząco na Jurczenkę. Przełożył jeszcze parę kartek, a potem zamknął teczkę i odłożył ją na stół.

– No dobrze – powiedział. – Od czego chciałby pan zacząć?

Madeleine, piękna kobieta o smutnych oczach, postawiła przed nimi tacę z wodą. Wycofała się szybko, zanim mąż zdążył ją odesłać.

Ismailow wziął szklankę i wycisnął do wody plasterek cytryny.

– Zamieniam się w słuch – powiedział.

Hannah skinęła głową. Pochyliła się nad stolikiem. Pokój był chłodny, z kamiennymi ściankami, pełen antyków. Na stoliku leżały *Kromki*... Zamknięte.

– Osiem machów – powtórzyła. – Lot, który trwa dwadzieścia cztery godziny, skróci się do dwóch. Główne zastosowania to oczywiście technika wojskowa: naddźwiękowe bombowce, pociski samosterujące...

– I to NASA prowadzi ten projekt?

– NASA jest jedną z agencji, które biorą w nim udział.

– A zatem tu – Ismailow postukał w książkę – mamy opis prototypu.

– Niezupełnie. Zapisana w książce formuła opisuje działanie silnika.

Ismailow wziął książkę do ręki, zajrzał na wewnętrzną stronę tylnej okładki.

– Mhm – mruknął, zamykając książkę.

– Andriej sugerował, że może pan znać potencjalnego kupca – dodał James, stojąc przy oknie.

– Być może – przytaknął z namysłem Ismailow. – Być może...

– Naturalnie pański udział nie pozostanie bez nagrody, powiedzmy... pięć procent wynegocjowanej ceny.

Ismailow zmarszczył brwi. Hannah patrzyła to na jednego mężczyznę, to na drugiego. Jej rola najwyraźniej się skończyła.

– Przy tego rodzaju pośrednictwie standardowy udział to piętnaście procent – zauważył Rosjanin.

James odwrócił się od okna.

– Piętnaście – powtórzył.
– Do negocjacji, rzecz jasna, ale zwykle zaczyna się od piętnastu.
– Proszę mnie dobrze zrozumieć: Andriej daje mi zamiar na pana, pan umawia mnie z kupcem... Jeśli każdy po drodze dostanie piętnaście procent, niewiele nam zostanie.

– Hm...

– Niemniej jednak zależy mi na osiągnięciu kompromisu...

Zadzwoił telefon. Keyes i Brown spojrzeli po sobie.

– To nie mój – zastrzegł się Brown.

Keyes wyjął z kieszeni telefon – rzeczywiście, to on dzwonił. Wsparł się na łasce, wstał od stołu i wyszedł na korytarz.

– Słucham.

– Jim... – powiedziała Daisy drżącym głosem. – Wracaj szybko.

– Po co?

– Dzwonił do ciebie jakiś gliniarz z... z Belmont w Massachusetts... Reyes podniósł wzrok na jarzeniówki. Czy one naprawdę muszą tak głośno brzęczeć?

– Chce z tobą porozmawiać. Chyba ma ci coś ważnego do powiedzenia.

– Ale co? – spytał spokojnie Keyes.

– Najlepiej będzie Jak wrócisz. Naprawdę.

– Teraz nie mogę.

– Chodzi o Rachel...

– Powiedz jej, że oddzwonię.

– Nie... nie rozumiesz. To...

– Przerwałaś mi coś ważnego.

Odczekał chwilę, zanim otworzył drzwi. Oddychał miarowo, ręce mu się nie trzęsły... Chociaż już niedługo... Czas uciekał. Ktoś znalazł Rachel, policja szukała go w biurze. Czas! Wszystko sprowadza się do czasu. Zawsze jest go za mało.

Otworzył drzwi i wywołał Browna na korytarz.

– Co się stało? – spytał Brown, zamknąwszy za sobą drzwi.

– Telefon do ciebie. Odbierzesz u mnie w biurze.

– Telefon?

– Twoja żona. Daisy kazała jej poczekać. *To* chyba coś ważnego. Leć na górę.

Brown zmarszczył brwi, ale odwrócił się i potruczał wzdłuż żółtej linii do windy.

Keyes wrócił do celi. Jurczenko spojrział na niego obojętnie. Keyes podejrzewał, że po wyjściu Browna zdążył zajrzeć do swojej teczki i odkrył, że jest niemal pusta.

Zamiast usiąść, nachylił się nad Jurczenką.

– Na czym to stanęliśmy?

– Nie pamiętam.

– Francis Dietz. Podałeś mu zamiar.

– A... tak, faktycznie. Pan tak twierdzi.

– Zamiar na niejakiego Sępa.

– Już panu mówiłem: musieliście mnie z kimś pomylić.

Keyes zmroził go wzrokiem.

– Mówiłem też, że nie odpowiem na żadne więcej pytanie, dopóki nie porozmawiam z adwokatem – dodał Jurczenko.

– Nie mamy na to czasu.

– Jak to? Podobno w tym kraju...

– Ja nie mam na to czasu – poprawił się Keyes.

– Madeleine! – zawołał Ismailow.

Po chwili w drzwiach salonu stanęła jego żona. Zdażyła wrócić do pracy w ogrodzie: na rękach znów miała grube rękawice, na głowie kapelusz z obwisłym rondem, który osłaniał twarz od słońca.

– Mógłbym cię prosić o przysługę, kochanie?

Hannah uważnie śledziła rozgrywającą się przed nią scenę. Mężczyzna przy oknie spoglądał w głąb swojej szklanki z lemoniadą, jakby to, co się dzieje w pokoju, w najmniejszym stopniu go nie interesowało.

– Moi przyjaciele chcieliby się spotkać z księciem – ciągnął Ismailow. – Mają dla niego ciekawą propozycję. Nie chciałbym jednak, aby tego rodzaju interesy załatwiano u mnie w domu. Nigdy nie wiadomo, czyją uwagę ściągnęlibyśmy na siebie,

Madeleine ostrożnie pokiwała głową.

– Dlatego pomyślałem o twoim przyjacielu, który pilnuje domu tym Amerykanom. Jak mu tam?

– Henri Jansen – powiedziała zaskoczona Madeleine.

– Umie trzymać język za zębami?

– Myślę, że tak.

– A zgodziłby się zorganizować u siebie takie spotkanie?

Madeleine wzruszyła ramionami.

– Mogę zapytać.

– Zapytaj, proszę.

Skinęła głową i chciała wyjść z pokoju, ale Ismailow jeszcze nie skończył:

– Madeleine?

Stanęła w progu.

– Spróbuj go przekonać. Możesz mu napomknąć, że słyszałem o jego kontaktach z mieszkającymi w pobliżu mężatkami. Podobno wykorzystuje nieobecność małżonków.

Hannah miała wrażenie, że Madeleine nagle pobladła, ale nie była pewna, czy wzrok jej nie myli.

– Zrobię tak, Władymirze.

– Gdyby się zgodził... Umówmy się na jutro wieczór.

– W porządku.

– Nasi przyjaciele spędzą tę noc u nas. Przygotujesz pokój gościnny?

Madeleine skinęła głową i wyszła.

Ismailow odprowadził ją wzrokiem, potem odwrócił się do Hannah i wziął książkę do ręki. Wczytał się w równania, jakby mógł zrozumieć ich treść.

Mężczyzna przy oknie odchylił głowę do tyłu i przytknął szklankę do ust. Ostatnia kropelka wody spłynęła mu wolno do gardła.

Keyes znowu stracił poczucie rzeczywistości.

Niby wiedział, co robi Jurczence, ale duchem był na meczu młodzieżowej ligi baseballu. Popękane ławki na trybunach, pałace słońce... Jeremy szykował się do uderzenia. Ludzie klaskali i wiwatowali. Jeremy odwrócił się i uśmiechnął do ojca. Keyes odpowiedział mu uśmiechem i wstał. Klaskał najgłośniejszym ze wszystkich.

Twarcę Jurczenki zmieniała się w krwawą maskę. Próbował coś powiedzieć.

Pszczoła użądliła Jeremy'ego w rękę, ale zupełnie się tym nie przejął: zajął pozycję, złapał kij tak, jak uczył go ojciec. Kapitalny chłopak. Keyes wszystko by dla niego zrobił. Wszystko.

– Ismailow – wykrztusił Jurczenko. Z wysiłkiem wciągnął powietrze do płuc, w których coś zabulgotało. – Władymir Ismailow. Na litość boską, błagam...

Keyes wyprostował się i obciągnął koszulę. Spojrzał na Jurczenkę i wypuścił z ręki kij. Skąd on się tu wziął? Nie miał pojęcia. Dopiero kiedy zaczął szukać laski, dotarło do niego, że złamała się przy pierwszym uderzeniu. To był właśnie ten kij.

Pokuśtykał do drzwi. Otworzył je i zderzył się z Davidem Brownem. Brown coś mówił, wołał za nim, ale Keyes nie zwracał na niego uwagi. Poszedł do windy.

Znał już nazwisko. Ismaïłow. W biurze dopasuje do niego akta.

Głos Browna niósł się echem po korytarzu. Keyes stanął przy windzie, nacisnął guzik i czekał.

Ismaïłow. Sep.

Drzwi się otworzyły. Wsiadł do windy.

ROZDZIAŁ 23

Znów się zerwał mistral.

Henri Jansen podniósł wzrok znad aparatu i spojrzał na przygięte wiatrem drzewa na trawniku przed domem. Wiało z północy. Za wcześnie na mistral. To na pewno fałszywy alarm.

Założył jednak osłonę na obiektyw – wcześniej zrobił kilka zdjęć, żeby sprawdzić, czy aparat jeszcze działa – i wrócił do domu pozamykać okna. Tak na wszelki wypadek.

W salonie po obramowaniu kominka spacerowały dwa skorpiony. Spojrzał na nie i zagryzł w zadumie dolną wargę. Może to jednak był mistral? Powiał za wcześnie, ale zwierzęta instynktownie go wyczuły. Coś musiało je zaniepokoić.

Postał chwilę nad skorpionami, a potem wyciągnął spod fortepianu kosz na śmieci. Przeniósł go do kominka, gazetą zgarnął skorpiony do środka i wyniósł na dwór.

Na podjazd wpadł samochód Madeleine Ismaïłow, wznecając tumany kurzu. Henri ze zmarszczonym czołem obserwował zbliżające się audi. Co się stało, że Madeleine wybrała taki moment na odwiedzinę? Zgodził się wieczorem zorganizować spotkanie dla gości jej męża. Będzie miał okazję poznać go osobiście, upewni się, że Sep zalicza go do swoich przyjaciół, nie wrogów... Ale na razie było wczesne popołudnie.

Samochód zahamował gwałtownie. Madeleine wyskoczyła zza kierownicy.

– Henri! Nie mogłam ci tego powiedzieć przez telefon, przy mężu...

Miała rozbiegane oczy, ręce jej się trzęsły i Henri poczuł, jak lodowata dłoń strachu zaciska mu się na sercu.

– Mam mało czasu, powiedziałam, że jadę na bazar. Musimy...

– Spokojnie.

– On chyba wie.

Lodowe imadło mocniej ścisnęło serce Henriego.

– Spokojnie – powtórzył. Jego własny głos wydał mu się słaby i bezradny. –

Wejźmy do środka.

Przeszli przez patio i znaleźli się w domu.

– Mogę się mylić, ale kiedy powiedział, że spotykasz się z mężatkami...

– Z kim?

– Nie wiem, chyba chodziło mu o mnie.

– Co właściwie powiedział?

– To, co słyszysz. Że uwodzisz zameżne kobiety z okolicy. On chyba o nas wie, Henri. Wie o nas!

Zaprowadził ją do kuchni i posadził na stołku przy blacie. Odkorkował wino, nalał kieliszek i podał go Madeleine. Sam napił się z butelki.

Była bliska hysterii. Wcale się jej nie dziwił, sam był w podobnym stanie. Ismaïłow się dowiedział i teraz jedno z nich za to zapłaci. Albo oboje.

– Henri! – jęknęła Madeleine.

– Nie wyciągajmy pochopnych wniosków. Co dokładnie powiedział?

– „Powiedz mu, że wiem o jego kontaktach z mieszkającymi w pobliżu mężatkami”.

Henri napił się jeszcze wina.

– Moglibyśmy wyjechać – mówiła dalej Madeleine. – Mam pieniądze.

Odłożyłam trochę. Moglibyśmy pojechać moim samochodem na lotnisko i polecieć gdzieś daleko...

– A co z dzisiejszym spotkaniem?

– To nieważne. Dokąd chciałbyś polecieć, Henri? Powiedz, co ci się marzy? Ja funduję. Mam dość pieniędzy, żebyśmy przez kilka lat nie musieli się o nic martwić...

– Chodź do mnie, małeńka.

Odstawiła kieliszek i rzuciła się Henriemu w ramiona. Objął ją mocno, ale bez nadmiernej czułości. To się musiało skończyć. Teraz. Natychmiast o ile już nie było za późno...

– Madeleine...

– Słucham?

– Nie możemy wyjechać.

– Możemy.

– Nie. Dokąd byśmy pojechali? On nas znajdzie.

– Dokądkolwiek...

– Bzdury wygadujesz.

Przycisnęła twarz do jego piersi.

– Wiem.

Zadrżała, wtulona w niego, „tym bardziej się zdziwił, kiedy się odchyliła i zobaczył, że nie płacze. Stali przez chwilę naprzeciwko siebie, nie bardzo wiedząc, jak się zachować. Madeleine patrzyła na niego błagalnie, oczekując jakiegoś przejawu sympatii.

Henri odwrócił się i zamknął okiennice.

Kiedy znów spojrział w jej stronę, już jej tam nie było.

Zostawiła kieliszek na blacie. Widział na szkle ślad jej dłoni. Wyszedł przed dom w samą porę, żeby zobaczyć, jak wsiada do audi. Teraz już płakała: za przednią szybą jej twarz lśniła od łez.

Przekręciła kluczyk w stacyjce, ze zgrzytem wrzuciła bieg i zawróciła. Henri jej nie zatrzymywał. Po co? Prędzej czy później i tak musiała stawić czoło faktom. Ich związek się skończył. Nawet jeżeli uda mu się wyjść cało z wieczornego spotkania z Ismaïłowem, nie będzie ryzykował spotkania z nią.

Może Ismaïłow o niczym nie wiedział?

Samochód zjechał z podjazdu w chmurze kurzu, którą wiatr błyskawicznie rozszarpał na strzępy.

Brown bez słowa oddał zdjęcie Keyesowi.

Keyes spojrział na twarz kobiety. Czy to naprawdę możliwe, żeby była niewinna? Ze miała pecha i wplątała się w to wszystko przez przypadek? Nie mieściło mu się to w głowie, ale wyglądało na to, że taka jest prawda.

Schował fotografię do torby, którą kopnięciem wepchnął pod siedzenie z przodu.

Stewardesa przeszła przez kabinę, rozdając karty dań. Brown wziął jedną dla

siebie, Keyes zbył stewardesę, pokręciwszy przecząco głową. Nerwy miał napięte do granic możliwości; gdyby wmusił w siebie jakieś jedzenie, zaraz by zwymiotował. Zresztą Brown też nie miał apetytu. Kiedy stewardesa wracała, poprosił tylko o dietetyczną colę.

Oddał menu, starając się nie patrzeć na Keyesa. Przez cały lot unikał jego wzroku.

Keyesowi to nie przeszkadzało. Grunt, że znali nazwisko Sępa i jego adres na południu Francji. Prawdopodobnie Dietz właśnie w tej chwili był u Sępa, próbując sprzedać, formułę Epsteina.

Ze wzrokiem utkwionym w fotel z przodu, Keyes koncentrował się na czekającym go zadaniu.

Dietz jeszcze raz sprawdził broń i wsunął ją do torby, obok książki. Odwrócił się gwałtownie, gdy Hannah weszła do pokoju. Uśmiechnęła się niewesoło.

– Nie masz dla mnie takiej zabawki?

Tym razem to Dietz się uśmiechnął.

– Nie martw się, będę cię osłaniał.

Wiatr się wzmagał, zawodził głośno w dolinie. Wyrzwała przez okno na rozkołysane drzewa, podświadomie bawiąc się kolczykiem.

– Grunt to zaufanie – dodał Dietz. – Pamiętasz?

Nie odpowiedziała. Stała nieruchomo, odwrócona do niego plecami. Dietz wziął torbę i podszedł do niej.

– Chodź – powiedział półgłosem.

Jeszcze przez chwilę stała przy oknie, a potem razem wyszli z pokoju.

ROZDZIAŁ 24

Pierwszy samochód przyjechał pięć po siódmej.

Henri Jansen stawiał właśnie na stole tacę z sałatkami, kiedy usłyszał warkot silnika. Wyprostował się i rozejrzał po salonie, korzystając z ostatnich chwil samotności, żeby upewnić się, że wszystko jest na swoim miejscu. Co powinno się podać na taką okazję? Uznał, że wystarczy brie, pieczywo, seler naciowy, pieczarki. Na stoliku do kawy stały cztery butelki wina i osiem kieliszków, obok leżał srebrny korkociąg. Barek przy kominku był otwarty.

Sprawdził obrus, zastanawiając się mimochodem, czy Madeleine miała rację co do swojego męża. Ciekawe, czy Ismailow będzie mu chciał coś powiedzieć na osobności. A może więcej niż tylko powiedzieć?

Silnik umilkł, skończył się czas na rozmyślenia. Henri obciągnął marynarkę i wyszedł przywitać pierwszych gości. Powtarzał sobie w duchu, że wszystko będzie dobrze. Madeleine się pomyliła, Ismailow o niczym nie wie. Nie ma powodów do zmartwienia.

Z rolls-royce'a – najnowszego modelu silver serapha – wysiadł szofer. Mierzył blisko dwa metry, miał oliwkową karnację i czarny uniform. Otworzył tylne drzwi wozu.

Ze środka wyłonił się niski mężczyzna – mniej więcej metr siedemdziesiąt wzrostu – w błękitnym garniturze i ciemnych okularach, z wąsami i kocią bródką. Wyglądał znajomo. Po chwili Henri skojarzył go z człowiekiem w beduińskim burnusie oglądanym w telewizji, który szastał forszą na prawo i lewo, goszcząc sławne modelki na luksusowych jachtach, wygrywał derby w Kentucky, dyskretnie

inwestował w najnowocześniejsze amerykańskie technologie. Teraz, ubrany jak zwyczajny biznesmen, zachowywał się swobodnie i z wdziękiem.

– Witam – powiedział Henri, nie bardzo wiedząc, czy powinien zwracać się do biznesmena, czy do szofera.

Mężczyzna w garniturze skłonił się lekko.

Szofer pierwszy przekroczył próg. Spojrzał w lewo, w stronę kuchni, potem w prawo, w kierunku salonu. Henri stał z boku i czekał. Upewniwszy się, że nic nie grozi jego podopiecznemu, szofer skinął na księcia, który z uśmiechem wszedł do środka.

– Piękny dom – powiedział. Miał cichy, niemal nieśmiały głos i był zdumiewająco młody. Doskonale mówił po angielsku. – Od dawna pan tu mieszka?

– Od początku lata. Należy do mojej przyjaciółki, ja się nim tylko opiekuję.

Książę nie przestał się uśmiechać, ale nie zdołał całkowicie ukryć rozczarowania.

Przeszli do salonu. Szofer – który, jak zorientował się Henn, pełnił również rolę ochroniarza – zatrzymał się przy drzwiach i stał sztywno, jakby połknął kij. Książę niespiesznie przechadzał się po pokoju, podziwiając rzeźby, obrazy i solidny, kuty pogrzebacz przy kominku.

– Wina? – Henn podszedł do stolika.

– Poproszę absynt z martini.

Henn skręcił do barku. Kiedy nalewał wódki do kieliszka, usłyszał pomruk następnego silnika. Dolał wermutu i podał drinka księciu, a sam wyszedł przed dom.

Czarny, wypolerowany na wysoki połysk mercedes należał do Władymira Ismaïłowa. Podjechał wolno do rollsa, zatrzymał się.

Henn czekał, aż otworzą się drzwi. Powieka drgała mu nerwowo. Co będzie, jeśli Madeleine miała rację? Może całe to spotkanie miało być elementem wyrafinowanej zemsty Ismaïłowa?

Nie. Ismaïłow o niczym nie wie.

Taką miał nadzieję.

Rozpoznał go ze zdjęć: przygarbiony, śniady, krzaczaste brwi. Sam prowadził samochód. Wsiadł i spojrzał na Henriego.

– Pan się opiekuje domem – powiedział.

Henn skinął głową.

– Henri Jansen.

– Władymir Ismaïłow. Jestem mężem Madeleine.

Uściskał dłoń Henriego tak, że aż kości zatrzęszczały.

A więc jednak wie.

Ismaïłow przez chwilę przytrzymał jego dłoń w miazdzącym uścisku.

– Mci przyjaciele zaraz tu będą.

Puścił Henriego i cofnął rękę.

Henri wprowadził go do środka. Ochroniarz-kierowca stał jak posąg przy drzwiach ze skrzyżowanymi na piersi rękoma. Książę siedział na sofie, ale na widok Ismaïłowa wstał.

– Władymir!

Ismaïłow uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Miło cię widzieć! Doszedłeś do siebie?

– Prawie – odparł młody książę i wyjaśnił Henriemu: – Większość ludzi po prostu idzie na spacer. Władymir woli maraton.

– Narzeka, ale uwielbia to. Poza tym ruch dobrze mu robi.

– Bzdura. Spójrz na nas: który powinien się trochę poruszać?

Henri się uśmiechnął. Powieka wciąż drżała mu z nerwów.

– Czego się pan napije? – zapytał Ismaïłowa.

– Tego co on.

Henri poszedł do barku – i znów usłyszał warkot silnika. Przyjaciele Ismaïłowa. Ostatni dzisiejsi goście.

Podał kieliszek Ismaïłowowi i wyszedł do gości.

Ostatnim samochodem okazał się minicooper – mały, tani i ciasny.

Najwyraźniej z wypożyczalni. Prowadził mężczyzna, obok siedziała kobieta. Wiatr powiał mocniej, kiedy zajechali pod dom. Henri odruchowo przygładził wzburzone włosy.

Mężczyzna okazał się typowym Amerykaninem – wysokim, barczystym.

Kobieta była ładna, wyniosła i elegancka, parę lat młodsza od Henriego. Mimo woli zmierzył ją oczyma od stóp do głów.

– Witam – powiedział.

Nie odpowiedzieli. Gestem zaprosił ich do środka, a sam przystanął jeszcze, żeby spojrzeć w niebo. Słońce wisiało nisko nad horyzontem, niczym przejrzała śliwka. Niebo było czyste, nic nie zapowiadało deszczu. Za to wiatr hulał w najlepsze.

Rozejrzał się jeszcze raz i wszedł za gośćmi do środka.

– Strzelałeś kiedyś z pistoletu?

Keyes patrzył, jak mijane pastwiska przybierają pomarańczowy odcień.

Odwrócił się od okna.

– Dawno temu, na obozie letnim, jako dzieciak. Strzelałem z dwudziestki dwójki.

– Sięgnij do mojej torby.

Keyes odwrócił się, ściągnął z tylnego siedzenia torbę Browna i położył ją sobie na kolanach. Wyjął z niej poplątane skórzane uprząże z kaburami. W kaburach tkwiły pistolety – czarne, kanciaste, ohydne.

– Najprostszy w użyciu jest glock – mówił dalej Brown, nie odrywając oczu od drogi. – Wewnętrzny bezpiecznik, więc nie musisz się nim przejmować. Siedemnaście nabojów w magazynku.

Keyes wziął glocka do ręki. Zdziwił się, że jest taki ciężki.

– Celujesz i strzelasz. Ma spory odrzut, więc trzymaj go oburącz. I tak będą ci się ręce trzęsły. I nie przestrasz się huk. Głośno wali.

Keyes położył palec na spuście, celował w mijaną kępę krzaków.

– Celuj w korpus. Po dwa strzały. Do skutku, aż klient padnie.

Keyes chrząknął potakująco.

Odłożył pistolet na kolana i znów wyjrzał przez okno. Jechali wśród pól i winnic, pokonywali kręte strumyki, mijali skalne występy. Co dwieście, trzysta metrów od głównej drogi odchodziły boczne, prowadzące w głąb pól.

Upłynęło pięć minut.

– Myślisz, że ją przegapiliśmy? – spytał Brown.

Miał na myśli drogę, przy której stał dom Ismaïłowa. Keyes na wszelki wypadek wyjął ze schowka mapę. Brown zjechał na pobocze.

Nachylili się nad sztywnym arkuszem papieru, oglądając w dogasającym świetle dnia siateczkę dróg.

– Jesteśmy tutaj – pokazał Brown. – A jedziemy...

– Tutaj.

Niespełna trzysta metrów, jeśli Keyes dobrze przeliczył skalę. Nagle zrobiło mu się gorąco; coś ścisnęło go boleśnie w piersi.

Brown wyprostował się i ruszył.

Zatrzymał się u wylotu bocznej drogi. Wysiedli, sprawdzili broń i ruszyli

w stronę widocznego w oddali kolonialnego dworku, Keyes kuśtykał bez laski; błotnista ziemia mlaskała mu pod stopami. Wieczorna bryza niosła zapachy eukaliptusa i bzu.

Celować w korpus. Po dwa strzały.

Pod domem stał samochód, audi. Zatrzymali się i nasłuchiwali. Widoczne zza oplecionego bluszczem płotku drzwi były uchylone, z radia płynęła drażniąco znajoma muzyka. Billy Joel.

Brown spojrzął na drzwi, na Keyesa i ruszył dalej. Zakradł się pod drzwi i zajrzał do środka. Pchnął je, żeby otworzyły się szerzej i wszedł do domu. Keyes został sam na patio.

Zebrał się na odwagę i podszedł bliżej, ściskając glocka obiema rękami.

Mroczny, wilgotny korytarz. Na ścianach Van Gogh i Chagall, chyba oryginały. Światło tylko w jednych drzwiach – najdalszych po lewej stronie. Tych samych, zza których dobiegała muzyka.

Brown ostrożnie się do nich zbliżał.

Po dwa strzały. W korpus.

Za drzwiami była kuchnia.

Przy niskim stoliku siedziała zapłakana kobieta. Przed nią stała na wpół opróżniona butelka wina i przepełniona popielniczka. Na blacie – radio i misa z owocami. Z sufity zwieszały się ciężkie patelnie i garnki. Przytulony do ściany lodówki kot spoglądał złowieszczo na Keyesa.

Kiedy dwóch uzbrojonych ludzi weszło do kuchni, kobieta podniosła wzrok. Wytarła ręką nos i uśmiechnęła się z goryczą.

– Szukacie Władymira?

Brown znowu zjechał na pobocze.

Zapadał zmierzch, silny wiatr smagał pola. Brown wyjął z torby lornetkę i spojrzął na wschód, w kierunku, gdzie prowadził zjazd.

Keyes gołym okiem widział dom, który opisała im kobieta. W pobliżu majaczyły jakieś mniejsze kształty – domki dla gości albo zabudowania gospodarcze. Dalej ciągnęły się winnice i fioletowe pola lawendy.

– Trzy samochody – stwierdził Brown. – Jeden to chyba rolls.

– Pokaż.

Brown oddał lornetkę Keyesowi, żeby mógł obejrzeć samochody. Z tyłu domu stało jakieś kombi. Bliżej, przed domem, dostrzegł czarnego mercedesa i – tak jak mówił Brown – srebrnego rolls-royce'a.

– Schowaj lornetkę – ostrzegł go Brown. – Mamy towarzystwo.

Keyes odwrócił się w prawo: boczną drogą w chmurze kurzu jechał następny wóz. Przyszło mu do głowy, że to pewnie audi: kobieta uwolniła się z więzów i przyjechała ostrzec męża. Ale nie: to był minicooper. Keyes patrzył w ślad za nim. Kiedy auto podjechało pod dom, jakiś mężczyzna wyszedł przywitać gości: trzydzieści kilka lat, przystojny, pewny siebie, elegancki. Keyes go nie znał.

Za to od razu rozpoznał ludzi, którzy wysiedli z samochodu: poszukiwaną kobietę i Dietza.

Opuścił lornetkę i spojrzął znacząco na Browna.

Za oknem zrobiło się ciemno.

Henri, zamiast basenu, widział teraz odbicie salonu. Stał już tak od prawie dwudziestu minut, starając się nie słuchać tego, o czym rozmawiają ci ludzie.

To spotkanie było fatalnym pomysłem.

Ale nie mógł się już wycofać. Nie mógł nagle odmówić im gościny. Nie mógł też, niestety, wyjść z pokoju, skoro do jego obowiązków należało przyrządzenie

drinków i opróżnianie popielniczek. Mógł tylko stać, gapić się przez okno i udawać, że nic nie słyszy.

– Otrzymaliśmy wiele ofert – mówił właśnie Amerykanin. – Jestem z natury pragmatykiem, panowie. Nie ma dla mnie znaczenia, do kogo to ostatecznie trafi. Wolę jednak prowadzić interesy z ludźmi godnymi zaufania, a Władimir zapewnił mnie, że pan się do nich zalicza. Tym bardziej cieszę się, że mogę panu zaproponować...

Stał przed kominkiem z rękami założonymi za plecy i nawijał jak akwizytor. Miał niski, melodyjny, emanujący pewnością siebie głos. Władimir, księżę i kobieta zajęli miejsca na sofach i słuchali go z uwagą. Ochroniarz-kierowca nie ruszył się spod drzwi.

– Rozumiem, naturalnie, że należy zachować ostrożność, ale czas jest nieubłagany. Za czterdzieści osiem godzin mamy spotkanie z następnymi potencjalnymi klientami, których tożsamości nie mogę ujawnić. Napiszę teraz sumę...

Amerykanin zaczął się rozglądać za kartką papieru. Henri podszedł do fortepianu i zza zeszytu z nutami wyjął notes. Podał go Amerykaninowi. Ismaïłow wyjął z kieszeni długopis.

– Zaczniemy od tej kwoty.

Amerykanin wziął notes i długopis. Napisał swoją cenę i położył notes na stole, grzbietem do góry. Saudyjczyk podniósł go, odwrócił i odczytał sumę. Na jego twarzy nie drgnął żaden mięsień.

Milczenie się przedłużało.

Henri otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nagle gdzieś blisko domu rozległo się szczekanie. Księżę spojrzał pytająco na gospodarza, potem na swojego szofera.

– To pies sąsiadów – wyjaśnił Henri. – Proszę się nie niepokoić.

Chyba nikogo tym nie uspokoił.

– Zaraz sprawdzę – dodał Henri i wyszedł z pokoju, kierując się ku frontowym drzwiom.

Pomyślał, że to pewnie przez ten wiatr.

Cholerny terierek nie mógł sobie wybrać gorszego momentu. Napięcie sięgnęło zenitu. Wieczór przebiegał spokojnie, spotkanie zbliżało się do końca. A teraz chrapliwe szczekanie Sylvie wszystkich spłoszyło.

Ciekawe, czemu tak szybko przestała szczekać. Pewnie dlatego, że wiatr znowu osłabł. Mimo wszystko trzeba ją było znaleźć i zagonić z powrotem do domu. Bo wiatr może się znów wzmóc, a jeśli Sylvie będzie za każdym razem tak na niego reagować, jego goście nigdy nie dojdą do porozumienia... Henri obszedł dom dookoła i zbliżał się do basenu. Widział wewnątrz jasno oświetlonego pokoju i wiedział, że goście go nie widzą. Salon wyglądał jak akwarium: pięć par oczu wpatrywało się tępo w szkło.

– Sylvie! – zawołał i pstryknął palcami. Nigdzie nie widział psa. – Chodź no tu, malutka.

Po przeciwnej stronie basenu coś się poruszyło, zaszeleściły krzaki. Henri skierował się w tę stronę.

– Nie wygłupiaj się – powiedział. – To przecież ja, Henri.

Wreszcie ją zobaczył: stała w trawie i merdała wesoło ogonem.

A za nią stało dwóch ludzi.

Spojrzał na nich i natychmiast zaschło mu w gardle.

Jeden właśnie podnosił broń do strzału.

Potem wydarzenia potoczyły się błyskawicznie.

ROZDZIAŁ 25

Keyes drżącymi rękami podniósł pistolet.

Jeśli strzeli, wszyscy dowiedzą się, że tu są – ale i tak się dowiedzą, bo ten gość patrzył prosto na nich.

Brown już się ruszył: zaczął obchodzić mężczyznę od tyłu. Może załatwi go po cichu. Przecież z psem poradził sobie bez trudu.

Jednak Brown się spóźnił – mężczyzna już się cofał, odwracał, zaczynał biec. Wraczał do domu. Keyes widział za szybą pięcioro ludzi w jasno oświetlonym pokoju, niczym rzeźby w muzeum.

Celuj w korpus, pomyślał.

Strzelił.

Miał wrażenie, że pistolet eksplodował mu w rękach. Nadgarstki odgięły mu się boleśnie do tyłu, huk był ogłuszający. Jakim cudem można strzelić dwa razy z rzędu, jeśli za pierwszym razem tak szarpnęło pistoletem?

Ale mężczyzna już nie uciekał.

Zatrzymał się. Nogi się pod nim ugięły.

Keyes wytrzeszczył oczy.

Mężczyzna z wielkim pluskiem wpadł do basenu.

Pięcioro ludzi w domu rozpięchło się na wszystkie strony.

Strach ścisnął Hannah w gardle, gdy usłyszała strzał.

Wpatrywała się w swoje odbicie w szybie, nie mogąc złapać tchu. Wokół niej ludzie pozastygali w podobnie nieruchomych pozach: Saudyjczyk siedział na sofie, Rosjanin stał, mężczyzna, z którym przejechała pół świata, zamarł przygarbiony – i wszyscy gapili się w szybę, próbując przebić wzrokiem swoje odbicia i dostrzec, co się dzieje na dworze.

Ułamek sekundy później w pokoju się zakotłowało.

Pierwszy zareagował stojący przy drzwiach ochroniarz: rzucił się w stronę kanapy, wyciągając ręce po swojego podopiecznego. Saudyjczyk zerwał się i skoczył mu na spotkanie, jakby przyciągała ich jakaś magnetyczna siła. Wyższy mężczyzna ostonił ciałem niższego i pociągnął go do drzwi.

Rosjanin też się poruszył, ale nie bardzo wiedział, co robić – chciał podejść do fortepianu, lecz w pół drogi się zatrzymał.

Hannah spojrzała na swojego towarzysza podróży, który właśnie osuwał się na ziemię. Wyglądał jak balon, z którego ktoś nagle spuścił powietrze. Dopiero po chwili zrozumiała, że Amerykanin specjalnie padał na ziemię, żeby zejść z linii ognia.

Chciała zrobić to samo, ale strach ją sparaliżował.

Usłyszała głośny plusk.

Pies znów się rozszczękał.

Co się stało z książką?

Musiała być w torbie, to oczywiste. Torba zaś została na sofie, tam gdzie siedział Amerykanin. Po raz pierwszy się rozdzielili.

Amerykanin czołgał się po podłodze i Hannah zdała sobie sprawę, że będzie chciał zgasić światło. Zagubiony Rosjanin kręcił się w kółko, a Arab z ochroniarzem zniknęli.

Spojrzała kolejno na torbę, na Rosjanina i na mężczyznę przy wyłączniku

światła. Jej wzrok padł na kominek i oparty o niego pogrzebacz z kutego żelaza.
Pokonała paraliżujący strach i sięgnęła po pogrzebacz.
Światło zgasło.

Brown obiegał dom.

Keyes stał nad basenem, mierząc z pistoletu. Ludzie w pokoju rozbiegli się; została tylko kobieta. Stała jak skamieniała i wytrzeszczonymi oczami wpatrywała się tępo w okno. Wycelował w nią. Ręce mu się trzęsły, ale starał się nad nimi zapanować. Celuj w korpus. Tuż obok pies szczekał jak opętany, ale Keyes nie zwracał na niego uwagi.

Powoli zaciskał palec na spuście.

Zgasło światło.

Zamrugął i opuścił broń.

Za chwilę jego wzrok oswoi się ze światłem gwiazd, ale na razie nic nie widział. Słyszał tylko cichy chlupot wody w basenie.

Odsunął się w prawo, jak najdalej od psa i basenu, a potem pobiegł za Brownem.

Coś się poruszyło.

W chwili kiedy Dietz wyłączył światło, zdał sobie sprawę, że coś się do niego zbliża. Instynktownie przybrał postawę bojową, ale ciemny kształt wyminął go niezdarnie, kierując się ku drzwiom. To był Rosjanin. Ismaïłow.

Ominął Dietza, zderzył się z czymś, co z łoskotem rozbiło się o podłogę, i pobiegł dalej.

Dietz pomyślał, że tak niewiele brakowało.

Jeszcze parę minut i dobiliby targu. Nie musiałyby się martwić o przyszłość, mógłby o wszystkim zapomnieć i uciec z Elizabeth Webster dokąd dusza zapagnie. Teraz zaś wszystko się posypało: Saudyjczyk zniknął, Rosjanin uciekał, a na zewnątrz czyhali uzbrojeni intruzi. Kto to mógł być? Keyes? Ford?

Jeszcze nie wszystko stracone, dopóki miał książkę.

W pokoju było ciemno choć oko wykol. Za chwilę oczy mu się przyzwyczajają do ciemności, ale na razie widział tylko niewyraźne kształty. Lepsze to niż stać w świetle lamp jak na strzelnicy. Wypuścił jednak z rąk książkę, a ta kobieta...

Co się z nią stało?

W miejscu, w którym stała, zamajaczył mu jakiś ruchomy kształt. Usłyszał zgrzyt i odgłos wleczenia czegoś ciężkiego po podłodze. Sięgnął po pistolet, ale zostawił go w torbie. A torbę na sofie.

Zrobił krok do przodu i boleśnie uderzył piszczelą o krawędź stolika,

W tym samym momencie usłyszał świst i coś spadło na niego z góry.

Hannah usłyszała, jak uderzył nogą w stolik do kawy.

Podniosła pogrzebacz, wzięła zamach nad głowę. Pomyślała o przedmieściach Stambułu, przypomniała sobie, jak ją potraktował.

Uderzyła z całej siły.

Wydawało jej się, że chybiła. Rozległ się stłumiony dźwięk. To, w co trafiła, poddało się miękko; nie był to donośny trzask, jaki spodziewała się usłyszeć po trafieniu w czaszkę. Miała takie wrażenie, jakby pogrzebacz wbił się głęboko w dojrzały arbuz.

Chciała podnieść pogrzebacz, zamachnąć się jeszcze raz, ale utkwiał na dobre w czymś, co osunęło się na ziemię. Wyśliznęła się jej z rąk.

Cofnęła się i poczuła za plecami zimny kamień obramowania kominka. Stała

nieruchomo, wsłuchana w swój płytki, przyspieszony oddech. Poza tym w pokoju panowała cisza.

Jej oczy zaczynały z wolna wyławiać z ciemności kontury przedmiotów.

Najpierw zobaczyła fortepian, potem stojący bliżej stolik. Jakaś bryła leżała na ziemi, wsparta częściowo na stoliku. Nagle zrozumiała, że jest to człowiek, którego uderzyła pogrzebaczem. Nie ruszał się.

Książka znajdowała się po drugiej stronie, w torbie na sofie, Hannah jednak nie mogła się zmusić, żeby podejść bliżej. Zaczęła na palcach cofać się w stronę przedpokoju. Potknęła się o próg.

Z zewnątrz dobiegł ją odgłos zapalanego silnika.

Pies cały czas szczekał.

Wyszła do holu. Przez otwarte drzwi frontowe do środka sączyła się księżycowa poświata. Ruszyła w ich stronę, gdy nagle na dworze wybuchła strzelanina.

Hannah krzyknęła przestraszona i cofnęła się spod drzwi.

Czy wejść na piętro? To byłaby pułapka. Ukryć się w głębi domu? A może lepiej wrócić do salonu?

Wróciła. Własny krzyk jeszcze dźwięczał jej w uszach. Widziała coraz lepiej. Mężczyzna oparty o stolik nie poruszył się. Pogrzebacz sterczał mu z głowy.

Obeszła go, idąc w stronę sofy. Pośliznęła się na czymś lepkiem, ale nie straciła równowagi. Torbę miała na wyciągnięcie ręki. Porwała ją z sofy i przycisnęła do piersi.

Samochód odjeżdżał spod domu. Słuchała, jak warkot silnika ginie w oddali.

Cisza spowiła dom. Szczekanie cichło, silnika nie było już słychać.

Sięgnęła do torby, namacała książkę, ale szukała dalej, aż jej dłoń natrafiła na rękojeść pistoletu. Wyjęła go i przełożyła torbę do drugiej ręki.

Cisza.

Stała w ciemności z duszą na ramieniu.

Keyes wyszedł przed dom i zawahał się.

Brown już tu był: stał w lekkim rozkroku i celował z pistoletu w przednią szybę nadjeżdżającego mercedesa. Drugi samochód właśnie zniknął na końcu podjazdu. Znikający za zakrętem rolls należał do tego niskiego, który pierwszy zareagował na strzał, i do jego ochroniarza. Mercedesem musiał jeździć ten drugi. Rosjanin.

Brown otworzył ogień: strzelał krótkimi seriami, po dwa strzały. Jakimś cudem udawało mu się, mimo odrzutu, trzymać pistolet poziomo. Strzelał z determinacją, jakby ta determinacja mogła wystarczyć do zatrzymania mercedesa, który za chwilę miał go przejechać. Raz, dwa. Trzy, cztery. Pięć, sześć strzałów. Samochód nie zwolnił.

Uderzył Browna, którego ciało przetoczyło się po masce i przedniej szybie i wyleciało wysoko w powietrze. Minęła długa chwila, zanim spadło na ziemię.

Mercedes odjechał z piskiem opon.

Keyes podszedł do Browna, choć wiedział już, że agent nie żyje. Chciał namacać puls, ale cofnął rękę, kiedy zobaczył nienaturalnie wykrzywiony kark Browna.

Silnik mercedesa ryknął gardłowo i ucichł w oddali. Słychać było tylko niesamowity skowyt wiatru.

Keyes wstał. Cisza, która zastąpiła dotychczasowy zgiełk, wydała mu się nienaturalna, dławiąca. Odwrócił się w stronę drzwi wejściowych. Były uchylone.

Obliznął wargi.

Zrobił krok w stronę wejścia.

W korytarzu panował chłód, było pusto i cicho. Keyes pchnął drzwi i wszedł do środka. Dom trzeszczał i skrzypiał na wietrze. Z holu prowadziły na górę schody. Po prawej stronie był salon, w którym odbywało się spotkanie. Pomyślał, że tam są. Ciekawe tylko, ilu ich jest.

Przeszło mu przez myśl, że mógłby się wycofać do zaparkowanego przy głównej drodze samochodu. Mimo to ostrożnie wszedł do salonu. Czuł przeraźliwy chłód; serce biło mu głośno, z wysiłkiem.

Patrzył na rozpościerający się przed nim salon i rozróżniał kolejne szczegóły. Po lewej – ciało oparte o stół. Po prawej – majaczący w mroku fortepian. Na wprost: ludzka sylwetka.

Sylwetka trzymała w rękach jakiś przedmiot, wycelowany w jego pierś.

Keyes zaczął podnosić broń, chciał ująć ją obiema rękami dla złagodzenia odrzutu, tak jak czynił to Brown.

Tajemniczy przedmiot coś szepnął.

Hannah pociągnęła za spust.

Rozległ się ledwie słyszalny dźwięk. Bezpiecznik! Nie odciągnęła bezpiecznika i pistolet nie wystrzelił! Ale przecież coś szarpnęło jej ręką, poczuła to wyraźnie w nadgarstku. Wypuściła pistolet.

Stojący przed nią mężczyzna stęknął, zatoczył się do przodu i coś ciężkiego stuknęło o podłogę.

Mężczyzna wyciągnął rękę i chwiejnie oparł się o ścianę.

Nadgarstek prawej dłoni Hannah pulsował bólem. A więc pistolet jednak wystrzelił.

Mężczyzna ostrożnie, powoli osuwał się na podłogę. Oddychał chrapliwie, z wysiłkiem. Pośliznął się, upadł i skulił się na boku jak embrion.

Upływały sekundy. Chrapliwy oddech stawał się coraz wolniejszy.

Hannah czekała.

Przerwy między sapaniami wydłużały się coraz bardziej, aż w końcu rozległ się przeciągły charkot... Minęło pięć sekund, dziesięć dwadzieścia. Cisza.

Słysząc było tylko wycie wiatru.

Hannah przyłożyła drżącą rękę do czoła.

ROZDZIAŁ 26

Domki stały w lesie na brzegu jeziora na wschodzie Maine, okolone sosnami i jodłami.

Roger Ford z rozkoszą odetchnął balsamicznym powietrzem. Żadne sztuczne aromaty nie mogły się równać z zapachem drzew. Przyszło mu na myśl, że stanowczo za mało czasu spędza ostatnio na łonie natury. Kiedyś – dobrze to pamiętał – udawało mu się wyrwać za miasto co drugi weekend: na wędrowną, pod namiot albo na ryby ze starymi przyjaciółmi. Teraz całe weekendy spędzał w biurze, a starzy приятели się powykruszali, jeden po drugim odeszli z tego świata.

Pokręcił głową i spojrzał na zegarek. Za godzinę powinni wrócić do samochodu zaparkowanego po drugiej stronie jeziora, za półtorej – znaleźć się na pokładzie prywatnego gulfstreama, którym wrócą do Langley. Nie czas na wspomnienia.

Szedł dalej, ostrożnie wybierając drogę wśród jesiennych, rozkładających się z wolna liści. Włoskie mokasyny i garnitur szyty na miarę nie były najlepszym strojem na tę okazję. Piętnaście kilogramów nadwagi i dziesięć lat, jakie minęły od czasów młodości, też mu nie pomagały. Zadyszał się. Może to dlatego nie miał już ochoty wyjeżdżać z miasta. Natura bezlitośnie obnażała jego fizyczne braki.

Kobieta siedziała na bujanym fotelu na ganku jednej z chat. Na kolanach trzymała książkę.

Podchodząc bliżej, Ford pomyślał, że nieźle wygląda. Obcięta włosy i nabrała ciała. Kiedy ją pierwszy raz zobaczył, była chuda i żyłasta po niezliczonych dietach i życiu spędzonym w siłowniach. Teraz, po miesiącu nad jeziorem, wyglądała naturalnie, jakby pogodziła się sama z sobą.

Wiązał z nią pewne nadzieje.

Kiedy zgłosiła się do amerykańskiej ambasady w Paryżu, podjęła nieodwracalną decyzję. Wtedy jeszcze mogła nie zdawać sobie z tego sprawy; mogło jej się wydawać, że oddając się z książką w ręce władz, spłaca wszelkie rachunki wobec ojczyzny. Zdała się na ich łaskę, mówiąc, że nie żąda niczego w zamian za ujawnione tajemnice. Ale w głębi duszy na pewno spodziewała się, że jej grzeszki zostaną jej wybaczone. Może nawet oczekiwała nagrody.

Pewnie; trzymała się tej myśli kurczowo przez cały lot do Stanów i potem, podczas jazdy do domku w Maine – do czasu, aż Ford rozwiął jej złudzenia i wyjaśnił, że zamiast przysłużyć się krajowi, zrobiła coś wprost przeciwnego. Pokrzyżowała plan, który on z takim trudem opracował i wcielił w życie.

Teraz jednak mogła wszystko naprawić.

Nie powiedział jej tego; nie musiała znać wszystkich szczegółów. Wyjaśnił tylko, że sytuacja, w którą się wpakowała, jest bardziej złożona, niżby mogło się wydawać na pierwszy rzut oka. Przyznał, że Dietz i Leonard podlegali mu, zanim przejął ich Keyes, i że przejście do Keyesa nic w tej kwestii nie zmieniło. Dodał, że nigdy nie zamierzał oddać książki w ręce wroga, chciał się tylko dowiedzieć, kto jest tym wrogiem; kto byłby zainteresowany kupieniem sekretu, który zawiera książka.

Wyjaśnienia swoich motywów ograniczył do minimum. W jego fachu liczyło się przede wszystkim zachowanie pozorów. Gdyby osobiście zorganizował całą wyprawę, a następnie spróbował sprzedać tajemnicę za pośrednictwem siatki Dietza z czasów „Zalotów”, nieprzyjacieli mógłby nabrać podejrzeń. A tak Keyes dostarczył mu znakomity towar, chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy.

Odkrycie było więc prawdziwe i Ford działał tak, jakby naprawdę zamierzał sprzedać jego sekret na licytacji. Niewykluczone że Dietz zamierzał posunąć się dalej w tej maskaradzie, niż zakładał to początkowy plan Forda. Wbrew umowie nie informował Forda o rozwoju wypadków. Wziął sprawy w swoje ręce. Całkiem możliwe, że sprzedałby towar i zniknął na zawsze.

Teraz, kiedy Dietz zginął, trudno powiedzieć, co zamierzał.

Zresztą to już nie miało znaczenia. Zgłaszając się do ambasady, kobieta pozwoliła Fordowi wrócić do gry. Saudyjski książę połknął haczyk, ale nie był bynajmniej ostatnim ogniwem w łańcuchu. Miał kogoś nad sobą – i ten ktoś stanowił główny obiekt zainteresowania Forda.

Usłyszała jego kroki i podniosła głowę. Uśmiechnęła się. Ford usiadł obok niej na drugim bujanym fotelu. Przez chwilę milczeli, patrząc na jezioro i kołysane wiatrem drzewa.

– Mam panią stąd zabrać – powiedział w końcu Ford.

– Zabrać?

– Do Langley. Operacja zostanie wkrótce wznowiona.

– Kiedy jedziemy? – spytała po namyśle.

- Jak tylko się pani spakuje.
- Właśnie chciałam coś zjeść. Poczekaj pan?

Wzruszył ramionami i wszedł za nią do domku.

W środku pachniało tak jak w lesie: aromatyczną żywicą i odchodzącym latem. Wnętrze było proste i schludne. Przechodząc przez salonik, Ford zauważył na biurku stosik książek, które – jak się domyślał – pomagały kobiecie zabić czas.

W kuchni wskazała mu krzesło przy stole.

- Zje pan coś?
- Nie, dziękuję.
- Może coś do picia?

Pokręcił przecząco głową.

- Zaparzę herbatę.

Nastawiła czajnik i zaczęła przyrządzać sobie lunch. Ford obserwował ją z lekkim rozbawieniem. Twarda z niej dziewczyna. Na pewno zachodziła w głowę, dlaczego chcą ją stąd zabrać, ale nie zamierzała pytać. Podjęła grę i czekała na jego ruch. Usiadł wygodniej i odchrząknął.

– Przylatuje w tym tygodniu. Zostanie prawie do końca miesiąca. Chce odwiedzić znajomych, pozalać interesy... Będziemy panią trzymać w gotowości, gdyby nadarzyła się okazja do nawiązania kontaktu.

Hannah bez słowa złożyła kanapkę i przekroiła na pół.

- Chyba przemyślała pani sprawę.

Odwróciła się do niego.

- A czy mam jakiś wybór?

Ford nie odpowiedział.

Wyszła do pokoju. Słyszał, jak przekłada jakieś szpargały, a kiedy wróciła, trzymała w ręce dwie koperty. Położyła je przed nim na stole. Nie wziął ich do ręki, ale przeczytał: jedna była zaadresowana do jej ojca w Baltimore, druga do Victorii Ludlow w Chicago.

- Może je pan wysłać?

Ford mruknął potakująco. Czajnik zaczął gwizdać, więc zdjęła go z kuchenki. Stojąc plecami do Forda, zaparzyła herbatę, postawiła kubki na stole, sięgnęła po kanapkę i usiadła obok gościa.

Ford wpatrywał się w koperty, ciekaw, co napisała. Oczywiście sprawdzi to, zanim je wyśle.

– Założmy, że się uda – powiedziała Hannah. – Nawiążę kontakt, dobijemy targu...

Ford upił łyk herbaty.

- Co potem?
- To będzie zależało od wielu czynników.
- Na przykład?

– Na przykład od tego, czego pani chce. I od tego, czego naszym zdaniem będzie wymagała racja stanu. Chodzi o pani wiedzę.

Hannah prychnęła lekceważąco.

– Proszę się nie obawiać – zapewnił ją pospiesznie Ford. – Mamy do pani pełne zaufanie.

Prawie nie kłamał.

Zgłoska się do ambasady, chociaż wcale nie musiała tego robić. Może spodziewała się pobłażliwości ze strony sądu i rozczarowała się tym, jak ją potraktowano. Właśnie dlatego Ford kazał ją obserwować: w sąsiednich domkach zamieszkali opłacani przez niego agenci.

Zresztą nawet gdyby uciekła znad jeziora, nie miała dokąd pójść. Jej konto

zostało zablokowane. Była zdana na Forda, czy jej się to podobało, czy nie.

Ugryzła kawałek kanapki. Ford napił się herbaty.

– Ładny zegarek – zauważyła.

– Podoba się pani?

– To rolex?

– Tak. Prezent od żony.

– Kiedyś też miałam roleksa.

– I znów może go pani mieć. – Ford nachylił się nad stołem. – Jeżeli akcja się powiedzie, może uda się nam znaleźć dla pani stałą posadę. O ile, naturalnie, będzie pani zainteresowana.

Hannah milczała.

– ...

– A na razie... – Wyjął kopertę z wewnętrznej kieszeni marynarki i położył ją obok dwóch leżących na stole. – Chciałbym, żeby pani to przejrzała. Proponuję nauczyć się tego na pamięć przed spotkaniem z księciem. Rozbudowaliśmy wymyśloną przez panią historyjkę: pani mąż pracował w NASA nad projektem naddźwiękowego silnika strumieniowego. Kiedy się pani dowiedziała, że panią zdradza, włamała mu się pani do komputera. Dietza poznała pani prawie rok temu, na spotkaniu towarzyskim w Waszyngtonie. To on podsunął pani cały pomysł.

Hannah spojrzała na kopertę, przezuwając kolejny kęs.

– Wiadomość o spotkaniu przyjdzie z niewielkim wyprzedzeniem. Musi być pani gotowa.

– Dobrze.

Ford dopił herbatę. Czuł się po niej przyjemnie odprężony. Pomyślał, że to pewnie jakaś mieszanka ziołowa. Naturalny, łagodny środek uspokajający.

Chwilę jeszcze siedzieli w milczeniu. Kobieta dojadła kanapkę. Na zewnątrz wiatr przybierał na sile. Drzewa się rozszumiały.

– Już czas – powiedział Ford. Ogarniało go coraz większe rozleniwienie. Za rzadko wyjeżdża z miasta. Na razie jednak nie mógł sobie pozwolić na urlop. – Chodźmy.

Hannah skinęła głową i włożyła pusty talerz do zlewu.

Kiedy wychodzili, agent z sąsiedniego domku układał drewno na opał w równą stertę. Zerknął w ich kierunku, stwierdził, że Hannah idzie z Fordem, i wrócił do przerwanej zajęcia.

Szli brzegiem jeziora. Ford czuł się tak cudownie, jakby miał skrzydła u ramion. Jezioro szeptało coś tajemniczo. Uznał, że musi znaleźć trochę czasu i regularnie wypuszczać się za miasto. Jego organizm fantastycznie reagował na kontakt z przyrodą.

A może jego uniesienie wynikało z zadowolenia? Operacja się nie powiodła, ale wszystko dobrze się skończyło. Poczynili postępy, namierzyli księcia, a teraz z pomocą tej kobiety będą mogli kontynuować akcję.

W pewnym sensie nawet tak jest lepiej. Gdyby inaczej się to skończyło, nieporadność Keyesa nigdy nie wyszłaby na jaw. A Keyes nie otrząsnął się z żalu po stracie syna i nie umiał trzeźwo ocenić Projektu. Kazał zlikwidować Chena. Jego żona zginęła w niewyjaśnionych okolicznościach. Gdyby nie ta wpadka, mógłby w nieskończoność kierować ADS. I kto wie, czy w końcu nie doprowadziłby do katastrofy.

Na szczęście Ford w porę wkroczył do akcji. Dick Bierman przejął stery ADS; na pewno wstrzyma Projekt i zachowa należytą ostrożność. Ed Greenwich dostał nagane, i pewnie na naganie się nie skończy. Czyli wszystko dobrze się ułożyło,

choć nie całkiem tak jak Ford to sobie zaplanował.

Coś błysnęło tuż pod powierzchnią wody – pewnie szczupak albo pstrąg. Prawie czuł podrygujące w rękach wędzisko i palące słońce na karku.

– To musi być świetne miejsce na ryby – stwierdził.

Idąca obok niego kobieta nie zareagowała.

Słońce było olbrzymią, rozmytą kulą na niebie. Nagle Ford doszedł do wniosku, że nie ma ochoty na dalszy spacer. Torba, którą wziął od kobiety, stała się nagle potwornie ciężka, jakby za sprawą alchemicznej sztuczki cała jej zawartość zmieniła się w ołów. Chciał usiąść tutaj, nad brzegiem jeziora, i patrzeć, jak słoneczne popołudnie przepływa obok niego. Zatrzymał się. Kobieta złapała go pod łokieć.

– Co się stało?

Pokręcił głową.

– Usiądźmy... na chwilę.

– Po co? Już widać samochód. Jesteśmy prawie na miejscu.

Wzięła od niego torbę i ponagliła go do szybszego marszu.

Teraz i on zobaczył auto. Karoseria błyszczała w słońcu. Brakło mu jednak sił, żeby dojść do samochodu. Nogi miał jak z waty. Coraz mocniej opierał się na kobiecie.

– Ja... – wykrztusił. – Zatrzymajmy się.

– Nie, to już blisko.

Szli dalej.

Przypomniał sobie, jak wyszła do drugiego pokoju po listy. A potem odwrócona tyłem naląła mu herbaty...

Doszli do samochodu.

Hannah oparła Forda o wóz i wyjęła mu kluczyki z kieszeni. Posadziła go na asfalcie na skraju parkingu, który był zupełnie pusty, jeśli nie liczyć aut Forda i jego agentów. Nikt nie mógł im przeszkodzić.

Ford chciał zaprotestować, ale oczy same mu się zamykały. Zasypiał.

– Spokojnie – powiedziała Hannah. – Nic panu nie będzie. Trochę pan tylko pośpi.

Pokręcił głową. Ze wszystkich sił starał się nie zamknąć oczu. Co ona robi? – próbował zapytać.

Dobrze znał odpowiedź. Zabrała mu portfel i zegarek.

– Nie traktuj tego osobiście – mruknęła mu do ucha.

Krew dudniła mu pod czaszką, powieki zatrzepotały i zamknęły się. Położył głowę na asfalcie. Usłyszał trzask otwieranych i zamykanych drzwi auta. Silnik zawarczał.

Chciał zawołać, żeby się zatrzymała, ale z jego ust nie wydobyło się ani jedno słowo.

Szum silnika zaczął się oddalać. Słońce prażyło niemiłosiernie. Ford nie otwierał oczu.

Leżał na plecach, a słoneczne popołudnie przepływało obok niego.

EPILOG

Autokar Groyhonda wioził Hannah na zachód.

Patrzyła obojętnie na zmieniające się za oknem widoki, typowe dla autostrady: motele, centra handlowe, fast foody, stacje benzynowe. Niedaleko za Buffalo niebo zrobiło się jednolicie szare, wkrótce potem zaczął padać śnieg. Brudna breja bryzgała na szybę. Hannah starała się jej nie widzieć, tak jak nie widziała swojego odbicia.

Siedzący obok mężczyzna chrapał głośno, coraz bardziej przechylając głowę na jej fanię. Przynęła się do okna, żeby uniknąć jego dotyku.

Była głodna jak wilk.

Sięgnęła do torebki. Namacała kwit z lombardu – myślała o tym, żeby zostawić go w samochodzie w Portland, przy dworcu autobusowym, ale postanowiła nie ułatwiać Fordowi życia – i paczkę precelków. Otworzyła ją, włożyła do ust precelek i zaczęła przeżuwać go bez apetytu.

Miała też portfel, a w nim sześćset dolarów, które dostała za zegarek, i trzysta dwadzieścia, które w gotówce zabrała Fordowi. Poza tym torebka była prawie pusta: długopis, notes, szminka, puderniczka, dwa następne opakowania precelków i koperta od Forda. W torbie, którą położyła na półce, zmieściła się jej skromna garderoba. Torba i torebka zawierały cały jej majątek.

Wyjęła kopertę, otworzyła ją i przejrzała zawartość. Zgodnie z tym, co powiedział Ford, w środku znalazła szczegółową wersję historyjki dla księcia – historyjki, którą sama wymyśliła w pociągu na drugim krańcu świata i którą dokończył za nią jakiś analityk CIA w swoim biurze w jakiejś waszyngtońskiej piwnicy.

Skończyła czytać, złożyła papier na pół, włożyła go z powrotem do koperty i schowała ją do torebki.

Zamyślona wyjrzała przez okno. Od Chicago dzieliło ją jeszcze jednaście godzin jazdy. Miała trochę czasu, żeby wybrać sobie przyszłość. Nie za dużo, jeśli wziąć pod uwagę wszystkie okoliczności, ale trochę na pewno.

– Frank! – zawołała.

Odwrócił się, zobaczył ją i stanął jak wryty.

Wyglądał tak samo jak zwykle: w płóciennym garniturze, z mocno wyželowanymi włosami, ze skórzaną teczką w ręce. Zamrugał ze zdziwienia i ruszył w jej stronę. W holu biurowca jak zwykle w porze lunchu kłębił się tłum.

– Hannah!

Chciał ją objąć, ale się odsunęła.

– Musimy porozmawiać – powiedziała.

Siedzieli w tej samej restauracji co zawsze. Na stole stały nietknięte sałatki.

Frank skończył mówić i przez chwilę nikt nie przerywał milczenia. Nie patrzył Hannah w oczy – a ona wcale mu się nie dziwiła. Przecież właśnie jej powiedział, że ją sypnął, że wysłano za nią list gończy, a on sam się wymigał. Gdyby role się odwróciły, też nie potrafiłaby mu spojrzeć w oczy. Frank poruszył się niespokojnie na krześle.

– Posłuchaj – powiedział – ja naprawdę paskudnie się z tym czuję.

Hannah skinęła niedbale głową.

– Nie wiem, czy... No wiesz, jeśli nie chcesz iść na policję... Gdybyś potrzebowała pieniędzy...

Zaskoczyła ją ta propozycja. Z doświadczenia wiedziała, że Frank Anderson nie jest przesadnie hojnym człowiekiem. Zdziwienie szybko jednak minęło: to oczywiste, że nie chciał, żeby szła na policję. Przecież powiedziałaby prawdę, prokurator mógłby wznowić śledztwo i kto wie, czy wina nie zostałaby podzielona równo między nich dwoje.

– Ile? – zapytała po namyśle.

– A ile ci potrzeba? Mogę ci dać... pięćset.

Uśmiechnęła się tylko.

– Tysiąc? – zapytał z nadzieją w głosie Frank.

Hannah odczekała chwilę, zanim odparła:

– Dziesięć tysięcy. To najwyższa suma, jaką możesz od ręki podjąć z banku.

I tak masz szczęście. To niewygórowana cena.

Frank zbladł. – Ależ Puchatku...

– Nie mów tak do mnie.

– Hannah... Dziesięć... Nie dam rady.

Pochyliła się nad stołem i dotknęła jego dłoni.

– Coś wymyślisz – szepnęła słodko.

Stała przy nim, kiedy podejmował pieniądze. Kiedy wyszli z banku, oddał jej brunatną kopertę.

– Hannah, czuję się naprawdę...

– Ćśśś.

Przytknęła palec do ust, okręciła się na pięcie i odeszła. Kawałek dalej zatrzymała taksówkę i podała kierowcy swój stary adres.

– Pani Gray – zdziwił się na jej widok portier. Zerwał się na równe nogi.

Błysnęły złote guziki płaszcza. Na blacie piętrzyła się sterta nietkniętych książek.

– Cześć, Craig. Jak leci?

– Nie narzekam, naprawdę nie narzekam. Nie spodziewałem się już pani zobaczyć, po...

Zawiesił głos. Chciał powiedzieć „Po tym, jak tajniacy przeszukali pani mieszkanie”. Agenci na pewno powiedzieli, że nie powinien się spodziewać jej powrotu, ale gdyby jednak się pokazała, należy natychmiast wezwać policję.

– Po tak długiej nieobecności – dokończył niezręcznie.

– Wpadłam tylko na chwilę, jestem tu przejazdem. Byłam ciekawa, czy dostałeś mój prezent.

Craig się rozpromienił.

– Książkę?! Mam ją tutaj. Strasznie pani dziękuję, pani Gray. To było bardzo miłe z pani strony. Zwykle prezenty od mieszkańców dostają tylko w sezonie urlopowym. Miło wiedzieć, że ktoś o człowieku pamięta...

– Mogłabym ją zobaczyć?

Wychylił się ponad tablicą interkomu i obejrzał grzbiety książek. Znalazł tę, którą mu przysłała – *Kroniki wypraw krzyżowych* – i podał jej.

– Ładna – stwierdził z powagą. – Jeszcze raz dziękuję. Nie mogę się doczekać, kiedy będę ją mógł przeczytać.

Hannah uśmiechnęła się i zajrzała na ostatnią stronę. Była pewna, że portier nawet nie otworzył książki i nie robi tego w najbliższym czasie.

Nigdy nie widziała, żeby Craig coś czytał. Stos książek na blacie był tylko na pokaz.

– Chciałabym coś z niej przepisać – wyjaśniła, wyjmując z torebki długopis i notes.

Formuła Epsteina składała się z kilku krótkich akapitów równań i tekstu. Hannah przepisała ją starannie i przekreśliła oryginał. Przekreśliła go drugi raz i trzeci, aż całkowicie go zamazała.

Potem otworzyła książkę w środku, wyjęła zakładkę, którą sama włożyła na setną stronę, i oddała książkę portierowi. Ten spojrzął na nią z ciekawością.

– Dzięki, Craig – powiedziała Hannah i wyszła, nie oglądając się za siebie.

Co to było?

Nie wiedziała, ale nie ulegało wątpliwości, że tylko ona zna tę formułę. Książkę, którą oddała w ambasadzie – *Paulę* Isabel Allende – zabrała z rezydencji

w Prowansji. Przepisała do niej równania, ale z błędami. Jedną linijkę całkowicie pominęła, w innej zmieniła „x” na „c”, 1,4 na 0,14, kwadrat na sześcián.

Znów jechała greyhoundem. Była noc. Patrzyła na swoje odbicie w szybie i zastanawiała się, co zrobić z tym, co tak ukryła.

Przychodziły jej do głowy różne odpowiedzi, z których większość od razu odrzucała. Nie zamierzała czerpać korzyści z posiadania książki; nie chciała zmarnować drugiej szansy, którą dopiero co dostała. Nie chciała też niszczyć formuły, nie wiedząc, czego dotyczy. Może w książce jest ukryta tajemnica lekarstwa na raka?

Wolała jednak nie oddawać jej Fordowi, bo Ford prowadził jakąś własną grę. A ona miała dosyć gier.

Popatrzyła po pasażerach autokaru. Większość drzemała, nikt nie zwracał na nią uwagi.

Jednego była pewna: nie miała do kogo zwrócić się po pomoc. Frank, Dietz, Ford, jej ojciec – wszyscy odpadali, bo wszyscy w ten czy inny sposób próbowali ją wykorzystać. Od tej pory będzie polegać tylko na sobie. Na Hannah Gray.

Nie. Nie na Hannah Gray.

Wyjęła z torebki zakładkę, zabraną z *Kronik wypraw krzyżowych*. Obejrzała ją w słabym świetle lampki.

Paszport był wystawiony na nazwisko Mai Willis. Hannah nie wiedziała, kim jest kobieta ze zdjęcia; była jakieś dziesięć lat starsza od niej, miała podobne rysy twarzy i ciemnoblond włosy. Domyślała się jednak, że prawdziwe nazwisko kobiety brzmi inaczej. Dietz miał w torbie sporo fałszywych paszportów: połowę ze swoim zdjęciem, połowę z fotografią tej kobiety, każdy na inne nazwisko.

Maya Willis brzmiało doskonale.

Życie potrafi płać figle. Przed rokiem do głowy by jej nie przyszło, że mogłaby się znaleźć w podobnej sytuacji. A tu – proszę. Jej babka miała rację, kiedy mówiła: „Jakoś sobie żyjemy, ale to życie dyktuje nam warunki”.

Nie musiała ślepo zgadzać się na te warunki. Zawsze można negocjować.

Nie jest źle, pomyślała patrząc na wstający za oknem świt. Naprawdę nie jest źle.

PODZIĘKOWANIA

Podziękowania po raz kolejny należą się mojemu agentowi Richardowi Curtisowi, za przenikliwość i wskazówki, oraz mojemu redaktorowi Neilowi Nyrenowi, którego wkład w tę książkę trudno byłoby przecenić. Słowa nie są w stanie wyrazić mojej wdzięczności.

Jonathanowi Poritzowi zadałem kilka prostych pytań z fizyki. Kiedy mi na nie odpowiedział, zasypałem go dalszymi. Podzielił się ze mną nie tylko swoją wiedzą i czasem, ale także pomysłami, ideałami i terminologią. Jestem mu za to wielce zobowiązany.

Do powstania tej książki przyczyniły się również następujące osoby: David Maddwe, Ian Sowers, Joellyn Weingourt, Alison Brower i Chris Robertson.

Dziękuję też Sarak Silbert, Robertowi, Jam i Jennifer Altmanom oraz Rachel i Benjaminowi Edelsonom.